PRZEKRÓJ

ROCZNIK 1 NUMER 3

listopad 1938

Str.

ERRATA.

W n-rze październikowym „Przekroju” należy poprawić następujący błąd:

na str. 60, wiersz 14 jest — „Lord Chamberlain”; winno być — „Sir Chamberlain”.

Od Administracji

Grudniowy numer „Przekroju”, podwójnej objętości ukaże się w kolportażu w pierwszych dniach grudnia z ceną 3 zł 60 gr. za egzemplarz. Numer ten prenumeratorzy otrzymają bez żadnych dopłat.

Numer grudniowy ekspediować będziemy wyłącznie do tych prenumeratorów, którzy do dnia 1 grudnia b. r. uiszczą prenumeratę za IV kwartał b. r.

O ŚWIADOMEGO OBYWATELA PAŃSTWA

Najważniejszym zadaniem Izb Ustawodawczych, które w bieżącym miesiącu wybierzemy, będzie stworzenie nowej ustawy o ordynacji wyborczej. I to zarówno dlatego, że Prezydent Rzplitej rozwiązując Sejm tak określił zadanie następnego, jak również wobec powszechnie przez społeczeństwo odczuwanej potrzeby zasadniczych zmian w tej dziedzinie.

Oczywiście, zdajemy sobie wszyscy dokładnie sprawę z tego, że zmiana ustawy o ordynacji wyborczej to nie jest tylko prosta zmiana przepisu prawnego, a więc nie jest zagadnieniem o charakterze jedynie formalno - legislatywnym. Ordynacja jest ustawą sięgającą bardzo głęboko w istotę u s t r o j u, jest jego bezpośrednim wyrazem, a jej zmiana jest faktycznie zmianą ustroju państwowego, szczególnie ważną i zasadniczą w dziedzinie stosunku obywatela do państwa i czynników rządzących. Dlatego też rozważanie sprawy zmian ordynacji wyborczej bez przedyskutowania niektórych przynajmniej stron zagadnienia ustroju byłoby czynnością jałową, nie prowadzącą do żadnych rozwiązań, błądzącą dokoła zagadnienia i nie trafiającą w jego treść najgłębszą.

Na podstawie licznych wypowiedzi, bądź krytycznie oświetlających dotychczas obowiązującą ordynację, bądź postulujących jej zmiany — możemy stwierdzić, że nikt w Polsce, żadne odłamy opinii społecznej nie pragną powrotu do przedmajowego zatomizowania politycznego i atmosfery wieiznego „geszeftu”. Z drugiej strony równie powszechne jest przekonanie o konieczności umożliwienia czynnego współudziału w pracy dla państwa każdemu obywatelowi, zarówno zrzeszonemu w

wielkich organizacjach politycznych, jak i nie znajdującemu w nich dla siebie miejsca. Mówiąc bardziej obrazowo życzenia te znajdują się na linii, łączącej dwie skrajności: z jednej strony państwo autorytatywne, totalne, szukające siły w ujednoliceniu i celowym kierowaniu potrzebami i dążeniami obywateli, z drugiej — społeczeństwo najdoskonalej wolnych obywateli, osiągające siłę w nieskrępowanym, naturalnym rozwoju kultury. Obie te skrajności mają swe niezaprzeczone zalety i każda z nich ma niewątpliwe wady, uwydatniejące się wyraźnie w zetknięciu z rzeczywistością. I mimo iż w obu skrajnych wypadkach mamy coś wspólnego: zrozumienie potrzeby i pragnienie s i ł y organizacji państwowej — na prostej, łączącej oba stanowiska, nie da się odszukać punktu, który mając zalety obu, czy jednego z nich, byłby pozbawiony ich wad.

Zadanie jest zatem nierozwiązalne, jak długo znajdujemy się na płaszczyźnie ograniczonej do tych dwuch możliwości. Prawda ta zaczyna już bodaj dojrzewać w świadomości społecznej i zaczynają się budzić nadzieje, że istnieją pewne możliwości zejścia na inną płaszczyznę, dla znalezienia nowych rozwiązań. Wykrycie tych możliwości i ich wszechstronne oświetlenie — oto zadanie zmobilizowanej nauki i publicystyki społecznej, oto właściwa podstawa do budowania nowych koncepcyj ordynacji wyborczej.

*

Rozpatrując zagadnienie stosunku obywatela do państwa spotykamy od razu pewne zjawisko dość dziwaczne, mimo swej powszechności — jest to zjawisko automatycznego otrzymywania obywatelstwa państwowego, jedynie z powodu urodzenia się. Jeżeli zjawisko to nie budzi już zdziwienia, to chyba tylko z powodu nawyku, jaki w tej dziedzinie panuje. Nie ma bowiem żadnej innej zorganizowanej zbiorowości, do której wstąpienie byłoby równie zautomatyzowane i pozbawione wszelkiego aktu okazania dobrej woli służenia, a choćby tylko nie szkodzenia tejże zbiorowości. Jedynie tylko Kościół chrześcijański (prócz wyznań reformowanych) posiada bardzo daleko posuniętą pobłażliwość w tym względzie, zezwalając, by akt przystąpienia do społeczności odbył się *per procura* (rodzice chrzestni). Powody jednak takiego stanu rzeczy są tu znacznie głębsze [1]).

Automatyczne nabywanie obywatelstwa przez urodzenie się

---

1) W Kościele akt chrztu nie jest p r z y s t ą p i e n i e m do społeczności wiernych, lecz s a k r a m e n t e m działającym w sposób n a d p r z y r o d z o n y. W każdej natomiast organizacji ludzkiej — a państwo jest taką organizacją — stosować możemy tylko środki przyrodzone, naturalne i realne.

z rodziców - obywateli danego państwa jest oczywiście następstwem demokratycznej zasady równości, jednakże rozumianej fałszywie. Zasada bowiem równości i wolności wymaga przekreślenia przywilejów stanowych, przywilejów wynikających z urodzenia, tymczasem nie zostały one bynajmniej przekreślone, lecz jedynie zniwelowane, przez nadanie tego przywileju wszystkim. Błąd społeczny przywilejów stanowych nie polegał na tym, że były one ograniczone do pewnej, mniej lub więcej liczebnej grupy członków społeczeństwa, lecz że niesłuszna była i niesprawiedliwa droga do otrzymywania owych przywilejów. W przeciwnym bowiem razie równą niesprawiedliwością byłoby to, że pewna, drobna grupa ludzi otrzymuje dyplomy doktorskie, lub ordery. Nie sam zatem fakt istnienia przywilejów jest zjawiskiem antydemokratycznym, społecznie niesprawiedliwym i złym, lecz złym może być sposób, w jaki przywilej zostaje nadawany. Ze wszystkich możliwych błędów w sposobach nadawania jakiegokolwiek przywileju najjaskrawszy wydaje się automatyzm, wynikający z urodzenia. Ten właśnie błąd w sprawie obywatelstwa, w sprawie otrzymywania pełni praw obywatelskich, nie został bynajmniej zniesiony, a jedynie zamaskowany przez jego upowszechnienie.

Słuszniejszą formą wypełnienia zasady wolności i równości społecznej byłoby danie wszystkim obywatelom równych możliwości otrzymania pełni praw obywatelskich, niż danie ich automatycznie wszystkim.

Obywatelstwo polskie jest zaszczytem (gdyby było inaczej nie istniałoby obywatelstwo honorowe), który daje wobec państwa pewne prawa i nakłada pewne obowiązki. Jasne jest, że dla spełnienia jakiegokolwiek kompleksu obowiązków trzeba mieć pewne nastawienie woli, tak jak z drugiej strony, aby korzystać z pewnych praw, trzeba odpowiadać pewnym warunkom. Absolutna, mechaniczna równość wobec prawa, bez względu na jakiekolwiek warunki — byłaby jaskrawą niesprawiedliwością. Zasadę tą zresztą całkowicie i powszechnie uznajemy, aprobując np. stosowanie odmiennych sankcyj wobec ludzi o zmniejszonej poczytalności, nieletnich, popełniających przestępstwo w afekcie, podczas pełnienia obowiązków urzędowych i t.d.

Jedynie w dziedzinie praw obywatelskich absolutna, mechaniczna równość i automatyzm nie wydają się nam dziwolą-

giem prawnym [2]). W dotychczasowym (przedwojennym) ustroju państwowym sytuacja ta nie objawiała jaskrawo swej paradoksalności i niedogodności, bowiem państwo „przedwojenne", nie potrzebując spełniać tylu i takich czynności, jak dziś, było organizacją o wiele luźniejszą. Nieliczne, rażące wypadki znajdowały prowizoryczne rozwiązanie w formie pozbawienia „praw stanu". W nowoczesnych jednak ustrojach, równomiernie ze wzrostem obowiązków obywatela wobec państwa i *vice versa*, dziedzina ta doszła do punktu wymagającego rewizji.

Wydawałoby się znacznie sprawiedliwsze i słuszniejsze, aby uzyskiwanie praw obywatelskich (acz jednakowo dostępne dla wszystkich, bez żadnego wyjątku) było uzależnione nie od urodzenia się samego, lecz od spełnienie pewnych, ściśle określonych warunków. A mianowicie od wyrażenia dobrej woli świadomego służenia owemu wspólnemu dobru, jakim jest państwo. Akt ten, choćby miał być równie powszechny jak dzisiejsze obywatelstwo, byłby jednak czymś zasadniczo innym. Byłby nie tylko podkreśleniem w sposób przemawiający wyraźnie do każdego umysłu obowiązków obywatela wobec państwa, ale co więcej, byłby p r z e ż y c i e m, nadającym pamięci o tych obowiązkach postać nową i żywą w świadomości obywatela.

Możnaby sobie pomyśleć np. formę otrzymywania obywatelstwa zbliżoną do przysięgi żołnierskiej, składanej przez nowozaciężnych. Czyż bowiem w nowoczesnym państwie wszyscy obywatele nie są żołnierzami? Dlaczego jedna tylko część składa przysięgę i to obowiązującą częściowo i czasowo, gdyż tylko podczas noszenia munduru?

Oczywiście, otrzymywanie obywatelstwa (może potwierdzane wręczeniem karty obywatelskiej) musiałoby się odbywać dopiero w chwili osiągnięcia dojrzałości (obecnie również nie wcześniej otrzymuje się pełnię praw obywatelskich: działania prawne, prawo wyborcze i t.d.), po złożeniu odpowiedniej przysięgi służenia państwu według swego najlepszego rozumienia i najlepszej woli. Być może iż od osób urodzonych po pewnym wyznaczonym terminie, czyli mogących składać przysięgę obywatelską w 2, 3, czy więcej lat od wydania podobnej ustawy, należałoby wymagać znajomości podstawowych „dogmatów" państwowych w postaci na przykład wyciągu z konstytucji, czy innego „katechizmu obywatelskiego". Przygotowanie do

[2]) Mimo, że w praktyce owa absolutna równość jest w wielu, najbardziej nawet „firmowych" demokracjach raczej teoretyczna. Nigdy np. murzyn, czy indianin (autochton!) nie osiągnie w Stanach Zjednoczonych A. P. pełni praw obywatelskich, mimo formalnej równości konstytucyjnej.

takiego „wyznania wiary", bezpłatne i dostępne dla wszystkich w każdej szkółce, gminie, organizacji społecznej i t.p. byłoby niezłą lekcją uświadomienia obywatelskiego i narodowego [3]).

Wszyscy inni, to znaczy ci, którzy z jakichkolwiek względów nie mogliby otrzymać obywatelstwa, pozostawaliby mieszkańcami kraju, ale nie korzystaliby z pełni praw. Nie mieliby na przykład możności wpływania na losy państwa (wybory do samorządów i Izb Ustawodawczych, zajmowanie stanowisk w instytucjach publicznych, prowadzenie handlu z instytucjami państwowymi), oraz wpływania na wychowanie obywateli (szkolnictwo, prasa, wszelkie formy propagandy, naturalnie z wyjątkiem działalności czysto artystycznej).

Prowadziłoby to do powstania dwuch grup obywateli: pełnoprawnych i o prawach ograniczonych [4]), ale fakt ten nie byłby wcale, jak się to pozornie może wydawać, objawem braku sprawiedliwości społecznej, a przeciwnie, jej przywróceniem, o ile naturalnie otrzymywanie pełni praw obywatelskich nie byłoby żadnym przywilejem, rodowym, czy innym, lecz dostępne byłoby dla każdego po wypełnieniu identycznych warunków. Ponieważ nie otrzymanie pełni praw stawiałoby w sytuacji znacznie mniej wygodnej, przeto każdy starałby się albo otrzymać obywatelstwo, albo kraj opuścić. Z drugiej strony, gdyby utrata pełni praw obywatelskich następowała (całkowicie lub czasowo) przez zwykłe niedotrzymanie przyrzeczeń, na podstawie wyroku specjalnego sądu „obywatelskiego" — to wtedy stosunek obywatela do państwa stałby się znacznie bardziej i powszechniej pozytywny.

Jednocześnie, w związku z postulatami rozwijanymi w poprzednich artykułach naszych w „Przekroju", również automatyczna utrata obywatelstwa nie powinna być tak łatwa jak dziś. To znaczy obywatelstwo Rzplitej nie powinno wygasać z chwilą naturalizowania się obywatela w miejscu osiedlenia na emigracji. Emigrant taki mógłby posiadać w dalszym ciągu obywatelstwo polskie, a więc miałby podlegać zarówno obowiązkom wobec Państwa, jak mieć prawo do wszelkiej odeń opieki i pomocy. Jego dzieci nie traciłyby również prawa, po dojściu do pełnoletności, składania przysięgi obywatelskiej np. na ręce konsula. W ten sposób emigrant czułby się zawsze

---

3) Obawie, że taki „egzamin" mógłby w praktyce pozbawić pełni praw obywatelskich warstwy mniej kulturalne (chłopów) — przeczy wielowiekowa praktyka Kościoła, który od przystępujących do sakramentów (pokuta, małżeństwo) wymaga znajomości katechizmu. Zdobywają się na to z dobrym skutkiem przecież nawet analfabeci.

4) Pełnoprawnymi obywatelami nie zostaliby np. ci członkowie mniejszości narodowych, którzyby nie złożyli przysięgi służenia Rzeczypospolitej Polskiej.

znacznie silniej związany ze swym państwem i narodem, czułby moralne oparcie w Ojczyźnie nawet wtedy, gdy ze względu konieczności życiowych uważałby za potrzebne przyjąć obywatelstwo obce [5]). Czułby się nadal nie „emigrantem", „wychodźcą", lecz „wysłannikiem" swego narodu.

*

Ten, luźno przez nas rzucony projekt wymaga oczywiście pełniejszego przeanalizowania i przedyskutowania, sądzimy jednak, że jego wprowadzenie jest konieczne, tym bardziej, że byłby znacznie sprawiedliwszy i słuszniejszy, niż np. namiastka owego podziału na grupy obywateli, istniejąca w postaci członkostwa monopartii (w ustrojach totalnych) czy partii rządzącej. Wszelkie próby i postulaty zmian ustrojowych wypływają oczywiście z dwuch źródeł: dążenia do potęgi Polski, oraz podniesienia dobrobytu obywateli. Jestem przekonany, że drobny fragment reform ustrojowych, jaki naszkicowałem, potrafiłby obu tym celom służyć bardzo skutecznie, w niczym nie utrudniając prowadzenia polityki mocarstwowej, polityki Imperium, która bodaj zarysowała się już przed nami jako konieczność dziejowa.

STEFAN CZARNECKI [6])

---

5) W Niemczech i Japonii podobny stosunek emigrantów do państwa ojczystego wytrzymał próbę wieloletnią i wykazał swe niezaprzeczone zalety.

6) Ten podpis winien figurować pod wstępnymi artykułami w obu poprzednich numerach „Przekroju", co niniejszym prostujemy. Skrócenie podpisu do samego imienia wynikło z przyczyn od redakcji i od autora niezależnych — (Przyp. Redakcji).

WYBORY

Już w początkach ubiegłego miesiąca wyjaśniło się ostatecznie, że trzy duże ugrupowania opozycyjne: ludowcy, socjaliści i endecy nie wezmą udziału w wystawianiu kandydatur poselskich. Redaktor „Robotnika" M. Niedziałkowski starał się wyjaśnić w jednym z artykułów wstępnych (*„Jak my mamy to zrobić?"* — 6/X), że przyczyną abstynencji jest całkowita niemożność przeprowadzenia kandydatów opozycyjnych przez wybory w zgromadzeniach okręgowych, bez akceptacji tych kandydatur ze strony *„czynników postronnych"* (czyli OZN), a więc bez t. zw. *„targów o mandaty"*.

W odpowiedzi „Gazeta Polska" (13/X *„Jak to można zrobić?")* pisze:

Zamiast retorycznej polemiki, przytaczamy poniżej ścisłe zestawienie udziału przedstawicieli stronnictw opozycyjnych oraz mniejszości w zgromadzeniach okręgowych. Przedstawia się ono w poszczególnych województwach jak następuje:

Woj. warszawskie: na ogólną liczbę delegatów 887 przypada przedstawicieli Str. Narod. — 45, PPS. — 38, Str. Ludowego — 30, Żydów — 10, różnych — 11, razem 134;

woj. łódzkie: ogółem delegatów 820 w tym PPS. — 79, Żydzi — 54, Niemcy — 19, S. L. — 15, S. N. — 15, S. P. — 5, PPS. Fr. Rew. — 6, S. D. — 5, różni — 8, razem 199;

woj. kieleckie: ogółem delegatów 1221 w tym PPS. — 123, S. L. — 22, Żydzi — 21, S. N. — 14, różni — 21, razem 201;

woj. lubelskie: ogółem delegatów 1168 w tym Żydzi — 46, S. L. — 38, PPS. — 32, S. N. — 21, różni — 15, razem 152;

woj. białostockie: ogółem delegatów 672 w tym PPS. — 40, S. N. — 27, Żydzi — 20, konserw. — 11, S. L. — 4, Białorus. — 5, różni — 2, razem 109;

woj. wileńskie: ogółem delegatów 455, w tym konserw. — 23, Żydzi — 23, gr. gosp. — 20, Chad. — 12, Front Dem. — 10, PPS. — 8, S. N. — 4, Litw. — 6, różni — 6, razem 104;

woj. nowogródzkie: ogółem delegatów 362, w tym Białorus. — 18, Żyd. — 11, PPS. — 1, razem 30;

woj. poleskie: ogółem delegatów 353, w tym poleszucy — 59, Żydzi — 9, Rosjanie — 5, S. N. — 3, różni 8, razem 84;
woj. wołyńskie: ogółem delegatów 546, w tym Ukr. — 129, Żyd. — 32, S. N. — 7, PPS. — 5, różni — 5, razem — 178;
woj. stanisławowskie: ogółem delegatów 581, w tym Ukr. — 160, Żyd. — 31, PPS. — 17, S. N. — 14, S. L. — 5, różni — 2, razem 239;
woj. tarnopolskie: og. deleg. 609, w tym Ukr. — 117, Żydzi — 16, Rosjanie — 12, S. L. — 9, S. N. — 8, PPS. — 7, razem 179;
woj. lwowskie: ogół. deleg. 1.179, w tym Ukr. — 115, Żyd. — 34, PPS. — 78, S. L. — 38, S. N. — 34, bezpart. — 35, razem 334;
woj. krakowskie: og. deleg. 964, w tym S. L. — 106, PPS. — 57, S. N. — 24, S. P. — 11, Żydzi — 46, starorus. — 14, Z. L. — 6, bezpart. — 55, razem 319;
woj. śląskie: ogółem deleg. 667, w tym bezpart. — 28, Niemcy — 31, Str. Pr. — 19, PPS. — 12. OWP. — 7, S. N. — 3, S. L. — 3, Żydzi — 3, różni — 2, razem — 108;
woj. poznańskie: ogółem deleg. 1054, w tym S. N. — 98, Str. Pr. — 23, S. L. — 39, PPS. — 28, Żydzi — 5, ZZP. — 52 ZZZ. — 6, Niemcy — 5, różni i bezpart. — 102, razem 358;
woj. pomorskie: ogółem deleg. 1114, w tym S. N. — 78, Str. Pr. — 48, S. L. — 17, PPS. — 55, różni i bezpart. — 101, razem 299;
Warszawa: ogółem deleg. 464, w tym S. N. — 26, Str. Pr. — 1, PPS. — 37, CHD. — 31 PPS. Fr. Rew. — 16, Żydzi — 48, razem 159.

Jak z powyższego zestawienia widzimy, „dwa wielkie ruchy masowe Polski Pracującej" rozporządzają w zgromadzeniach okręgowych, mimo negatywnego ustosunkowania się władz naczelnych zarówno P. P. S. jak i Str. Ludowego do wyborów — pokaźną cyfrą 1000 własnych delegatów. A przecież był jeszcze sposób wprowadzenia delegatów przy pomocy „pięćsetek", co dla ruchu, który zwykł się mienić „ruchem masowym" było chyba trudnością dającą się pokonać.

„Robotnik" w replice na te obliczenia pisze, że według obowiązującej ordynacji *samodzielna kandydatura wymaga 25% głosujących członków tak zw. zgromadzeń okręgowych. W jakim więc województwie (pomijam już fakt, że województwo dzieli się na okręgi wyborcze) mogłyby „zaistnieć" kandydatury samodzielne P. P. S. i Str. Ludowego, albo obu tych ugrupowań razem?*
W żadnym...

Pesymistyczne to twierdzenie socjalistów podważają również obliczenia przeprowadzone przez „Wieczór Warszawski" (20.X.):
Zgromadzenia okręgowe wybrały 490 kandydatów. Ponieważ „Ozon" wystawiał w każdym okręgu tylko po 4-ch kandydatów, co w sumie daje 416 nazwisk, to prostym rachunkiem dochodzimy do wniosku, że na listach kandydatów znaleźli się także ludzie z poza „Ozonu" 490 — 416 = 74. Jednak ilość kandydatów, niezatwierdzonych przez ul. Matejki, jest jeszcze większa, ponieważ niektórzy zatwierdzeni przepadli przy prawyborach.

Ten sam dziennik przeprowadzał również statystykę kandydatów poselskich, stwierdzając że:
Najwięcej, bo aż 147 jest rolników. Poza tym na listach kandydackich m. in. widnieją ziemianie w liczbie 19, urzędnicy państwowi i komunalni, burmistrzowie, prezydenci miast 93, nauczyciele, kierow-

nicy szkół i gimnazjów — 50, adwokaci — 25, lekarze, inżynierowie, notariusze, agronomi — 22, właściciele nieruchomości — 13, kupcy — 16, księża — 10, robotnicy i rzemieślnicy — 21, profesorowie wyższych uczelni — 4, działacze społeczni i spółdzielczy — 10, dziennikarze i publicyści — 10, 5-ciu zawodowych wojskowych, 5-ciu oficerów w stanie spoczynku, 1 emeryt i 1 inwalida. Kobiet kandyduje 18.

Nie trzeba dodawać, że jakkolwiek statystyka ta jest interesująca i zestawiona skrupulatnie, nie mniej jest ona tylko przybliżona, gdyż dane o kandydatach nie były jeszcze oficjalne.

Większe znacznie trudności niż ustalenie składu zawodowego przyczyniła dziennikarzom ocena „oblicza politycznego" kandydatów. Doprowadziła do skonstatowania, że poza dużą grupą kandydatów „ozonowych" (wśród których widnieje znaczny procent „naprawiaczy") istnieje mała liczba osób reprezentujących t. zw. „opozycję sławkowską", oraz „nacjonalistów legionowych" a reszta (z liczby około 100 kandydatów pozaozonowych) są to „ludzie nieznani". „Czas" (15.X.) nawet artykuł wstępny opatruje tytułem „*Sejm ludzi nieznanych*". W konkluzji artykułu organ konserwatystów wywodzi:

Czy jednak ten przyszły parlament będzie lepszy, czy cechować go będzie rzeczywiście niezależność myśli, odwaga przekonań, konsekwencja, czy będzie on naprawdę tym, czym miał się stać, to jest bardziej wiernym od swego poprzednika zwierciadłem opinii społecznej? Trzeba być niepoprawnym optymistą, by na te pytania odpowiedzieć twierdząco.

Wśród tych wszystkich rozważań i kalkulacyj i właściwie dość jałowych i przedwczesnych nastąpił ewement polityczny pierwszorzędnej wagi: minister Kwiatkowski wygłosił 17 ub. miesiąca w Katowicach wielkie przemówienie polityczne, transmitowane przez radio i słuchane w najwyższym skupieniu przez setki tysięcy obywateli.

Ponieważ żadne z czasopism nie pomieściło w druku mowy ministra Kwiatkowskiego w całości, zaś samo wysłuchanie tak obszernej mowy nie może wystarczyć, przeto uważaliśmy za konieczne wydrukować pełny tekst przemówienia (według autoryzowanego komunikatu PAT'a). Mowa ta będzie niewątpliwie czymś, do czego niejednokrotnie trzeba będzie powracać, nawiązywać, odwoływać się, tak, jak dziś przypomina się wielokrotnie kwietniową, również katowicką mowę p. wicepremiera.

Mowa min. Kwiatkowskiego była obszernie omawiana i komentowana w całej prasie codziennej. Konserwatyści („Słowo" i „Czas") stwierdzają, że mowa ta jest nie tylko podporządkowaniem się czynnikom kierowniczym OZN., ale nawet przedwyborczą mową agitacyjną działacza ozonowego. Jednocześnie jednak podkreślają, że ustępy mowy będące „wyciągnięciem ręki do stronnictw opozycyjnych" są czymś nowym w postępowaniu O. Z. N. i że nic dziwnego, iż te właśnie ustępy zostały opuszczone w streszczeniu „Gazety Polskiej".

Ten sam moment został podchwycony przez opozycję narodowców z postawieniem silniejszego akcentu na trudności przyjęcia „wyciągniętej ręki" póki w Ozonie więcej znaczy to co mówi płk. Miedziński, niż co mówi wicepremier Kwiatkowski. Poza aluzją do kwietniowego wywiadu płk. Miedzińskiego z min. Kwiatkowskim — co było faktycznym sprostowaniem niektórych momentów ówczesne-

go przemówienia — jest to aluzja, poparta zresztą w niektórych pismach wręcz twierdzeniem, że płk. Miedziński w oficjalnym organie OZN. „skonfiskował" te ustępy mowy, których nie chciał aprobować. Powódź plotek i domysłów na ten temat przecięło oświadczenie red. M. Starzyńskiego z „Gazety Polskiej" że płk. Miedziński jest na urlopie i w redakcji nie urzęduje, a mowa była pośpiesznie skracana po to, aby się zmieściła w numerze poniedziałkowym gazety. Jednocześnie z tym oświadczeniem przedrukowane zostały wszystkie, opuszczone pierwotnie fragmenty mowy. Nawiasem mówiąc czytelnik, który nie interesował się tą, nieistotną wszakże polemiką nie wiele na tym skorzystał: — opuszczone fragmenty, wydrukowane oddzielnie od kontekstu z którym były w bezpośrednim związku, nabrały przeważnie trochę innego znaczenia, a przynajmniej innego tonu. W mowie zaś tego typu „ton" ma nie mniejsze znaczenie od znaczenia słownikowego wyrazów. Wstawienie zaś rozsypanych fragmentów mowy do jej całości byłoby łamigłówką niemal niewykonalną, skoro w pierwotnym streszczeniu nie tylko nie były uwidocznione miejsca opuszczeń, ale wygładzone całkowicie przez dopasowanie do siebie łączonych w tych miejscach zdań.

Komentarze socjalistów podchwyciły przede wszystkim te ustępy mowy, które dotyczyły zagadnień ordynacji wyborczej, witając je z dużą aprobatą. Zastrzeżenia socjalistów wypływały z twierdzenia że czyny obozu rządzącego są wypadkową różnych, zwalczających się tendencji i kierunków, to też *realna ocena rzeczywistości polskiej i stosunek do niej opierać się musi na faktach, które nie zawsze zgodne są z oświadczeniami.*

Podobne stanowisko ujawniły sfery zbliżone do Stronnictwa Ludowego, z większym tylko naciskiem na akcenty sympatii dla osoby samego min. Kwiatkowskiego, który, nie tylko zresztą przez ludowców, uważany jest za jednego z bardzo nielicznych polityków obozu rządowego, mogącego „dogadać" się z opozycją.

Krakowski „Ilustrowany Kurjer Codzienny" porównywuje obie mowy katowickie — kwietniową i październikową, — dochodząc do wniosku, że konkluzje wypływające z mowy obecnej dadzą się streścić w czterech punktach:

1) myśl zjednoczenia wszystkich zdrowych sił w narodzie uległa pogłębieniu w masach;

2) że rozmowy przeprowadzone przez rząd i współpracujący z nim obóz z innymi odłamami ideowymi usunęły dużo nieporozumień i są dobrym zaczynem na przyszłość;

3) że samo pojęcie metody zjednoczenia narodowego zostało rozszerzone na współpracę zwartych ugrupowań politycznych;

4) że absencja wyborcza stronnictw opozycyjnych, aczkolwiek jest niewątpliwym błędem, nie spowoduje cofnięcia ręki, wyciągniętej przez rząd i obóz współpracujący do rzetelnej zgody.

Również w punktach, ale najzupełniej innych ujmuje treść przemówienia S. S.(trzetelski) w „Wieczorze Warszawskim". Twierdzi on, że min. Kwiatkowski:

1) Ponawia propozycję pojednania z narodowcami i ludowcami przeciw demoliberałom i masonom,

2) zapowiada półroczne prowizorium (sejmu) i

3) stawia ultimatum w sprawie bojkotu wyborów.

Wszystkie te komentarze wypowiedziane były, trzeba to podkreślić jako okoliczność bardzo istotną, niemal bezpośrednio pod

wrażeniem mowy, przeczytanej w redakcjach z mokrych jeszcze kartek patowskich, lub nawet wysłuchanej przed głośnikiem radiowym. Spokojniejsza ocena przemówienia, jego staranne przeanalizowanie musiałoby doprowadzić do sformułowań nieco innych. Niestety na to nasza prasa codzienna miejsca nie ma, zaś polityczne tygodniki są raczej magazynami, niż po dziennikarsku traktowaną publicystyką i reportażem politycznym. To też wyniki mniej gorączkowych rozmyślań, a nawet dyskusyj na temat mowy min. Kwiatkowskiego nigdzie prawie nie znalazły odbicia w drukowanym wyrazie opinii publicznej.

Czy wobec tego należy i można sięgać do opinii mówionej? Przytaczać zdania i wnioski, które nie przeznaczone dla szerszego koła słuchaczy formułowane były niejednokrotnie bardzo efektownie, ale nazbyt ryzykownie, aby wytrzymać demaskującą próbę druku? Mógłby sobie może na to pozwolić reporter jakiegoś tygodnika politycznego, mogący szybko skorygować twierdzenia zbyt pośpiesznie skonstatowane, uwypuklić obserwacje niedocenione i pozostawione w cieniu. W naszym atoli piśmie nie moglibyśmy na to pójść. Pragniemy dawać przekrój stanu opinii publicznej, ale nie migotanie chwilowych blasków jakichś nieznanych świateł, odbijających się w płaszczyznach przekrojów.

Za potrzebne uważamy zanotować, że w przekonaniu ogromnej większości obywateli, nie tylko „polityków kawiarnianych", grupa rządząca bynajmniej nie jest jednolita, nawet po wyłączeniu czynników, formalnie pozostających poza OZN. Co więcej społeczeństwo usiłuje dopatrywać się wyników, a choćby odblasków wewnętrznych walk i napięć w tej grupie we wszystkich większych wydarzeniach politycznych ostatnich czasów. Grupa polityczna, której jednego z przedstawicieli widzi społeczeństwo w min. Kwiatkowskim ma się znajdować obecnie w impasie. Tak przynajmniej rozumiana jest niemożność dojścia do porozumienia z ludowcami. O pertraktacjach tych i rozmowach min. Kwiatkowski mówił w Katowicach dość szczegółowo. Rozmowy te nie dając wyników konkretnie zwaloryzowanych w walucie politycznej — przecież społecznie przyniosły bardzo wiele państwu, a w ten sposób przede wszystkim grupie rządzącej. Ich prowadzenie i to przez człowieka cieszącego się takim autorytetem i zaufaniem jak min. Kwiatkowski sprawiło, że w ciągu całego, kończącego się już roku rząd nie miał kłopotów z wsią. Nie było żadnych chłopskich demonstracji, nie było strajków, doszło do znacznego uspokojenia umysłów, co opozycji pozwoliło zająć pozytywne stanowisko wobec wyborów samorządowych.

Niestety ludowcy nie uzyskali nic jeżeli chodzi o stronę polityczną, gospodarczo chłopi również nic nie dostali (poza ustawą o utrzymaniu cen zboża, która będąc połączona z ewentualnym opodatkowaniem przemiału — nie ma dla chłopa łatwo zrozumiałej wymowy faktycznej zdobyczy) mimo, że inne grupy społeczne, emeryci, urzędnicy, kupcy, nawet przemysł, dostali od Sejmu najrozmaitsze ulgi.

Ta sytuacja wpłynąć może bardzo poważnie — jak twierdzi opinia polityków miejskich — na nastroje mas chłopskich. Wprawdzie min. Kwiatkowski mimo braku rezultatów, dzięki rozwiązaniu przez Prezydenta R. P. Sejmu i rozpisaniu wyborów z wyraźnym postawieniem sprawy organizacji wyborczej na płaszczyźnie dyskusji nie utracił nic ze swego kapitału zaufania, natomiast poważna

i to może na długo utrata zaufania mas chłopskich dotyczy tych, którzy uważani są za „mocodawców" ministra w pertraktacjach. Jeszcze boleśniej poderwany został autorytet tych działaczy stronnictwa, którzy pertraktacje prowadzili. Dotyczy to najpoważniejszych dziś osobistości w stronnictwie, to też w rezultacie miało powstać całkowite wymknięcie się z rąk przywódców ludowcowych władzy nad „dołami" organizacyjnymi. Czy do wiosny zajdą takie okoliczności, które zaufanie to pozwolą odbudować? Byłoby to niewątpliwie bardzo z punktu widzenia interesów państwowych pożądane.

Jak zatem ułoży się sytuacja społeczno-polityczna na wsi wiosną przyszłego roku? Zależy to oczywiście od rodzaju i tempa prac Sejmu — tego Sejmu, który dotychczas jest jedną wielką niewiadomą. Za wiele jest zatem niewiadomych, aby zadanie prognozy mogło być rozwiązane.

Skoro jednak nie możemy przewidzieć — trzeba rzeczywistość popychać w potrzebnym kierunku, tym na którym znajduje się rozwiązanie zagadnienia wielkości Rzeczypospolitej.

Taki mniej więcej bieg rozumowania mógł poprzedzać artykuł S. Strzetelskiego pt. „*Trzeba wreszcie powiedzieć prawdę*", drukowany w „Kronice" (Nr 41), który nie jest wprawdzie ani komentarzem, ani omówieniem mowy katowickiej, ale który niewątpliwie jest kontynuacją tych wątków myślowych, jakie obudziły echa mowy min. Kwiatkowskiego.

W artykule tym autor stwierdza, że demokratyczne reformy i liberalne prawo wyborcze, mimo wszystkie nadzieje, nie są zdolne wyczarować pojednania i siły wewnętrznej narodu.

Zmiana ordynacji potrzebna jest jako zabieg uboczny, a nie jako zasadnicze lekarstwo. *To nie o to chodzi, by przedstawiciele różnych partii i grup zasiedli przy wspólnym stole i pełni wzajemnych uczuć szacunku zaczęli się grzecznie i parlamentarnie... zwalczać. A w każdym razie nie chodzi o to dziś.*

Polska bowiem — podkreśla autor — *znajduje się w przełomowym okresie swych dziejów.* I jedno z dwojga: *albo zdobędziemy na stałe silną pozycję mocarstwową, zapewniającą pełnię życia i rozwoju, albo zostaniemy zepchnięci do szeregu państw „średnich" wegetujących w cieniu takiego lub innego mocarstwa z mizernymi pozorami niepodległości.*

Omówiwszy dokładniej najrozmaitsze objawy sytuacji wewnętrznej S. Strzetelski stawia diagnozę, że naród nasz dziś pod względem ideowym jest skonsolidowany całkowicie. Dała tego dowód postawa społeczeństwa w godzinach decydowania się sprawy Zaolzia, jednolitość przekonań o konieczności granicy polsko-węgierskiej. Sprawa mniejszości i antysemityzmu zatraciła najzupełniej różnice w pojmowaniu jej przez różne odłamy narodu, w poglądach na przebudowę gospodarczo-społeczną, politykę zagraniczną i, oczywiście rolę armii jesteśmy wszyscy najzupełniej zgodni. Konsolidacji organizacyjnej przeszkadza „diabeł honoru", który nie pozwala nikomu „pchać się, prosić o zjednoczenie".

Powiedzmy sobie z brutalną szczerością, że dziś w oczach wielu dobrych i uczciwych Polaków być opozycjonistą, to zasługa i honor, być „prorządowcem" to niemal hańba... Proszę się wmyśleć w okrutny tragizm tego zjawiska, rzuconego na tło wielkich zadań dziejowych, wobec których dziś Polska stanęła — pisze autor nie stara-

jąc się bynajmniej unikać znacznego przejaskrawienia obrazu, aby tym mocniej wyprowadzić i uwidocznić jego przejmującą pointę, i aby tym mocniej podkreślić swe konkluzje:

Trzeba przyznać głośno i otwarcie: próby konsolidacji etapami zawiodły... Jedyną skuteczną drogą wiodącą do zjednoczenia i pokonania ducha partykularyzmu i partyjnictwa w Polsce jest powstanie rządu, w którym obok piłsudczyków byliby reprezentowani przedstawiciele wchodzących dziś w rachubę stronnictw opozycyjnych. Byłby to *rząd pojednania, jako organizator jedności obozu narodowego, obozu — należy dodać wyraźnie — w którym stopiłyby się w jedność wszystkie elementy wielkiego frontu narodowego, elementy — dziś skonsolidowane wprawdzie ideowo, ale rozbite i skłócone organizacyjnie.*

Koncepcja jest niewątpliwie interesująca w założeniu, tylko jej ramy realizacyjne są może naszkicowane nieco za wąsko. Czy do stworzenia obozu jedności narodowej wystarczyłaby konsolidacja elementów frontu narodowego? Czy ludowcy mogliby zaakceptować taki plan? Wartoby posłuchać ich zdań i wypowiedzi na ten temat. Tym bardziej, że jak się zdaje, każda kombinacja polityczna pozostawiająca poza nawiasem przedstawicielstwo warstw chłopskich — nie umiejąca zdobyć wsi — musi mieć krótki oddech.

Mowa ministra Kwiatkowskiego

Za parę tygodni — święcić będziemy uroczyście i radośnie w całej Polsce i w całej polskiej rodzinie — bez względu na różnicę polityczne i miejsce pobytu Polaków na szerokim świecie — dwudziestolecie najważniejszego, bo przełomowego dnia w wiekowej walce naszej o odzyskanie niepodległości i o zjednoczenie ziem polskich.

11 listopada 1918 r. nie tylko skruszone zostały kajdany niewoli politycznej, nie tylko poczęły definitywnie wywracać się kordony graniczne wbite w żywy organizm narodu, ale również w tym dniu podnieśliśmy wysoko sztandar samodzielnej siły państwowej z dumnym napisem „honor i ojczyzna", sztandar sponiewierany u schyłku 18 wieku i nie odzyskany w tylu krwawych bojach i powstaniach na przestrzeni prawie 120 lat.

Ileż to wspomnień radosnych i bolesnych przebiegnie w tym uroczystym dniu przez naszą pamięć. Ileż to obrazów z niedawnej przeszłości w której równocześnie byliśmy aktorami i widzami, w której bezimienne bohaterstwo walczyło codziennie z obcą intrygą, odpowiedzialność historyczna ze strachem, czynność i poświęcenie z hasłem bierności, decyzja ze zwątpieniem, bezsilny oręż z zabójczym i zakłamanym słowem — zjawi się ponownie przed naszym wzrokiem i wydawać się będzie nam samym już tylko jak odległa i nierealna legenda. Tak życie dołącza się zwolna do dawnych kart historii.

Przez setkę lat ginęli i marli ludzie w Polsce — z wiarą nieopartą na żadnej realnej rachubie, z wiarą skłóconą z rzeczywistością, że przecież przyjdzie ten dzień zwycięstwa i wyzwolenia. Z tą samą wiarą ginęli żołnierze Kościuszkowscy i żołnierze Dąbrowskiego, żołnierze 1831 i 1863 roku, z tą samą myślą zamykali oczy i koledzy nasi, legioniści Piłsudskiego, i powstańcy śląscy czy wielkopolscy. I nadszedł — wielki swym realiźmie prostoty, tak ważki i tak szary, tak radosny i tak bezlitośnie odsłaniający bezbrzeżne zniszczenie Polski — dzień 11-go listopada 1918 r.

Nie mieliśmy w tych pierwszych latach odradzania się Państwa Polskiego — czasu na sporządzanie bilansów, na sporządzanie rachunku kilkoletniego zorganizowanego rabunku w Polsce w okresie wielkiej wojny. Wśród zgliszcz i ostatecznej nędzy wyzierającej z każdej ulicy, każdego domu, każdego gospodarstwa — byliśmy pijani atmosferą wyzwolenia. Już wówczas — może podświadomie — wiedzieliśmy, że jesteśmy najszczęśliwszem pokoleniem Polski na przestrzeni 300 lat, pokoleniem które przeżywa wyzwolenie i zjednoczenie Polski, które w zamęcie krwawych walk ustalą granice państwa, pokoleniem, które — związane z imieniem Piłsudskiego, symbolizującego bunt podeptanego honoru narodowego — zdobyło prawo budowania zrębów nowej Polski na nowe stulecia.

Ale później pod wpływem nacisku tego samego Wielkiego Człowieka i pod naciskiem sumienia narodowego — poczęliśmy sobie uświadamiać konkretnie, że zarazem jesteśmy pokoleniem, na które spadnie największa, historycznie bezmierna odpowiedzialność za losy wielu generacji i wielu wieków egzystencji nowej, odrodzonej Polski.

Któż w 20-ym wieku, po tylu doświadczeniach i tylu rozczarowaniach, po przeżyciu tylu zdrad i tylu gwałtów międzynarodowych, w atmosferze tak bezbrzeżnie cynicznego egoizmu silnych, mógłby jeszcze łudzić się, że bezprawie nie uderzy kiedyś o nasze granice, że zdrada obcych nie wyskoczy przeciwko nam właśnie w chwili naszej słabości, że nie będą szczepione wśród nas niewidzialną obcą dłonią zarazki rozkładu, anarchii, niewiary we własne siły, jad fałszywych oskarżeń i niekończących się sporów o rzeczy małe, aby tylko zasnuć trującym, gęstym gazem naszą drogę ku wielkości, ku potędze, ku dobrowolnej zwartości narodu polskiego?

MOŻEMY LICZYĆ TYLKO NA SIEBIE

Wiara w moralną władzę Ligi Narodów byłaby dziś karygodnym złudzeniem. Nie oczekujemy z tej strony ani pomocy, ani obrony. Wiara w międzynarodową sprawiedliwość i prawo jest pozbawiona realnych podstaw. Wiara w równość narodów — tych które nasyciły się przez wieki pracą i łupiestwem i tych, które w tym dziele nie mogły czy nie chciały przyjąć udziału — jest negacją rzeczywistości. Nawet wiara w dalekowzroczną mądrość i dobrą wolę chronienia dobrze zrozumianego własnego interesu — przez t. zw. mocarstwa pierwszej kategorii nie wytrzymuje nacisku obiektywnej krytyki. Czyż trzeba dodawać, że żyjemy w czasach, w których sojusznicy i przyjaciele są często bardziej niebezpieczni w działaniu i bardziej bezwzględni w krytyce niż wrogowie? Czyż trzeba ostrzegać, że świat który zdeptał wszystkie zasady prawne i wszystkie autorytety — nie może nikogo przepoić zaufaniem i spokojem na bliższą i dalszą przyszłość?

Wydaje mi się, że nadszedł czas, w którym wszelkie łudzenie siebie czy swych współobywateli jest niedopuszczalne; że jedyną rzetelną strawą pozostała prawda, prawda nie zabarwiona optymizmem i nie retuszowana dla rozgrywek politycznych.

W imię tej zasady należy codziennie przypominać w Polsce, że zawsze możemy liczyć tylko na siebie samych, że cały — bez reszty — ciężar odpowiedzialności za losy Państwa Polskiego — spoczywa dziś przede wszystkim na Polakach. Do tej zasady musimy przystosować nie tylko nasze działanie, ale co ważniejsze i nasz sposób myślenia i reagowania na sprawy publiczne.

BILANS SIEWU I ZBIORU

W każdym działaniu ludzkim istnieją dnie wyjątkowe, dnie skupienia i syntezy, dnie obowiązkowego „rachunku sumienia". Czyni ten obrachunek człowiek, gdy bada ile wartości osobistych i cudzych podeptał i roztrwonił lekkomyślnie, a ile przetopił na wartości trwałe i ważkie. Robi taki bilans każde przedsiębiorstwo, każda jednostka gospodarcza, każda instytucja społeczna, każdy człowiek. Jest to jak gdyby odbicie prastarej pracy rolnika, który musi zważyć ziarna siewu i ziarna zbioru — po żmudnej całorocznej pracy.

20-lecie niepodległości państwa jest dobrym momentem — nie tylko dla uroczystości i wiwatów — ale i dla obejrzenia się wstecz i zrobienia bilansu siewu i zbioru, dla odrodzonej Polski.

Osobiście jestem obecnie po raz dziesiąty członkiem Rządu Polskiego. Jeden z tych Rządów przeżył 3 dni — ostatni liczy sobie trzeci rok życia. Miałem więc może szczególną łatwość wniknięcia w to — czym Polska była, czym rozporządzała, czego sama dokonać mogła w r. 1918 i czym jest w roku jubileuszowym 1938.

Wypowiem więc moje najgłębsze przekonanie, moją wiarę, popartą nie fantazją lub nastrojem indywidualnym człowieka, ale popartą olbrzymim materiałem dowodowym o obiektywnej i historycznej wartości.

Rachunek naszych błędów, pomyłek, niedociągnięć a przede wszystkim braków jest duży. Ale nie umiałbym wskazać w Europie drugiego narodu, który z tak znikomymi zasobami w ręku, tak spętany przez okoliczności i warunki, mógłby wykazać się tak olbrzymim dorobkiem pozytywnym jak Polska. Polska 1918 r. i Polska 1938 r. to są dwa organizmy w niczym do siebie nie podobne, choć znajdują się w tym samym miejscu Europy.

Trzeba naprawdę wyjątkowej ślepoty, trzebaby mózg zalać żółcią, a oczy przesłonić zacietrzewieniem politycznym, by tego oczywistego faktu nie dostrzec. Gdybyśmy mieli współcześnie budować Polskę z niczego — tak jak powstała ona nad Wisłą i nad Wartą w zaraniu dziejów, to zadanie byłoby znacznie łatwiejsze i prostsze, większe ale mniej oporne, niż to które spadło na naród nasz w 1918 r. Mieliśmy trzy obce sobie Polski — obce gospodarczo i politycznie, nieufne i w zainteresowaniach nastawione ekscentrycznie, psychicznie rozbite, fizycznie

wyniszczone do granic ostatecznych, obskoczone przez uzbrojonych wrogów, przeimpregnowane obcym a często wrogim elementem — stopić w jeden wielki i jednorodny organizm, zdolny w pierwszym rzędzie do tego by żyć i walczyć o swą niepodległość. Nie nasza wola ale los dziejowy narzucił nam takie zadanie. Żyć i walczyć.

IMPONUJĄCE POSTĘPY

Dziś nasz instrument produkcyjny i organizacyjny dla tych dwuch wstępnych celów doszedł do takiego rozwoju, że możemy nie tylko zaopatrzyć siebie, ale możemy pomóc i innym narodom w wyżywieniu się i organizowaniu obrony. Mamy obce dokumenty w ręku, stwierdzające, iż największe potęgi świata uświadamiają sobie, że w tych dwuch dziedzinach poczyniliśmy w latach niepodległości imponujące postępy. Mamy całą gamę faktów, stwierdzających, że potencjał produkcyjny w obu dziedzinach w razie potrzeby możemy b. znacznie i szybko podwyższyć.

Gdziekolwiek w Polsce obrócimy nasz wzrok wszędzie napotkamy na poważne dzieła, które stopniowo zaatakują naszą fatalną strukturę ludnościową, które żywioł polski muszą ponownie uczynić panem sytuacji we własnym domu — nie tylko z imienia, ale i w pełnej i, realnej rzeczywistości.

Tylko narody i państwa żyją w innym wymiarze czasu niż jednostki ludzkie. Dla każdego z nas indywidualnie — lat dwadzieścia — to decydujący „szmat" czasu. Dla narodu i państwa to b. krótki okres życia. Spójrzmy na cuda Polski: czy zapomnieliśmy już o tych pustyniach piaszczystych przy brzegu naszego morza? Tam tętni dziś życie tak bujne, tak twórcze i tak gospodarcze — jak w żadnym zakątku Europy.

Wsłuchajmy się w mowę dorosłych i dzieci tu na Śląsku, tej dziś najbardziej polskiej i aktywnej narodowo dzielnicy, wejdźmy do szkół i do fabryk, do nowych osiedli i nowych domów robotniczych i odpowiedzmy sobie samym czy nie nastąpił tu cud takiej odbudowy potęgi polskości — o jakiej przed kilkunastu jeszcze laty nie mogliśmy marzyć? Gdybyśmy w skrócie filmowym mogli w ciągu jednej godziny ujrzeć syntezę 20-lecia pracy polskiej, to wydawałoby się nam, że to o inny naród i inny kraj chodzi. Rosłyby w oczach naszych olbrzymie i małe budynki, wyrastałyby obwałowania nad rzekami, jakieś stroświeckie koleje zmieniałyby stopniowo nawierzchnię, wagony, parowozy, by dochodzić do początków trakcji elektrycznej, dreny rozrastałyby się w ziemi, drogi poczęłyby się pokrywać twardą nawierzchnią, uzdrowiska weszłyby na drogę europeizacji, rozrastałaby się sieć banków, szkół, uniwersytetów, szpitali, lecznic, zbiorów muzealnych, rozrastałaby się potężnie sieć pocztowa, telefoniczna i radiowa, krystalizowałaby swe zadania i swe urządzenia opieka społeczna, zmieniałyby wygląd zewnętrzny nasze miasta. Spójrzmy dziś na naszą stolicę: Warszawę. Czyż to jest — to samo miasto, które znaliśmy przed wielką wojną w zewnętrznym wyglądzie, jako bramę ducha i cywilizacji wschodu? Czyż w chwilach wewnętrznego wyzwolenia od nałogu sprowadzania każdego zagadnienia do pytania: czy dokonał tego „nasz człowiek" — nie musimy przyznać w duchu, że w ciągu ostatnich kilku lat Warszawa wypiera systematycznie znaki niewoli i stwarza nieprzemijające pomniki polskiej pracy i polskiej cywilizacji. Czyż jest obce naszej świadomości narodowej, że realizują się rzeczy nowe i potężne i w Centralnym Okręgu Przemysłowym i na Kresach Wschodnich, w dziedzinie przemysłu i elektryfikacji, w zakresie gospodarstwa i obrony? Spójrzmy w głąb naszego własnego życia, a stwierdzimy, że w ciągu tego pierwszego 20-lecia — zasypane zostały mordercze znaki wielkiej wojny, odbudowane zostały wsie i miasta, fabryki i sieć komunikacyjna, gospodarstwa i urzędy, kościoły i zabytki kultu narodowego. Sejm roku 1919 nakazał ówczesnemu Ministrowi Skarbu, by na odbudowę kraju zaciągnął zagraniczną pożyczkę w wysokości 5 miliardów franków. Wydano odpowiednią ustawę. Byłoby naprawdę przesadą gdybyśmy chcieli oskarżać ówczesny Rząd, że nie zrealizował tak pięknej ustawy, Ale bez kontaktu pożyczkowego dwukrotnie większą sumę wyłożył zbiedzony naród polski. Własnym wysiłkiem odbudował Polskę. Powstały nowe fabryki, setki nowych produkcji, których w r. 1918 nie znaliśmy zupełnie. Kapitał przemysłowy i handlowy, choć opornie i powoli ale zdecydowanie przesuwa się w polskie ręce. Narasta polska ekspansja handlowa, mnożą się wartości kulturalne i społeczne. Jesteśmy dziś narodem pełniejszym, bardziej zorganizowanym i wyposażonym wielokrotnie obficiej, bardziej uzdolnionym do życia i walki niż w r. 1918.

Nie zastój i wegetację, a tym bardziej nie martwotę, lecz życie twórcze, bujne i zdrowe przynosi historia 20-letniego wysiłku narodu naszego w okresie jego wyzwolenia politycznego.

NARÓD I WÓDZ

A wreszcie czyż prymitywny obiektywizm nie nakazuje wyznać, iż w polityce zewnętrznej byliśmy przejęci z najwyższym umiarem i rozwagą duchem pokoju

i duchem honoru? Nie szukaliśmy nigdy zaczepki, a każdy czyn realnie demonstrowanego sojuszu, przyjaźni czy życzliwości staramy się odwzajemnić wielokrotnie. Wykluczyliśmy z naszego repertuaru myślowego wszelkie uczestnictwo w jakichkolwiek intrygach i spiskach międzynarodowych. Domagamy się szacunku dla nas i wiemy, że wszelkie lekceważenia choćby najsłabszego partnera jest doradcą fałszywym i w konsekwencjach zgubnym. Znamy wartość pokoju, gdyż dla nas reprezentuje on wartości nieskończenie wyższe, niż dla wielu innych, sytych i wszechstronnie zaasekurowanych narodów. Celem naszym — to odrobienie braków minionych stuleci; celem naszym — to walka o realizację pomyślniejszego bytu milionowych mas ludu polskiego. Celem naszym — jest ugruntowanie zachodniej cywilizacji i rozwój własnej, polskiej i chrześcijańskiej kultury na ziemiach polskich. Jesteśmy świadomi, że te cele mogą być realizowane tylko w okresie długotrwałego pokoju. Wojna jest wrogiem tych celów, które są nie tylko celami obecnego rządu i w szczególności ministra spraw zagranicznych, ale trwałymi celami narodu polskiego.

Tym nie mniej nie zapominamy ani na chwilę — w jakim to świecie żyjemy współcześnie. To też daremny trud — jeżeli ktokolwiek spekuluje na naszą naiwność czy bojaźń, dyktującą odsuwanie dojrzałych konfliktów na później. Usiłujemy rozstrzygnąć je we właściwej chwili. Pragniemy przebić się drogą prostą — do jasnej sytuacji w pośród narodów Europy. I w tym marszu nie ma między nami różnic. Całe społeczeństwo polskie — solidarne i zwarte — stoi przy Marszałku Śmigłym, gdy jako wódz naczelny, prowadzi naprzód karne i mocne i z każdym miesiącem coraz mocniejsze szeregi naszej narodowej Armii. Polska wie, że może zawsze liczyć na swego Wodza, a Naczelny Wódz wie, że w chwilach napięcia maszeruje równym krokiem z armią cały — całą duszą oddany mu naród.

POWRÓT ŚLĄSKA ZAOLZIAŃSKIEGO

Może kiedyś więc i nasi przyjaciele i nasi nieprzyjaciele zrozumieją tę dziwną dla nich prawdę, demonstrowaną praktycznie już po raz drugi w roku bieżącym, że Polacy mogą się spierać i ścierać o różne rzeczy, ale na zewnątrz pomaszerują solidarnie i entuzjazmem swym rozbiją niejedną siłę i niejedną intrygę, która do kalkulacji politycznej przyjmuje tylko elementy ściśle materialne.

Wówczas to zrozumieją, że choćby się zjechało czterdziestu mężów stanu ze wszystkich części świata, to dla ich dobrego humoru i spokoju my nie poświęcimy ani piędzi polskiej ziemi, że w każdą chciwą łapę uderzymy niezwłocznie szablą bez chwili wahania czy słabości tak samo jak odwrotnie każdy krok rzetelnej zgody i współpracy odwzajemnimy chęcią pokojowego rozwiązania najtrudniejszego choćby problematu, jak długo rozwiązanie mieścić się będzie w granicach wysoko pojętego honoru i niewzruszalności naszych praw państwowych.

Zgadzamy się bowiem z twierdzeniem historyka, który mówi: interesy wchodzą łatwo ze sobą w układy i kompromisy, honor i sumienie nigdy.

Symbolem naszego powodzenia politycznego, zwycięstwa wytrwałości odniesionego przez Marszałka Śmigłego i ministra Becka, jest powrót Śląska Zaolzańskiego w granice Rzeczypospolitej. Symbolem wytrwałości narodowej, symbolem czynnego patriotyzmu polskiego — jest ta ludność zamieszkała za Olzą, która wbrew wszelkim prawom materialnym, w imię czystej miłości narodu zachowała przez tyle lat swą duszę i serce polskie. To też cała Polska wita ich serdecznie i składa hołd ich bohaterstwu. Symbolem naszego postępu gospodarczego jest fakt spokojnego opanowania olbrzymich ruchów kapitałowych w okresie naprężenia międzynarodowego, z całą pewnością, że nie kryzys nas — ale my kryzys — przełamiemy i opanujemy.

MORALNA WARTOŚĆ WYSIŁKÓW

Nie sądzcie jednak — Szanowni Słuchacze — że rysując zdobycze i zwycięstwa Polski na przestrzeni ostatnich 20 lat — zapomniałem o litanii zastrzeżeń i wątpliwości, które nurtują Wasze umysły i które w Waszej świadomości tworzą potężnie ufortyfikowaną linię obronną przeciwko atakowi mojego optymizmu i mojej wiary w niezwykłe siły moralne i twórcze społeczeństwa polskiego.

Jeżeli nawet w przedstawionej właśnie sytezie rozeszliśmy się na chwilę, to zaraz — przechodząc tylko na inny punkt obserwacyjny — połączymy zgodnie nasze odczucia i sądy o Polsce współczesnej. Dotychczas bowiem mówiłem tylko o względnej wartości i dynamice wysiłku narodu polskiego w stosunku do środków, jakimi rozporządzał on w r. 1918. Prawdopodobnie zgodzilibyście się bowiem z moim twierdzeniem, że np. dynamicznie mniejszą wartość posiada budowa domu ludowego przez obywatela — milionera, dla uczczenia swego rodowego nazwiska, niż podtrzymywanie organizacji polskiej „Sokoła" w okresie zaboru przez biednego rzemieślnika dawnego Chorzowa, z jego najskromniejszych zarobków. Tak

samo oceniam wyżej wartość moralną wysiłku, jakiejś bardzo biednej, starej kobiety, która na dworcu kolejowym w Tarnowie przy wyjeździe w r. 1935 dla objęcia dość pustego wówczas Skarbu Polskiego doręczyła bezimiennie jako talizman powodzenia dla Skarbu — swój rodzinny skarb: talar z wizerunkiem Matki Boskiej, niż fundację społeczną bogatego obywatela, który po skonsumowaniu chwały w gazetach, rozmyśla się i próbuje odpisać swój dar od zeznania do podatku dochodowego.

Tak więc i osiągnięcia Polski — mierzone skalą jej trudności i jej możliwości — są doprawdy wielkie i wierzę w to, że rokują naszemu narodowi wielką przyszłość i otwierają przed nim takie możliwości rozwoju i znaczenia w świecie — jakich dziś ani sami Polacy ani ich wrogowie an sojusznicy przeczuwać nie mogą. Obciążenia i trudności nasze mogą się przemienić w nasze wartości i zwycięstwa, jeżeli ku temu celowi będzie szedł uparcie cały zwarty naród polski.

O PROGRAM NOWY, WIELKI, NARODOWY

Ale droga do takiego wielkiego i ambitnego osiągnięcia nie jest ani krótka, ani łatwa.

Nie jest krótka, bo strukturalne braki i zaniedbania Polski z okresu podziałów i niewoli, a nawet z okresu wewnętrznego rozbicia politycznego w 18 wieku a wreszcie z okresu wojny i ostatniego „nad-kryzysu" są olbrzymie. Może nawet ten fakt rozgrzesza wiele polskich zawodowych płaczek, którzy stojąc dla zasady bezczynnie nad głęboką polską rozpadliną, krytykują i rząd, i administrację państwową i miliony obywateli, którzy najczęściej w pocie czoła i w omdleniu ramion sypią tu bez przerwy w głębinę beton, by wyrównać powierzchnię, by utrwalić fundamenty dla nowej, gigantycznej nadbudowy.

Ale mniejsza o tych, co przyglądają się pracy społeczeństwa biernie i są posępni, gdy stwierdzać muszą polskie zwycięstwa. Ważniejszą sprawą jest ten wielomilionowy zespół ludzi, który chce dźwigać Polskę wzwyż. Stwarzać dla nich wielkie cele i wielkie środki realizacji — oto zadanie najważniejsze. Wprządz miliony ludzi głęboko patriotycznych, pracowników umysłowych, mieszczan, drobnych rolników i robotników, pracowitych, bez porównania inteligentniejszych od wielu innych narodów, skromnych w żądaniach, oszczędnych, odnoszących się do pracy z entuzjazmem, a nie umiejących jeszcze pracować zespołowo, nie odczuwających jeszcze wielkich celów, ku którym iść należy i nie wyposażonych w uzbrojenie, niezbędne dla wykonania tego zadania — oto zadanie dla kilku najbliższych pokoleń sterników nawy państwowej polskiej. Gdzie tylko zwrócić wzrok wszędzie powstaje potrzeba przebudowy i inwestycji. I ziemia orna i lasy, i pastwiska, i nieużytki, i góry i doliny, i drogi i rzeki, i lądy i morze, i wieś i miasto, i dzieci i dorośli i pokój i obrona i gospodarstwo i wielkie komunikacje, i technika i prawo, i kultura i moralność, i oświata, i opieka społeczna i Śląsk i Okręg Centralny i Poznańskie i Pomorze i stolica i Ziemie Wschodnie i administracja i polityka — wszystko woła niecierpliwie o inwestycje, o program nowy, wielki, aktywny, narodowy. Potrzebą współczesnej psychiki stał się marsz, ruch, prąd, o świadomym kierunku i jasnym celu, aktywność wymagająca widocznych rezultatów. Współczesna psychika dusi się i kiśnie w zastoju. Ten sam człowiek, który 20 lat temu przechodził obojętnie i spokojnie obok rozwalonego komina fabrycznego, obok walącego się dachu, obok brudnego domu czy sklepu, który kroczył po zanarchizowanej grząskiej i błotnistej szosie, który nie zwracał uwagi na grupy leniwych włóczęgów, czy przesiadujących w kawiarniach „złotych" młodzieńców, — dziś zaciska pięści i burzy się na widok wszelkiego niedołęstwa, marazmu, bezwładu, głupoty i egoizmu!

OBCE METODY

Tymczasem droga nasza do wytkniętego Polsce celu nie tylko nie jest i nie może być krótka, ale nie jest i łatwa. Fundamentalnym truizmem jest twierdzenie, że o rozwoju bogactwa kraju decyduje przede wszystkim stopień i sposób wykorzystania sił wytwórczych narodu. Narastanie rezerwy sił niewykorzystanych, to pierwszy element wewnętrznego kryzysu. Jest to powszechnie znane, że w Polsce posiadamy przy obecnej strukturze i dynamice gospodarczej znaczne rezerwy ludzkie — nawet w okresie pomyślnej koniunktury. Przyspieszać rozwój narodów bogatych jest zagadnieniem poważnym. Wielokrotnie trudniej podnieść do określonego poziomu społeczeństwo biedne. Nawet najbogatsze społeczeństwo, społeczeństwo Stanów Zjednoczonych, które reprezentując 6% ludności świata, zdołało zgromadzić 55% zapasów złota monetarnego i opanowało wiele, najważniejszych źródeł surowcowych, walczy prawie bezskutecznie od 10 lat z klęską bezrobocia i nie może przełamać trudności wchłonięcia milionowych mas ludzkich do trwałej pracy pokojowej i gospodarczej. My jesteśmy nie tylko uzależnieni w dostawie kilku ważnych surowców i niektórych urządzeń produkcyjnych od zagranicy.

ale co ważniejsze nie możemy i nie powinniśmy przeszczepić do Polski i kopiować obcego systemu, tzw. „nakręcania koniunktury". U nas te obce metody — po krótkim podnieceniu, musiałyby wydać opłakane rezultaty. Już sama nazwa wskazuje, że tam, za granicą idzie o sztuczne podniecenie załamującej się koniunktury; u nas idzie o głęboką zmianę strukturalną długofalową, którą kiedyś w skrócie i uproszczeniu definiowałem jako konieczność związania 50% ludności Polski z pracą w miastach i przemyśle. Jest to zagadnienie wielkiej rewolucji gospodarczej, technicznej, budowlanej, przemysłowej, konsumcyjnej, społecznej i socjalnej — dokonanej świadomie na drodze szybkiej ewolucji stosunków.

NADRZĘDNE INTERESY NARODU

I gdy inne, obce społeczeństwa dążą do sukcesów gospodarczych, politycznych czy społecznych w imię instynktu ogólno-ludzkiego, to my mamy pobudki dodatkowe, znacznie wyższego rzędu. Idzie nam bowiem nie tylko o ludzki poziom bytowania trzydziestu kilku milionów krzywdzonych od stu lat obywateli, ale idzie o nadrzędne interesy narodu polskiego i Państwa, za które my poniesiemy dziś i w przyszłości wielką odpowiedzialność. Musimy uczynić Polskę zespołem tak odpornym i twardym, tak cennym i niezawodnym w sojuszu i przyjaźni, i tak groźnym i bezwzględnym w obronie i walce z nieprzyjacielem, na tyle samodzielnym gospodarczo i finansowo, na tyle wewnętrznie jednolitym i jednorodnym, by każda burza dziejowa rozbiła się u podnóża naszych granic państwowych, by honor Polski nie był nigdy lekceważony i deptany, by naszych spraw nie próbowano nigdy rozstrzygać bez nas, by naszych rodaków zamieszkałych za granicą nie odważono się bezkarnie krzywdzić i poniewierać. Do dwóch haseł z r. 1918: móc żyć i móc walczyć — dodajemy dwa dalsze hasła: rozbudować potęgę Polski jako mocarstwa — i pilnować honoru Polski nie tylko u nas w domu, ale i wszędzie tam, gdzie mieszkają Polacy. Ustalamy sobie dziś otwarcie i jasno, bez obłudnych formułek politycznych: mamy jeszcze i wewnątrz w Polsce i w świecie coś do zdobycia i do wywalczenia. Świat przestaje należeć do kilku bogatych i zdegenerowanych politycznie oligarchii; władza, znaczenie i wartości materialne przesuwać się już poczęły do rąk narodów dynamicznych, zwartych, moralnie zdrowych, świadomych swych celów, zdecydowanych na to, by nie panoszyła się w nim buta jednostek i mafij możnowładczych, by interesu publicznego nie szarpały jednostki i koterie polityczne, ale przeciwnie zdecydowanych na to, by cele personane i małostkowe nie rozbijały zwartych narodowych szeregów i wiekich historycznych dążeń narodowych. Jeden z wybitnych pisarzy zagranicznych, w świeżo wydanej pracy stwierdza: „sposób myślenia bogatych narodów nie uległ od r. 1924 żadnej zmianie. Zmuszają one uboższe narody do buntu". Jeżeli spojrzymy prawdzie w oczy i zapytamy: kto pracuje w podziemiach kopalń Polski, Francji, Belgii, Niemiec, Ameryki — to odpowiedzieć musimy: głównie Polacy. Kto przemieniał dzikie stepy i pustynie Brazylii, Stanów Zjednoczonych, Argentyny, Kanady w urodzajne pola, kto w krwawym pocie obrabiał pola wielu narodów w Europie? W wielkiej liczbie Polacy. Kto stwarza wszelkie instrumenty bogactwa w Polsce? Kto pracuje w fabrykach i warsztatach przy różnorodnej produkcji? Któż to przewozi kolejami miliony ton towarów? Kto buduje Gdynię? Polacy. Kto wyruszył na przebudowę Centralnego Okręgu Przemysłowego? Polacy, Kto maszeruje w zwartym szyku wojskowym, gdy łba trzeba nadstawiać za Polskę? Polacy. Któż wypracowuje wszelkie wyżywienia w kraju? Głównie Polacy. Czyż to morze pracy jest dostatecznym powodem, byśmy byli często w pogardzie u obcych? By wyzyskiwano nas — jak ongiś wyzyskiwano narody kolonialne? By ostateczne rezultaty materialne i moralne naszej pracy należały do obcych gentlemanów? By nasze prawa terytorialne były poczytywane za gorsze, niż wiekowe bezprawia innych narodów?

PRAWO NARODÓW SILNYCH

Nie jestem człowiekiem nowym i nieznanym w Polsce — więc nie potrzebuję podkreślać, że nie będę zachęcać Polski nigdy ani do totalizmu, ani do naśladowania faszyzmu, ale wyznaję, że patrzę z szacunkiem na naród italski, gdy wobec zatrzaśnięcia drzwi we wszystkich krajach o znikomym zaludnieniu przed napływem emigrantów z przeludnionej podobnie jak Polska Italii, tylko w imię tego, że Włosi nie dają się łatwo wynarodowić, na rozkaz Mussoliniego drzwi te przemocą otworzył uzbrojony żołnierz włoski. Prawo do sprawiedliwości międzynarodowej mają tylko narody silne, zwarte i politycznie zorganizowane.

W kwietniowej mowie katowickiej apelowałem jak najgoręcej do całego patriotycznego społeczeństwa polskiego, by samo rozważyło głęboko warunki, w jakich Polska walczyć musi o swoją egzystencję i o szacunek dla swoich najżywotniejszych interesów. Nawoływałem, że jeżeli mamy stawić zwycięsko czoło wszystkim niebezpieczeństwom, grożącym codziennie naszemu narodowi, czy to od

strony politycznej, czy też gospodarczej, to musimy przede wszystkim zmienić stosunki wewnętrzno-polityczne. Oczywiście, iż nie apelowałem w ten sposób do samego Rządu, czy też do kierowników obozu niepodległościowego, ale do całego społeczeństwa, gdyż nie idzie dziś jedynie o jakieś decyzje formalno-prawne, ale przede wszystkim o psychiczne podłoże stosunków wszystkich obywateli polaków do Państwa i odwrotnie Państwa do obywateli.

Od roku 1918 świat cały przebył zawrotnie głęboką ewolucję. Dziś mapa Europy stała się znowu plastyczna i ruchoma. Kryzys i zamęt doktrynalny i ideowy doszedł w świecie do zenitu. Poprzedni kryzys gospodarczy nie przestał jeszcze ciążyć — w swych skutkach nad światem, a już wiele państw rozpoczyna ten taniec diabelski na nowo. Im zdrowszy będzie nasz organizm od wewnątrz, tym łatwiej przeciwstawi się wszelkiej zewnętrznej zarazie, tym trudniej ulegnie szerzącej się epidemicznie chorobie.

RZĄDNA I KARNA DEMOKRACJA

Ustaliliśmy wspólnie to, ku czemu dążymy, wspólnie, bo tylu obywateli odezwało się do mnie listownie, po kwietniowej mowie katowickiej, z aprobatą przedstawionego zarysu, iż tendencje te mogę uważać za wyraz wspólnych przemyśleń.

Dążymy do rządnej i karnej demokracji. Przeciwstawiamy się zaś demokracji masońsko-liberalnej, pracującej nad skłóceniem mas, nad rozproszkowaniem prądów politycznych, posługującej się terorem oszczerstw i insynuacji w publicystyce, by w tej mętnej wodzie chronić interesy uprzywilejowanych jednostek. Kłamstwo frazesu demokratycznego leje się strumieniami na różne społeczeństwa w świecie, bezwartościowe i fikcyjne prawa są podnoszone do godności religii, dla której rzekomo ma się toczyć walka, a w rzeczywistości mała grupa ludzi z cynizmem steruje ku zorganizowanemu łupiestwu milionów ludzi i skarbu państwa na rzecz przyjacielskiej grupy autokratów, przybranych w czapki jakobinów. Z tą samą mocą musimy przeciwstawić się międzynarodówce komunistycznej, opanowanej przez zwyrodniałe jednostki, podporządkowujące interesy narodów ciemnym celom mafii. W obu wypadkach walka nasza musi być stanowcza i nieugięta. Na nas, na współczesnym pokoleniu ludzi myślących i ludzi zdolnych do walki w Polsce, spoczywa obowiązek wydarcia narodu z kleszczy zdegenerowanego światopoglądu i zakłamanej polityki niezależnie od tego czy jej utajone źródła wypływają z zakonspirowanych „jaczejek" komunistycznych, czy z lóż masońsko-liberalnych, czy też z ugrupowań tzw. międzynarodówki złotej. Rząd odpowiednim aktem prawnym określi w tej dziedzinie wyraźnie swe stanowisko.

Kierunkowa naszego pochodu winna iść ku demokracji zorganizowanej, służącej rzetelnie idei państwowej i idei narodowej, pragnącej realizować wielkie ogólnopaństwowe cele, a więc solidarnej przez entuzjazm dla pracy i postępu, a wiążącej dla realizacji określonych celów te ugrupowania polityczne polskie, które wymieniłem już w kwietniu. Podstawą jej działań winna być Konstytucja Polska, która funduje silną władzę wykonawczą, która daje Prezydentowi Rzplitej prerogatywy, umożliwiające mu ponoszenie historycznej odpowiedzialności we współczesnych arcytrudnych warunkach, która wymaga dobrej, uczciwej i sprawnej administracji i gospodarki w Państwie, Stan faktyczny — stokrotnie usprawiedliwiony sytuacją zewnętrzno-polityczną — utrwalił też specjalne w Państwie stanowisko dla Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych. On dźwiga na sobie zadania, przewyższające odpowiedzialnością i to, co normalnie czyni Rząd, i to, co stanowi zakres działania władzy ustawodawczej. Wojna nowoczesna wprzęga w akcję cały naród, wszystkie jego zasoby i siły. Wódz, któryby począł organizować państwo dla wojny w dniu wybuchu konfliktu, choćby był wyposażony w stokrotne siły człowieka — musiałby przegrać wojnę. Widzieliśmy niedawno paraliż świetnie uzbrojonej i dobrze zorganizowanej armii w naszym sąsiedztwie, omotanej rozgrywkami politycznymi i odsuniętej od wszelkiego wpływu na organizacje własnego społeczeństwa. Musimy uznać wielką i twórczą rolę Parlamentu. Jego zadaniem jest stanowienie praw, jego troską jest kontrola nad działalnością rządu. on przepracowuje przedłożenia budżetowe, on w pierwszym rzędzie powołany jest do krytyki działalności rządu, która to krytyka — jeśli nie wynika z pobudek niskich, personalnych, mafijnych, zarobkowych — jest najrzetelniejszym i najbardziej pożądanym współpracownikiem i sojusznikiem rządu, a obrońcą państwa.

Ta zjednoczona na szerokiej, narodowej podstawie dobrowolnie solidarna, wpatrzona w wielkie cele ogólno-państwowe, szanująca Konstytucję i swego Prezydenta, budująca fundament zaufania do Wodza Naczelnego — demokracja ma i mieć będzie swoich przeciwników politycznych i gospodarczych na obu skrzydłach prawym i lewym. Wszystko to co mobilizuje się przeciwko wielkiej reformie stosunków politycznych w Polsce, co przeciwstawia się nadrzędności interesu Państwa, to co umie tylko żyć w pseudo-liberaliźmie uświęcającym rozbój i prawo wyzysku dla jednostek, to co ufa tylko bankom zagranicznym, co płaszczyło się przed dworami i gubernatorami zaborców, to co uznaje władzę tylko wtedy, gdy ta władza bije, albo gdy z nią konszachtuje, to wszystko co uznaje za

święte tylko egoistyczne „prawo własności" a godzi się i pragnie naruszania tego prawa u innych, to wszystko — łącznie ze swymi cichymi wspólnikami — niech pozostanie poza nawiasem zjednoczenia, niech oponuje, niech krzyczy i krytykuje, niech pieni się, niech wiwatuje na wieść o każdej niedoli czy klęsce nowej i beznich zorganizowanej Polski. Nic nam po takich sprzymierzeńcach, gdyż sparaliżują oni wszelki pochód narodu polskiego ku potędze, nie obawiajmy się takich wrogów choćby zakrzyczeli Polskę jako stado żab, nie będą już rośli w mandaty i znaczenie jak na drożdżach, gdyż nie do nich należy siła i zwycięstwo.

WALKA BEZ PARDONU

Wyruszamy również przeciwko drugiemu groźniejszemu nieprzyjacielowi wewnętrznemu. Ruszymy do walki przeciwko tym, którym samo istnienie Polski jest wrogie, którzy pod hasłem obrony ludu, pod fałszywą maską braterstwa narodów „wybranych" chcieliby zniszczyć nas materialnie i moralnie. Zdajemy sobie sprawę, że Polska, szczególnie od okresu Piłsudskiego, stała się zaporą, uniemożliwiającą przerzucenie pożogi rewolucji międzynarodowej na zachód. Europy. Zdajemy sobie sprawę, że nasza postawa uniemożliwiła swobodę ruchów obcym agenturom, uniemożliwiła szersze zaatakowanie zasad etyki chrześcijańskiej i Kościoła Katolickiego, uniemożliwiła rozrzerzanie się wpływów mocarstwa anonimowego. Rozumiem więc ich wściekłość i walkę przecwko Polsce. Ale tu nie może istnieć z naszej strony ani tolerancja ani zawieszenie broni. Na wszystkich odcinkach życia musi się toczyć ta walka, walka bez pardonu i bez kompromisów. Jestem zaś głęboko przekonany, że gdy te walki podejmiemy jako naród zwarty i skonsolidowany, zrównoważony i świadomy swych praw, spokojny przez poczucie swej siły i swego patriotyzmu, odniesiemy wspaniałe zwycięstwo na całej szerokości życia publicznego.

ZGODA NARODOWA

Główne cele, które w najbliższym okresie historycznym mamy do osiągnięcia naszkicowałem w pierwszej mowie katowickiej. Cele te nie mogą być obecnie zwężone, raczej muszą być rozszerzone, gdyż warunki zewnętrzno-polityczne, gdyż skłębienie się dymów nowego, ciężkiego przesilenia gospodarczego nad wielu państwami w Europie, gdyż wreszcie znaczne rozszerzenie potencjału gospodarczego Polski, wynikające z przyłączenia Śląska Zaolziańskiego, stawiają przed nami nowe, trudne, pilne i ciężkie zadanie do spełnienia.

Już w kwietniu wskazywałem, że to wielkie dzieło, które w duchu nazywamy zgodą narodową, budową szerokiego frontu narodowego, jest niezmiernie trudne i skomplikowane. Naszpikowaliśmy się wszyscy bez wyjątku taką dozą nieufności, związaliśmy tak dalece każdą dużą i małą sprawę ze znakiem herbowym diabelskim, który się zwie „względy prestiżowe", puściliśmy w ruch takie motory, pędzone śliną i atramentem — własnym i obcym — a powodujące ruchy mas ludzkich w przeciwstawnych kierunkach, tak silnie zabarwiliśmy aktualnościa i personaliami zamarłe spory z 1918 r., że dziś rzeczywiście przy obopólnej dobrej woli, tj. również wielu ludzi z tzw. opozycji — jest rzeczą naprawdę niełatwą zmienić kierunki marszu o 90 stopni i uformować na nowej, wielkiej autostradzie historycznej potężny i prostopadły do dzisiejszego kierunku pochód dla realizacji wielkich zadań i wielkich celów.

GŁĘBOKIE I DODATNIE ZMIANY

Tym nie mniej, jeżeli tylko zechcemy wyjrzeć poza grono starych i nowych malkontentów, biadających fachowo na kilku zasekwestrowanych już kanapach, oraz poza łamy kilku pism przyszłego naszego frontu walki — na wielki świat polskiego życia, to dostrzeżemy, że od kwietnia do chwili obecnej zaszły b. głębokie i dodatnie zmiany w nastawieniu milionów ludzi do hasła rzuconego przez Marszałka Śmigłego-Rydza — oraz, że szereg myśli zawartych w ówczesnej mowie katowickiej doczekało się już realizacji. Tak więc zostało realnie pchnięte naprzód hasło odbudowy samorządu terytorialnego, dotychczasowe Izby Ustawodawcze, które mimo zapowiedzi wszystkich niemal grup w ciągu ubiegłych sesji nie podjęły zadania reformy ordynacji wyborczej, zostały rozwiązane, z miejsca najbardziej autorytatywnego zostało stwierdzone, że istnieje możliwość rychłej zmiany dotychczasowej ordynacji wyborczej do parlamentu i co najważniejsze samo pojęcie metody zjednoczenia narodowego zostało rozszerzone na kolaborację zwartych ugrupowań politycznych. Wreszcie podjęte zostały przez kierownicze czynniki Obozu Zjednoczenia Narodowego — częściowo przy moim współudziale rozmowy z reprezentantami ruchu ludowego i ruchu narodowego, które usunęły dużo

nieporozumień i są dobrym zaczynem na przyszłość. Aby ocenić uczciwie i zgodnie z prawdą linię tych wydarzeń i wysiłków należy jeszcze zwrócić uwagę na kilka faktów które na ogół nie są publicystycznie, wystarczająco oświetlone.

Rząd, który na przełomie 1935/36 znajdował się w bardzo trudnych warunkach, w r. 1938 — proszę to przyjąć za tak szczere wyznanie, jakim ono jest w istocie — czuje się zwartym i silnym, silnym moralnie i materialnie i naprawdę nie widzi przeciwnika politycznego, który — poza wolą Prezydenta Rzplitej działającego w tak niezwykłej harmonii i przyjacielskiej współpracy z Marszałkiem Śmigłym — mógłby Rząd obalić, a nawet choćby tylko wymusić jakiekolwiek najdrobniejsze ustępstwa, które nie wynikałoby z własnego przekonania Rządu albo wreszcie postawić Rząd wobec sytuacji, której Rząd nie mógłby szybko i sprawnie opanować. Rząd wie, że może popełnić i jako bardzo czynny napewno popełnia wiele błędów, ale jest też świadom, że nikt z dobrą wolą nie może zarzucić, by Rząd nie kierował się wysokim poczuciem patriotycznym, wysoką obowiązkowością, by nie przestrzegał bardzo skrupulatnie zasad etyki i prawa oraz należnej powagi w działaniu.

SIEDZIMY DOBRZE W SIODLE

Drugim faktem jest to, że liczenie na „dekompozycję" czy to w łonie O. Z. N. czy też w stosunkach pomiędzy Rządem a O. Z. N. jest naprawdę niewczesne i prowadzi do fałszywych kalkulacji. Przeszliśmy swój wewnętrzny kryzys, ale kryzys ten jest poza nami, opanowaliśmy go wcześniej, niż inne grupy i dziś — mamy pełną świadomość, że siedzimy dobrze w siodle, że obok wielkich sukcesów zewnętrzno-politycznych, obok dość dobrej obrony wielu — choć nie wszystkich odcinków frontu gospodarczego i finansowego, obok sukcesów w Okręgu Centralnym i w podniesieniu potencjału obronnego — odniesiemy — jako Obóz, do którego i ja mam zaszczyt należyć — duży sukces w haśle naszym masowego udziału w głosowaniu do Parlamentu. Po raz pierwszy bowiem ułatwiliśmy tej wielo-milionowej masie ludzkiej, która nie jest zorganizowana w żadnych partiach politycznych — iż mogła wysunąć swobodnie swych własnych kandydatów na posłów, jak sądzę ludzi uczciwych, dzielnych, ofiarnych i wysoce etycznych, choć może w partiach politycznych mniej znanych, którzy obok przedstawicieli O. Z. N. i przedstawicieli niektórych ugrupowań opozycyjnych i mniejszościowych — tak jak to ostatecznie zarysuje się pod koniec listopada, po zakończeniu całego procesu elekcyjnego — zasiądą w nowym parlamencie polskim, dla wykonania niezwykle ważkich aktów państwowych, a przede wszystkim dla przepracowania reformy ordynacji wyborczej.

Proszę nie myśleć, że ten — niezwykły w moich przemówieniach — ustęp jakgdyby „samochwalstwa" rządu i obozu, że te może „smutne stwierdzenia" dla różnorodnej opozycji — wypowiedziałem w celu bojowym, albo w celu straszenia dzisiejszych przeciwników. Nic nie jest bardziej dalekie od mojej intencji.

Wprost przeciwnie — osobiście wyprowadziłem stąd wniosek — że tym większy obowiązek ciąży na nas za doprowadzenie do zgody narodowej, do pojednania, do skupienia przy pracy dla dobra i potęgi Państwa jak największego grona ludzi zdolnych, mądrych, ofiarnych, rzetelnych, choćby nawet między nimi i nami istniały w przeszłości i teraźniejszości spory i różnice polityczne.

WYCIĄGNIĘTA RĘKA

Nasza ręka — wyciągnięta do rzetelnej zgody, z ludźmi, którzy pragną wielkości Polski i którzy tej zgody nie traktują jako targu politycznego jest nadal wyciągnięta i gotowa do braterskiego uścisku. Chcemy zamknąć przeszłość i otworzyć wyścig zasług w nowym biegu. Nie mamy żadnego ustępstwa na sprzedaż i nie domagamy się w stosunku do nas żadnej innej postawy, jak postawy ludzi, którzy jak równi z równymi dzielić będą ciężar wielkiej odpowiedzialności za losy i rządy w Polsce.

Oświadczaliśmy niejednokrotnie przedstawicielom dotychczasowej opozycji, iż gdyby zdecydowali się już obecnie wejść do Parlamentu i zajęli ostro opozycyjne stanowisko wobec naszego Rządu, nie mielibyśmy do nich najmniejszej pretensji, pomimo szczerego i jawnego wysiłku, by niczym nic utrudnić im akcji wyborczej.

Natomiast pojawienie się z jakiejkolwiek strony tendencji do urządzenia stosunków politycznych w Polsce na wzór z przed r. 1926, albo na wzór liberalno-masońskich gier w niektórych państwach obcych napotka z naszej strony odpór najbezwzględniejszy i tak stanowczy, że inicjatorom napewno odechciałoby się na długo ponawiania takiej próby.

Nie można się bowiem łudzić, że odstąpimy od zasadniczych wskazań Marszałka Piłsudskiego — jak je rozumiemy przy najlepszej woli — gdyż widzimy dowod-

nie, że one już ochroniły Polskę przed niejednym wielkim nieszczęściem zewnętrznym i wewnętrznym i chronić ją muszą nadal.

Jakże fałszywym tonem brzmią w tych warunkach fanfary radości i triumfu w dwuch pismach konserwatywnych, że ministrowi Kwiatkowskiemu nie udał się program konsolidacji, gdyż Stronnictwo Ludowe nie idzie do wyborów. Są mózgi ludzkie, które żadnego zagadnienia nie mogą ująć inaczej, jak tylko od strony przetargu. Wedle tych metod drożdże kompensują się z mandatami. Nie ma mandatów — interes się nie udał. Nie sądzę bym miał obowiązek rozprawiania się z takimi metodami. Nie pójście niektórych polskich patriotycznych i demokratycznych grup do wyborów — jest prawdopodobnie dużym ich błędem. Stwierdzam z tą samą szczerością, że wedle mego osobistego przekonania — ominięcie tej sposobności przyśpieszenia procesu zjednoczenia sił polskich — zapisane będzie w historii Polski na rachunek tych ugrupowań, jako posunięcie mało roztropne i, mimo wszystko, mało uzasadnione.

FAKTYCZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA LOSY POLSKI

Ale ono nie zepchnie nas z obranej drogi, gdyż droga ta jest wytyczona potrzebą Polski — a nie potrzebą rządu, obozu, czy też opozycji. Te ugrupowania, reprezentujące, jak i my, polskich chłopów, polskie mieszczaństwo czy inteligentów, polskich robotników — ponoszą rzetelnie na równi z nami faktyczną odpowiedzialność za losy Polski, bo nie mają możliwości od niej uciec. To też dążymy do tego — niezależnie od chwilowych trudności, by i formalnie tę odpowiedzialność dźwigali przez oddziaływanie bezpośrednie na politykę polską. Być może, że okres wyborczy, okres walki o taktykę i metody działania, może nawet zaostrzy tu i ówdzie nasze wzajemne stosunki.

Nie ma to żadnego znaczenia w dążeniu programowym i zasadniczym, gdyż wiemy, iż przyjdzie dzień, który wypełni dalekowzroczne żądanie Marszałka Śmigłego-Rydza. I wówczas tak samo jak na Śląsk Zaolziański w mundurach, tak samo pomaszerujemy w „cywilu" do starej stolicy Polski w Krakowie ramię przy ramieniu: członkowie Obozu Zjednoczenia, ludowcy i narodowcy polscy różnych odcieni i różnych temperamentów, by u srebrnej trumny Marszałka Piłsudskiego stwierdzić wspólnie; że zrozumieliśmy drogowskaz, który On ustawił Polsce na wielką przyszłość.

Dotychczas — w dużym i rzetelnym wysiłku — i my i oni oczyściliśmy przedpole myśli ze starych przeszkód i wielu uprzedzeń. Droga do dalszej pracy jest otwarta, a osobiście sądzę, że czynnikiem, przyśpieszającym pożądany proces będzie fakt, iż w najszerszych warstwach społeczeństwa proces konsolidacyjny posunął się znacznie dalej, niż wszystkim obserwatorom powierzchni politycznej się wydaje.

Tego kapitału — pomimo głośno wywoływanych pasywów akcji konsolidacyjnej — nie należałoby roztrwonić.

Sądzę nawet, że i w okresie tak niesprzyjającym konsolidacji, jakim wszędzie jest okres wyborczy — do już istniejących aktywów można dodać nowe.

NAPRAWA ORDYNACJI WYBORCZEJ

Uznajemy więc, że obecna ordynacja wyborcza uczyniła dużo złego i pragniemy naprawienia tego błędu. Skoro rząd nie miał prawa dokonania tej reformy, skoro Sejm nie podjął tego zadania, skoro stało się jasnym, że gdyby nawet rozwiązany Sejm poprawił nieco tę ordynację, to zmiana ta nie doprowadziłaby do odprężenia wśród tych ugrupowań opozycyjnych, których współdziałanie w imię najwyższego dobra Państwa jest pożądane, nie pozostało logicznie nic innego, jak powierzenie tego zadania nowemu parlamentowi. To się stało. Jego kompetencją jest dokonanie tej reformy. Mogę więc tylko ściśle osobiście wyrazić pogląd, że uważam za słuszne, by rozluźnić praktycznie prawo stawiania kandydatur w tym sensie, by człowiek popularny i czynny politycznie mógł być wybrany na posła czy senatora niezależnie od posiadania sympatii czy antypatii obecnego kolegium wyborczego i czy należy do O. Z. N. czy do Str. Ludowego, do ugrupowań narodowych, czy PPS. Uważam osobiście za błąd odebranie prawa wyborczego do Senatu setkom tysięcy i milionom ludzi, którzy niejednokrotnie udowodnili, że są dobrymi Polakami, że o wiele więcej dokonali dla Polski, niż członkowie przypadkowej elity, nieraz obcy Polsce, a może nawet wrogo do niej nastawieni. Poczucie sprawiedliwości wymaga, by przywrócić powszechność prawa wyborczego do Senatu. Sądzę wreszcie, iż ordynacja wyborcza musi być odbiciem naczelnej zasady zbliżenia obywatela do Państwa. To też można skontrolować to wszystko, co nie sprzeciwiając się spoistości Państwa i uprzywilejowania wielkich ruchów politycznych, pogarsza bezcelowo ten podstawowy stosunek.

NIE MA „ODWIECZNYCH WROGÓW"

Możemy też publicznie stwierdzić, że jesteśmy i w polityce wewnętrznej jak i zewnętrznej przeciwni zasadzie odwiecznych i dziedzicznych wrogów. Ta zasada tworzy społeczeństwa skłócone, a nie walczące o wielkie i naczelne idee rozwojowe. Nie chcemy marnowania energii społeczną w strukturze znamiennej tym, że dławi się ona od nadmiaru ludzi i schnie z powodu braku uzdolnienia do pracy w dużych zespołach, realizujących solidarnie wielkie prace i wielkie cele.

Wreszcie wydaje mi się, iż nie należałoby zmarnować tej wyjątkowej koniunktury, powstającej przez to, iż dziś dążymy jeszcze do zastąpienia opozycji zakonspirowanej, obłudnej i zgryźliwej opozycją jawną, uczciwą, szczerą, walczącą o światopoglądy, a nie o personalia.

Jakże więc małe i skromne są postulaty Rządu — i jaka istnieje w zasadzie łatwość wprowadzenia ładu i porządku do naszego życia publicznego. To też należy poczytać za okoliczność szczęśliwą, że ten proces konsolidacji nie przerwał się, i — pomimo naturalnych trudności i błędów — wciąż postępuje naprzód.

Historyk, obrazujący prastare dzieje programu kultury celtyckiej w Anglii i opanowania jej przez żywioły sasko-germańskie, pisze dosłownie: „Celtowie, którzy zjednoczeni byliby niepokonani, swymi sporami obniżali wartość swej brawury i swej inteligencji".

Autor analizujący dynamikę współczesnej Italii, na tle marazmu w którym żyje tyle innych narodów stwierdza: „naród żyjący w niezgodzie i podzielony we własnym kraju na różne obozy nie może odegrać żadnej roli w przyszłości". Syntetyzując elementy potęgi współczesnej Wielkiej Brytanii pisarz francuski wydaje następujący sąd: „Klasy są tutaj rozdzielone przez interesy, które z łatwością wchodzą z sobą w układy i kompromisy, linii podziałów nie tworzą tutaj ani wspomnienia historyczne, ani namiętności".

Są to niewątpliwie prawdy wieczne, sprawdzalne dziś i przed tysiącleciem, w świecie starym i w świecie nowym, na półkuli północnej i południowej, wszędzie, gdzie ludzie wytworzyli organizacje społeczne.

Musimy się decydować na wybór drogi. Nie tylko rząd, nie tylko Obóz Zjednoczenia Narodowego, ale i wy wszyscy, których działania i opinie — czy tego chcecie, czy nie chcecie — zaważą samorzutnie na losach Polski. Byłoby to naprawdę bardzo marne społeczeństwo, które zagadnienie zespolenia sił i działań pozostawiłoby tylko kilku jednostkom i radowało się, że zadanie to realizuje się opornie. Byłaby to psychiczna degeneracja.

SPRÓCHNIAŁE ZAPORY

Nie wydaje mi się możliwe, by instynkt narodowy i świeże wspomnienia walki o odbudowę państwa, zezwoliły ludziom uczciwym, w stosunku do rządu, który do ostatniego wyczerpania sił ludzkich wymiata błędy przeszłości, na realizowanie hasła bojkotu tych funkcji państwowych, których nigdy, w najgorszych warunkach, nie zbojkotowano w stosunku do rządów zaborczych. Byłby to paraliż instynktu państwowego i tak będzie oceniony za granicą.

A jeżeli są pojedyncze typy ludzkie, które gdyby mogły być obecne przy stwarzaniu świata przez Pana Boga, to błagałyby Stwórcę by pozostawił chaos, zamęt żywiołów, gdyż wśród ładu i prawa te jednostki nie mogą żyć spokojnie — to nadszedł ostateczny czas odwrócenia się z pogardą od tych jednostek.

Nikt nie ma prawa, by dziś — w chwili wybuchów wulkanu historii — jego indywidualna sprawa, czy jego niechęć do akcji zjednoczenia i pojednania, czy niechęć do Rządu, który jest czynnikiem zmiennym, utrzymywała naród polski na trwałe w rozproszeniu sił, które tak bardzo Polsce są potrzebne.

Zapory, które nas dziś jeszcze dzielą — są spróchniałe. W zaćmieniu myśli świecą jakimś fantastycznym ogniem, pozorującym siłę i wielkość.

Ale w rzeczywistości gdy razem w tę zaporę kopniemy nogą, rozleci się w strzępy — a społeczeństwo polskie w zjednoczeniu odnajdzie swą wielkość i swą radość. Poczujemy się wówczas dumni z dokonanego dzieła, które wolą narodu powołane zostanie do życia.

Czy mogę wierzyć, że w dwudziestą rocznicę wyzwolenia Polski z niewoli, Wy Reprezentanci ziem zachodnich, Wy ludzie znający wartość zorganizowanego i karnego działania, pierwsi podacie mi przyjazną dłoń i całym sercem pomożecie w dalszych upartych wysiłkach i pracy nad budowaniem nowych fundamentów życia — w myśl apelu Wodza Naczelnego — dla zjednoczenia w świadomym działaniu narodu? Odpowiedzcie.

PROJEKT ORGANIZACJI ROLNICTWA

Projekt Centralnego Związku Młodej Wsi

W 1937 r. komisja gospodarcza Centralnego Związku Młodej Wsi opracowała wstępny projekt organizacji rolnictwa w Polsce, który został ogłoszony w czasopiśmie „Przodownik Wiejski" Nr. 12 z grudnia 1937 r.[1]).

Projekt ten omawia tylko dwie formy organizacji rolnictwa: samorządową, powszechną, opartą na przymusie (samorząd terytorialny i gospodarczy), oraz społeczną (organizacje dobrowolne). Organizacja administracji państwowej na odcinku rolniczym nie została szerzej omówiona, gdyż projektodawcy wychodzili z założenia, że obecna jej struktura wymaga tylko nieznacznych zmian.

Komisja gospodarcza C. Z. M. W. stwierdza, że samorząd terytorialny i gospodarczy nie spełnił tych zadań na odcinku gospodarczego i społecznego podniesienia wsi, których spełnienia wieś oczekiwała od niego. Powodem tego były niedomagania tak natury strukturalnej jak i funkcjonalnej.

Za podstawowy warunek należytego funkcjonowania każdego samorządu uważa komisja gospodarcza CZMW zapewnienie zrzeszonej w nim ludności odpowiedniego wpływu na wybór władz oraz ograniczenie ingerencji administracji państwowej do tych wypadków, kiedy rzeczywiście dobro publiczne wyma-

[1]) Por. art. „O celową organizację rolnictwa" — „Przekrój" nr. 2, str. 8 i nast.

ga ingerencji władz. Z tych względów projekt przewiduje ścisłe rozgraniczenie funkcyj administracyjnych samorządu, pozostających pod stałą kontrolą administracji państwowej, od funkcyj ściśle samorządowych, przy czym obie te funkcje nie powinny być wykonywane przez te same organa.

Drugim warunkiem sprawnego funkcjonowania samorządu w jego pracy nad podniesieniem rolnictwa jest ścisłe powiązanie gromady, gminy i powiatowego związku samorządowego z samorządem gospodarczym na stopniu wojewódzkim tj. z Izbami Rolniczymi. Formalne uzależnienie tych samorządów w zakresie działalności nad podniesieniem rolnictwa od Izb Rolniczych uzasadnione jest w projekcie tym, iż na terenie województwa powinna być skoncentrowana zasadnicza decyzja co do kierunku działania fachowego.

Aby czynnikowi społeczno-rolniczemu zapewnić stosowny udział w organach samorządu, projekt przewiduje, że rada gromadzka, gminna i powiatowa w ¼ swego składu byłaby wybierana przez społeczne organizacje rolnicze.

Wreszcie dla zapewnienia dopływu młodych, twórczych sił, projekt przewiduje obniżenie granicy biernego prawa wyborczego do wszystkich organów samorządowych z 30 do 25 lat.

Jeśli chodzi o poszczególne stopnie samorządu, to projekt CZMW największe znaczenie przywiązuje do należytego zorganizowania gromady. Ma ona zaspokajać wszystkie lokalne potrzeby publiczne oraz spełniać funkcje poruczone jej przez administrację państwową. Dlatego też posiada dwa rodzaje organów: radę i zarząd gromadzki dla wykonywania zadań samorządowych oraz sołtysa i podsołtysów do spełniania funkcyj zleconych gromadzie przez administrację państwową. Rada gromadzka, organ uchwalający gromady, byłaby w ¾ swego składu wybierana w głosowaniu powszechnym, a w ¼ — przez ogólne zebranie członków organizacyj dobrowolnych, działających na terenie gromady. Dla wykonywania zadań gospodarczych i społecznych rada gromadzka wybiera zarząd, na czele którego stoi przewodniczący. Dla wykonywania funkcyj powierzonych przez administrację państwową rada gromadzka wybiera sołtysa i podsołtysów, tych ostatnich w liczbie uzależnionej od istotnej potrzeby gromady, jak liczba mieszkańców, rozrzucenie wsi na dużej przestrzeni. Sołtys i podsołtysi byliby zatwierdzani przez starostę powiatowego. W ten sposób organa gromady byłyby zabezpieczone przed zbyt daleko posuniętą ingerencją administracji państwowej, a równocześnie praca byłaby rozłożona bardziej równomiernie i na większą

liczbę jednostek. Poza tym nadanie gromadzie prawa nakładania świadczeń pieniężnych i w naturze łącznie z wyżej omówionymi reformami byłoby wg. projektodawców najzupełniej wystarczającym zabiegiem gwarantującym szybkie ożywienie działalności gromady.

Nie mniej ważne znaczenie w systemie organizacji rolnictwa nadaje omawiany projekt gminie wiejskiej. Struktura organizacyjna gminy uległaby jednak znacznie mniejszym przeobrażeniom niż struktura gromady. Rada, organ uchwałodawczy gminy, w 3/4 pochodziłaby z wyborów dokonanych przez przedstawicieli gromad, a w ¼ — przez przedstawicieli dobrowolnych organizacyj rolniczych, działających na terenie gminy. Zarząd gminny na czele z wójtem spełniałby jedynie zadania gospodarcze i społeczne. Do wykonywania funkcyj zdeconych gminie przez administrację państwową zarząd gminny zaangażowałby specjalnego funkcjonariusza zatwierdzanego przez starostę powiatowego.

Na stopniu powiatowym samorządu terytorialnego również nie byłoby większych zmian. Rada powiatowa, jako organ stanowiący, składałaby się w 3/4 z delegatów gmin wiejskich i miejskich, a w ¼ z delegatów powiatowych organizacyj dobrowolnych. Przewodniczącym rady powiatowej byłby z urzędu starosta powiatowy, a to dla utrzymania powiązania samorządu z administracją państwową. Organem zarządzającym byłby zarząd powiatowy zamiast obecnego wydziału powiatowego. Na czele zarządu powiatowego stałby prezes wybrany przez radę powiatową. Dla realizacji zadań odcinkowych zarząd wyłoniłby wydziały, a m. in. i wydział wiejski, w którym byłby skoncentrowany całokształt prac związanych z podniesieniem wsi. Nadzór nad działalnością tego wydziału winna spełniać Izba Rolnicza.

Na poziomie wojewódzkim całokształt prac nad podniesieniem rolnictwa należałoby wg projektu skoncentrować w Izbie Rolniczej. Struktura Izby Rolniczej nie wymagałaby właściwie żadnych zasadniczych zmian. Jeśli bowiem Izby Rolnicze nie spełniły dotychczas swoich zadań, to dlatego, że nie miały w terenie dostatecznie szerokiej podbudowy organizacyjnej. Z chwilą jednak rozbudowy organizacyj społecznych i powiązania samorządu terytorialnego na stopniu powiatu, gminy i gromady z Izbami Rolniczymi, braki te zostałyby usunięte.

Projekt przewiduje dalej, że chociaż ostatnim stopniem samorządu terytorialno - gospodarczego powinna być w zasadzie Izba Rolnicza, to jednak konieczne jest powołanie wspólnej re-

prezentacji Izb Rolniczych p. n. Związku Izb Rolniczych Rzeczypospolitej Polskiej. Związek ten miałby charakter publiczno-prawny. Głównym zadaniem jego byłoby: reprezentowanie Izb Rolniczych w instytucjach międzynarodowych, ujednostajnianie stanowiska Izb Rolniczych w sprawach o znaczeniu ogólnym, podejmowanie prac specjalnych na zlecenie Izb Rolniczych itp.

Według oceny komisji gospodarczej Centralnego Związku Młodej Wsi jednym z głównych powodów nie spełnienia w wystarczającej mierze przez społeczne organizacje wiejskie zadań w zakresie podniesienia rolnictwa jest między innymi zbytnie rozproszkowanie tych organizacyj, nadmierna ingerencja administracji państwowej w ich wewnętrzne życie, oraz klasowa polityka ziemiaństwa, które, opanowawszy większość organizacyj rolniczych, uważało je za reduty przeznaczone do obrony zagrożonego stanu posiadania ziemiaństwa. Dlatego komisja uważa za rzecz pilną ograniczenie ingerencji administracji, oraz sprowadzenie wpływów ziemian w organizacjach rolniczych do rzeczywistego znaczenia ich gospodarczego w rolnictwie. Poza tym pilną rzeczą jest powstanie ogólnopolskiej organizacji rolniczej dobrowolnej, która zrzeszałaby i koordynowała działalność społecznych organizacyj wiejskich na stopniu gromady, gminy, powiatu, województwa i państwa. Organizacją taką zdaniem CZMW powinien być *Wiejski Związek Gospodarczy.* Struktura organizacyjna projektowanego Związku byłaby następująca:

1) Na terenie gromady działa Gromadzki Związek Gospodarczy, w którym zrzeszają się gospodarze i gospodynie z terenu całej gromady. W łonie Gromadzkiego Związku Gospodarczego byłyby tworzone autonomiczne sekcje dla poszczególnych kierunków pracy, jak sekcja gospodyń wiejskich, pszczelarzy, hodowców, właścicieli sadów itp. W skład związku wchodziłyby również samodzielne organizacje jak Koła Młodzieży Wiejskiej i Spółdzielnie, tych ostatnich projekt przewiduje trzy rodzaje, a mianowicie spółdzielnie handlowo-spożywcze, kredytowe i wytwórcze. W ten sposób na terenie gromady powstałaby instytucja społeczna, koordynująca działalność wszystkich organizacyj wiejskich.

2) Gromadzkie Związki Gospodarcze z terenu gminy tworzyłyby Gminny Związek Gospodarczy, którego głównym celem byłoby uzgadnianie działalności gromadzkich Związków Gospodarczych między sobą, współpraca z gminą oraz kontrola działalności agronoma gminnego.

3) Na terenie powiatu działałby Powiatowy Związek Gospodarczy, skupiający Gromadzkie i Gminne Związki Gospodarcze, spółdzielnie i Powiatowy Związek Młodzieży Wiejskiej. W łonie Pow. Związku Gosp. działałyby obowiązkowo dwie autonomiczne sekcje, a mianowicie sekcja gospodyń wiejskich i sekcja spółdzielczości. Poza tym Powiatowy Związek Gospodarczy powoływałby do życia w miarę potrzeby inne powiatowe sekcje fachowe, jak właścicieli sadów, plantatorów buraka cukrowego, właścicieli lasów, sekcje hodowców, rybacką, pszczelarską itp.

4) Powiatowe Związki Gospodarcze z terenu danego województwa wyłaniają Wojewódzki Związek Gospodarczy, w skład którego poza tym wchodzą Okręgowy Związek Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych oraz Wojewódzki Związek Młodzieży Wiejskiej. Wojewódzki Związek Gospodarczy posiada odpowiednie sekcje fachowe oraz autonomiczną sekcję gospodyń wiejskich.

5) Naczelną dobrowolną organizacją rolnictwa powinien być Wiejski Związek Gospodarczy Rzeczypospolitej Polskiej jako zrzeszenie wojewódzkich związków gospodarczych, posiadających dosyć szeroką samodzielność.

W skład Wiejskiego Związku Gospodarczego, oprócz wojewódzkich związków gospodarczych jako ogniw podstawowych, wchodziłyby: Związek Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych, centrale gospodarcze spółdzielni oraz związek młodzieży wiejskiej.

Projekt dr. Wojtysiaka

Według projektu dr. Wojtysiaka przy planowaniu systemu racjonalnej organizacji rolnictwa należy ściśle rozdzielić organizacje na powszechne (przymusowe) oraz na dobrowolne. Organizacje powszechne, przymusowe będą zrzeszały wszystkich rolników, natomiast dobrowolne organizacje będą obejmowały element najbardziej czynny i ruchliwy, co leży w naturze tego typu zrzeszeń. W rolnictwie, zdaniem dr. Wojtysiaka, powinien działać tylko jeden powszechny samorząd rolniczy zawodowy, który objąłby cały zawód rolniczy w Polsce i miałby na celu utrzymanie na wysokim poziomie kultury wszystkich działów gospodarstwa wiejskiego oraz obronę i reprezentację interesów rolnictwa. Samorząd terytorialny w tej

koncepcji jest zatem całkowicie odsunięty od prowadzenia jakichkolwiek prae rolniczych. Przypadłyby mu w udziale tylko sprawy szkolnictwa powszechnego, opieki społecznej i dróg. Drugą charakterystyczną cechą tego projektu jest to, że obok samorządu terytorialnego na szczeblu gromady, gminy i powiatu istniałby równolegle na tych samych szczeblach samorząd zawodowy rolniczy. Struktura tego samorządu zawodowo-rolniczego byłaby następująca:

1) Na terenie gromady podstawową komórką samorządu rolniczego jest Gromada Rolnicza, w skład której wchodzą z samego prawa wszyscy rolnicy zamieszkujący na terenie tej gromady. Walne zebranie gromady Rolniczej wybiera Zarząd, który kieruje wszystkimi sprawami rolniczymi na terenie gromady wiejskiej. Prezesem Zarządu nie może być sołtys. Gromada Rolnicza prowadzi prace oświatowe, gospodarcze i reprezentuje interesy wszystkich rolników swojego terenu. Dla rozwijania poszczególnych działów produkcji, wymiany i techniki rolnej Gromada Rolnicza powołuje Koła specjalne jak hodowców bydła, trzody, plantatorów tytoniu itp., do których dani producenci również należą. Przy Gromadzie Rolniczej istnieje przymusowy Związek Gospodyń Wiejskich. Walne zebranie Związku Gospodyń Wiejskich wybiera zarząd, który prowadzi prace Z. G. W. Przewodnicząca Zarządu wchodzi automatycznie do Zarządu Gromady Rolniczej, a przewodniczący Zarządu tej ostatniej do Zarządu Związku Gospodyń Wiejskich. Związek Gospodyń Wiejskich uruchamia poszczególne działy prac, na czele których stoją wybrane przodownice.

Przy Gromadzie Rolniczej istnieje również powszechny (przymusowy) Związek Młodzieży Rolniczej, w skład którego wchodzą młodzi obojga płci po skończeniu szkoły powszechnej, mający pracować w przyszłości w rolnictwie. Przewodniczący Związku Młodzieży Rolniczej wchodzi do Zarządu Gromady Rolniczej i Związku Gospodyń Wiejskich, a przewodniczący Gromady Rolniczej i przewodnicząca Związku Gospodyń Wiejskich do Zarządu Młodzieży Rolniczej.

W ten sposób Gromada Rolnicza jako podstawowa jednostka samorządu zawodowego obejmie wszystkie dziedziny społecznego i gospodarczego życia rodziny wiejskiej i gospodarstwa rolnego. Bogatsze gromady rolnicze będą mogły nawet utrzymywać własnego pracownika agronomii społecznej.

2) Na poziomie gminy istnieje Gminna Rada Rolnicza, w skład której wchodzą przewodniczący zarządu gromad rolni-

czych lub ich zastępcy. Gminna Rada Rolnicza wybiera własny zarząd. Przewodniczącym Zarządu Gminnej Rady Rolniczej nie może być wójt. Gminna Rada Rolnicza utrzymuje agronoma, który podlega zarządowi i jest zatwierdzany przez Powiatową Izbę Rolniczą. Gromadzkie Związki Gospodyń Wiejskich wysyłają przewodniczące do Gminnej Rady Gospodyń Wiejskich, podobnie Gromadzkie Związki Młodzieży Rolniczej tworzą Gminną Radę Młodzieży Rolniczej. Wymiana przewodniczących i powiązanie jest podobne jak na stopniu gromadzkim.

Przy Gminnej Radzie Rolniczej mogą powstawać w miarę potrzeby sekcje specjalne, do których wysyłają swych przedstawicieli odnośne gromadzkie sekcje specjalne.

3) W powiecie istnieje Powiatowa Izba Rolnicza, mająca na celu pełny rozwój rolnictwa na swoim terenie. Przewodniczący i delegaci gromad rolniczych i Gminnych Rad Rolniczych tworzą radę Powiatowej Izby Rolniczej, która wybiera zarząd. Prezesem Zarządu Powiatowej Izby Rolniczej nie może być starosta powiatowy. Powiatowa Izba Rolnicza ma własne biuro, na czele którego stoi kierownik. Cały personel jest podległy Zarządowi Powiatowej Izby Rolniczej. Przy Powiatowej Izbie Rolniczej istnieją związki specjalne, jak Powiatowy Związek Hodowców bydła, trzody, koni, Powiatowy Związek Wytwórców jęczmienia, chmielu itp., obejmujące przymusowo wszystkich rolników danej gałęzi produkcji.

Przy powiatowej Izbie Rolniczej działa Powiatowy Związek Gospodyń Wiejskich, którego walne zebranie składa się z przewodniczących i delegatek gromadzkich związków gospodyń wiejskich. Walne zebranie wybiera zarząd, któremu podlega instruktorka gospodarcza.

Przy Izbie istnieje również Powiatowy Związek Młodzieży Rolniczej, którego walne zebranie składa się z przewodniczących i delegatek gromadzkich związków młodzieży rolniczej. Walne zebranie wybiera zarząd, który kieruje działalnością Powiatowego Związku Młodzieży Rolniczej. Cała praca w zakresie przysposobienia rolniczego ma być prowadzona za pośrednictwem tylko powszechnych związków młodzieży rolniczej.

Powiązanie organizacyjne Powiatowych: Związku Gospodyń Wiejskich i Związku Młodzieży Rolniczej z Powiatową Izbą Rolniczą jest podobne, jak w gromadzie i gminie.

4) W województwie działa Wojewódzka Izba Rolnicza. Ta komórka samorządu rolniczego zdaniem dr. Wojtysiaka nie po-

winna być nadmiernie rozbudowana. Natomiast powinna ona posiadać najwybitniejszych fachowców z poszczególnych dziedzin rolnictwa. Rada Wojewódzkiej Izby Rolniczej składa się z prezesów i delegatów Powiatowych Izb Rolniczych. Rada wybiera Zarząd, a ten ostatni prezesa. Prezesami wojewódzkich izb rolniczych powinni być tylko wybitni rolnicy z odpowiednim wykształceniem zawodowym. Przy Wojewódzkiej Izbie Rolniczej istnieją Wojewódzkie Związki Specjalne w poszczególnych gałęziach wytwórczości. Również przy Wojewódzkiej Izbie Rolniczej działają: Wojewódzki Związek Gospodyń Wiejskich i Wojewódzki Związek Młodzieży Rolniczej. Struktura organizacyjna tych związków i powiązanie ich z Wojewódzką Izbą Rolniczą są podobne jak w Powiatowej Izbie Rolniczej.

5) Na czele samorządu rolniczego stoi Związek Izb Rolniczych, mający na celu ustalanie i realizację jednolitego programu polityki gospodarczej rolnictwa, oraz zespalanie prac i zamierzeń wszystkich wojewódzkich izb rolniczych. Rada Związku Izb Rolniczych składałaby się z prezesów i delegatów wojewódzkich izb rolniczych. Wybiera ona Zarząd. Związek Izb Rolniczych posiada biuro, na czele którego stoi dyrektor. Biuro dzieli się na działy, obejmujące wszystkie gałęzie produkcji rolniczej, wymiany towarowej, oświaty itp. Przy Związku Izb Rolniczych istnieją centrale wszystkich powszechnych związków specjalnych oraz Centralny Związek Gospodyń Wiejskich i Centralny Związek Młodzieży Rolniczej. Walne zebranie Centralnego Związku Gospodyń Wiejskich składa się z delegatów wojewódzkich związków gospodyń wiejskich. Wybiera ono Radę Centralnego Związku Gospodyń Wiejskich, a ta ostatnią zarząd. Podobną strukturę posiada Centralny Związek Młodzieży Rolniczej. Powiązanie Centralnego Związku Gospodyń Wiejskich i Centralnego Związku Młodzieży Rolniczej ze Związkiem Izb Rolniczych jest podobne jak na szczeblu powiatowym i wojewódzkim. Przy samorządzie rolniczym powinny istnieć również przymusowe zrzeszenia: Związek Inżynierów Rolników, Związek Techników Rolnych, oraz Związek Wychowanków Szkół Rolniczych. Wymienione Związki zdaniem dr. Wojtysiaka powinny mieć swoje oddziały przy wszystkich ogniwach samorządu rolniczego. Przy Związku Izb Rolniczych należałoby również stworzyć Polski Instytut Agronomii Społecznej, który miałby na celu przygotowanie i doszkalanie systematyczne pracowników samorządu rolniczego i organizacji dobrowolnych.

W przeciwieństwie do powszechnej, przymusowej organiza-

cji rolnictwa, której to formie projekt dr. Wojtysiaka daje bardzo szeroki zakres działania, forma dobrowolna tj. społeczne stowarzyszenia wiejskie mają zadania bardzo ograniczone. Struktura tych organizacyj byłaby następująca:

Podstawowymi ogniwami organizacyj wiejskich w gromadzie byłyby: Kółko Rolnicze, Koło Gospodyń Wiejskich, Koło Młodzieży Wiejskiej i Spółdzielnia. Wszystkie te instytucje powinny być ze sobą powiązane przy pomocy wymiany wzajemnej przewodniczących zarządu. Kółka Rolnicze zrzeszone są w powiecie w Okręgowym Towarzystwie Rolniczym (OTR); te ostatnie w Wojewódzkim Towarzystwie Rolniczym (WTR) a na czele stoi Polskie Towarzystwo Rolnicze (PTR). Na każdym poziomie istnieją przy towarzystwach rolniczych organizacje Kół Gospodyń Wiejskich i Kół Młodzieży Wiejskiej, a mianowicie: Koła Gospodyń Wiejskich są zrzeszone przy OTR w Powiatowych Organizacjach Kół Gospodyń Wiejskich, te ostatnie przy WTR — tworzą Wojewódzką Organizację KGW, a wreszcie przy PTR — Polską Organizację Kół Gospodyń Wiejskich.

Koła Młodzieży Wiejskiej tworzą przy OTR — Powiatowe Związki Młodzieży Wiejskiej, te ostatnie są złączone przy WTR w Wojewódzkie Związki Młodzieży Wiejskiej, które przy PTR mają Polski Związek Młodzieży Wiejskiej. Wiązanie poziome i pionowe tych trzech grup w Polskim Towarzystwie Rolniczym jest takie samo, jak w samorządzie rolniczym.

Również specjalne komórki organizacyjne, nie mające charakteru powszechności, mogą tworzyć przy Kółkach Rolniczych sekcje, które znajdą powiązanie z odnośnymi sekcjami przy OTR, WTR i PTR.

Polskie Towarzystwo Rolnicze powinno być ośrodkiem, przy którym skupią się wszystkie instytucje dobrowolne rolnicze. Z tego względu w Polskim Towarzystwie Rolniczym powinna istnieć Sekcja Spółdzielczości Rolniczej, w skład której wejdą Związki Spółdzielni Rolniczych i Centrale Gospodarcze oraz Sekcja Instytucyj Rolniczych Specjalnych. Spółdzielczość rolnicza będzie miała Związek Spółdzielni RP i Okręgowe Związki dla celów lustracyjno-rewizyjnych. Poszczególne typy spółdzielni tworzą własne centrale gospodarcze. Spółdzielnie mają powiązanie z Okręgowymi Towarzystwami Rolniczymi przez sekcje spółdzielczości i organizacji zbytu.

W ten sposób cały system organizacji rolnictwa tworzyłby zamkniętą całość, której poszczególne elementy spełniałyby —

zdaniem dr. Wojtysiaka — swoje zadania zgodnie z planem jednolitym, gdyż:

1) Państwo planowałoby program (przez Państwową Radę Rolniczą) i dopilnowywałoby wykonania planu gospodarczego w rolnictwie;

2) samorząd zawodowo - gospodarczy organizowałby powszechnie rolników i doskonaliłby produkcję rolniczą, oraz szerzyłby oświatę zawodową;

3) przymusowe związki specjalne przy samorządzie zawodowo - gospodarczym organizowałyby poszczególne gałęzie wywytwórczości rolniczej;

4) dobrowolne organizacje rolnicze i spółdzielczość prowadziłyby prace kulturalne i gospodarcze na tych odcinkach, które nie nadają się do przymusowego upowszechnienia.

Tezy programowe Rady Naczelnej Obozu Zjednoczenia Narodowego w sprawach wiejskich

Tezy programowe w sprawach wiejskich uchwalone w lipcu rb. na posiedzeniu Rady Naczelnej Obozu Zjednoczenia Narodowego w swych zasadniczych założeniach pokrywają się z projektem dra Antoniego Wojtysiaka. Szczegółowiej ich referować nie będziemy, gdyż zostały one zamieszczone w całości w numerze wrześniowym „Przekroju" [2]).

Tezy programowe Rady Naczelnej OZN przewidują dwie formy organizacji rolnictwa: zawodowo-gospodarczą i dobrowolno-społeczną. Samorząd zawodowo-rolniczy jest czterostopniowy, a mianowicie: Związek Izb Rolniczych, Wojewódzka Izba Rolnicza, Powiatowa Izba Rolnicza i Gminna Rada Rolnicza. Na stopniu gromady tezy OZN, w przeciwieństwie do projektu dr. Wojtysiaka nie przewidują podziału samorządu na terytorialny i zawodowo-gospodarczy, gdyż Gminna Rada Rolnicza prowadzi prace w oparciu o gromady wiejskie.

Struktura organizacji dobrowolnych, oraz zakres ich działania są ujęte w tezach, prawie w identyczny sposób.

---

2) „Przekrój" Nr. 1, str. 40 i nast.

Inne koncepcje organizacji rolnictwa

Oprócz powyższych koncepcji organizacji rolnictwa, które obejmują dwie podstawowe formy organizacyjne: powszechną, samorządową, oraz dobrowolną, jak również strukturę organizacyjną od wsi do centrali, istnieją jeszcze inne koncepcje organizacji rolnictwa, obejmują one jednak tylko poszczególne odcinki na poziomie powiatu, gminy lub gromady.

Podczas ubiegłej kadencji Sejmu poseł Jerzy Bołądź wniósł projekt ustawy, w której między innymi jest mowa o reorganizacji powiatowej organizacji ogólno-rolniczej w tym celu, by zapewnić koordynację pracy czynników powiatowych, działających na odcinku rolniczym, oraz jak najbardziej racjonalnie zużytkować fundusze publiczne przeznaczone na podniesienie rolnictwa. Charakterystyczne jest stwierdzenie, że powiatowe organizacje rolnicze funkcjonują źle i wskutek tego nie dają dostatecznie szerokiej podbudowy do terenowej pracy podejmowanej przez obecne izby rolnicze. Żeby temu zapobiec izby rolnicze miałyby obowiązek współdziałać w powołaniu do życia powiatowych organizacji rolniczych, które opierałyby się na wszelkiego typu specjalnych organizacjach rolniczych i na samorządzie terytorialnym. Organizacja ta w dużym stopniu byłaby uzależniona od izby rolniczej.

Dalsza z kolei koncepcja, rzucona przez generała Lucjana Żeligowskiego, zajmuje się organizają rolnictwa na poziomie gminnym. Wychodząc z założenia, że zasadniczą wadą obecnej struktury organizacyjnej rolnictwa jest nadmierne skoncentrowanie środków działania w wyższych jednostkach administracyjnych, projekt pragnie większą niż dotychczas część wysiłków przełożyć na samorząd terytorialny gminny. W tym celu projektowane byłoby powołanie gminnej komisji gospodarczo - rolnej, która miałaby obowiązek opracowywania gminnych planów i preliminarzy budżetowych w zakresie popierania rolnictwa i innych działów gospodarczych. Wykonawcą uchwał gminnej komisji gospodarczo-rolnej byłby Zarząd gminny i wójt. Komisja składałaby się z delegatów rad gromadzkich. W pomyśle tym nie zostało ujawnione powiązanie działalności gminnej komisji gospodarczo-rolnej z działalnością izby rolniczej lub powiatowego związku samorządowego, gdyż prawa delegowania swego przedstawiciela przez wydział powiatowy na posiedzenia gminnej komisji gospodarczo-społecznej nie można uznać za wystarczające powiązanie. Poza tym

projekt ten przewiduje przekazanie prac nad podniesieniem rolnictwa z rąk organizacji rolniczej do rąk tejże właśnie komisji gospodarczo-samorządowej.

W ostatnich czasach na łamach pism samorządowych była dyskutowana jeszcze jedna koncepcja organizacji rolnictwa na poziomie powiatowym i gminnym. W łonie samorządu gminnego i powiatowego miałyby być powołane specjalne organy rolnicze, do których należałoby ustalanie planów pracy oraz budżetów w dziale popierania rolnictwa. Organ ten składałby się z członków rady powiatowej czy gminnej, będących rolnikami, oraz z przedstawicieli społecznych organizacyj rolniczych. Rola rady powiatowej względnie gminnej ograniczałaby się wyłącznie do ustalania globalnej sumy budżetu na popieranie rolnicwa. Specjalny zaś wykonawczy organ rolniczy, któryby został utworzony w samorządzie terytorialnym i powiązany więzami współzależności organizacyjnej ze zrzeszeniami rolniczymi byłby uprawniony do dysponowania uzyskanymi ze związku samorządowego środkami. Ponadto, chcąc zabezpieczyć dostateczne środki na rozwijanie działalności samorządu terytorialnego w zakresie podniesienia rolnictwa, lansuje się ewentualność ustawowego zabezpieczenia pewnej części ogólnych dochodów budżetowych samorządu terytorialnego na cele popierania rolnictwa. Jak widać zasadniczą cechą tej koncepcji jest wykorzystanie dotychczasowych form organizacyjnych samorządu terytorialnego do działalności nad podniesieniem rolnictwa nie naruszając jego zasadniczej struktury.



Omówione wyżej koncepcje organizacji rolnictwa były poddane krytyce zarówno na łamach prasy rolniczej jak i codziennej. Głosy te bronią lub atakują dwa zasadnicze kierunki, a mianowicie: kierunek powszechności akcji podnoszenia rolnictwa łącznie ze stosowaniem przymusu, oraz kierunek dobrowolności, określany przez część prasy mianem elitaryzmu.

Dla kierunku reprezentującego powszechność i przymusowość akcji podnoszenia rolnictwa punktem wyjścia jest niepokój, że postęp w rolnictwie jest bardzo powolny, a udział szerokich mas rolniczych w tym postępie jest stosunkowo mały, że pozostają one poza sferą wpływów dotychczasowych prac nad podniesieniem rolnictwa i że właśnie forma organizacyjna jest główną przyczyną bierności tych mas. Zwolennicy tego kierunku uważają, że w wytworzonej sytuacji jedynym sen-

sownym rozwiązaniem jest powszechność akcji podnoszenia rolnictwa przy zastosowaniu przymusu szczególnie wówczas, gdy ma się do rozporządzenia ograniczone środki materialne, jakie można przeznaczyć na ten cel.

Zwolennicy kierunku dobrowolności podnoszą ze swej strony zastrzeżenia, czy jednak powszechna przymusowa forma oddziaływania da się w stosunkach wiejskich w pełni zastosować i czy są możliwości osiągnięcia postępu rolniczego tą drogą. Twierdzą przykładowo, że przecież już obecnie na niektórych odcinkach produkcji jest stosowany przymus (zwalczanie chorób i szkodników roślin, niszczenie ostu, wykonywanie ustawy hodowlanej), przy pomocy którego nie osiągnęło się jednak powszechności akcji.

Na zarzuty, że obecnie akcją podnoszenia rolnictwa objęta jest stosunkowo skromna liczba rolników i to bardziej postępowych, a szerokie masy są pozbawione tej opieki, odpowiadają, że organizacje dobrowolne nie tamują nikomu dostępu do swoich szeregów, a masy nie korzystają z ich usług tylko z powodu bierności. Jeśliby nawet zastosować przymusowość, to czyż sam fakt powszechności usług zawodowo-gospodarczych lub oświatowych zmieniłby bierność większości rolników i skłonił ich do korzystania z dobrodziejstw owych akcji powszechnych? Pytają dalej czy sama dostępność jakiejś akcji pociąga ludzi do korzystania z niej, czy też głównym bodźcem jest w takich wypadkach dążność człowieka do osiągnięcia wyższego poziomu swego bytowania, dążność do stałego postępu i doskonalenia? Takie bodźce nie powstają u jednostek czy też zespołów biernych, nie objętych uprzednio żadną akcją kulturalno-oświatową. Twierdzą dalej, że nie można przypuszczać, by przez zastosowanie formy organizacji powszechnej znacznie przyśpieszyło się osiągnięcie celu i by tą drogą można było podnieść poziom kultury rolniczej równie szybko jak trwale. W warunkach bowiem polskich, biorąc pod uwagę psychikę naszego rolnika i niski poziom oświaty ogólnej, powszechność akcji, jak wszelka praca masowa, która dysponuje ograniczonymi środkami ludzkimi, technicznymi i finansowymi, może dać jedynie mierne lub całkiem małe wyniki, podczas gdy system akcji dobrowolnej pozwala zużyć te środki w rejonach przygotowanych już do zastosowania postępu rolniczego. Jako na przykład skutków zastosowania powszechności i przymusowości w akcji podnoszenia rolnictwa wskazują zwolennicy kierunku dobrowolności na Polesie, gdzie na dużą skalę, bo na wojewódzką, przeprowadzono próbę upowszechnienia

przymusowo postępu rolniczego. Próba ta jak wiadomo zakończyła się niepowodzeniem. Szereg bowiem przedsięwzięć podjętych zresztą w najlepszej wierze i z chęcią ulżenia doli rolników poleskich z braku dostatecznie wyrobionych ludzi i środków pieniężnych, oraz niewłaściwego zastosowania rozporządzeń, nie tylko nie podniósł rolnictwa poleskiego na wyższy poziom, ale nawet na okres kilku lat zatrzymał i tak powolne tempo prac dotychczas na Polesiu prowadzonych, usposabiając jednocześnie krytycznie i nieprzychylnie rolników do wszelkiej akcji mającej na celu podniesienie rolnictwa.

Twierdzą dalej, że oni również nie wykluczają całkowicie powszechności i przymusowości w systemie organizacyjnym rolnictwa. W szeregu wypadków bowiem nie da się powszechności i przymusowości zastąpić dobrowolnością. Korzystając ze środków, jakie ta forma organizacji ma do rozporządzenia, mówią, że powinna służyć do wytwarzania warunków, pomocy i urządzeń, które będą wzmagać skuteczność i szybkość oddziaływania czynników oświatowych i gospodarczych.



W jakim stopniu omówione koncepcje organizacyjne są przystosowane do warunków życia wiejskiego? Z dwuch całokształtowych projektów bardziej przystosowany do życia wydaje się projekt komisji gospodarczej Centralnego Związku Młodej Wsi. Bierze on pod uwagę brak sił społecznych na wsi i dlatego ogranicza się tylko do poprawienia struktury organizacyj już istniejących na wsi. Uznając potrzebę wprowadzenia powszechności i przymusowości w niektórych dziedzinach życia wiejskiego, pragnie powierzyć realizowanie tych akcji samorządowi terytorialnemu, powiązanemu odpowiednio z samorządem gospodarczym i organizacjami dobrowolnymi. W ten sposób, czyniąc zadość aktualnym potrzebom rolnictwa, pozostawia jednak duży zakres działania organizacjom dobrowolnym, a przez ich udział w wyborach do organów stanowiących samorząd terytorialny, wzmacnia nawet ich atrakcyjność wśród szerokich mas rolniczych. Dzięki temu organizacje rolnicze miałyby zapewniony dalszy rozwój, zachowując te walory wychowawcze, jakie daje dobrowolna praca społeczna.

Projekt dr. Antoniego Wojtysiaka sięga niewątpliwie głębiej w życie rolnicze niż projekt komisji gospodarczej Centralnego Związku Młodej Wsi. Budzi on jednak poważne zastrzeżenia wśród szerokich sfer działaczy rolniczych. Przede

wszystkim zarzucają mu oni, że właściwie przekreśla on istnienie dobrowolnych organizacyj rolniczych.

Czyż bowiem w warunkach wiejskich do pomyślenia jest istnienie obok przymusowej Gromady Rolniczej — dobrowolnego Kółka Rolniczego, obok przymusowego Związku Gospodyń Wiejskich — dobrowolnego Kółka Gospodyń Wiejskich, obok przymusowego Związku Młodzieży Rolniczej — dobrowolnego Koła Młodzieży Wiejskiej? Czy dałby się realnie wyznaczyć właściwy podział zakresu działania między temi organizacjami? Czy wreszcie organizacje dobrowolne przy tej koncepcji z braku innej, bardziej atrakcyjnej działalności nie zajmą się akcją polityczną, lub też w ogóle przestaną istnieć jako właściwie zbędne? Poza tym poważne wątpliwości budzi pytanie, czy równoległy samorząd gospodarczo-zawodowy obok samorządu terytorialnego na stopniu gromady i gminy znajdzie odpowiednią liczbę działaczy przygotowanych do zorganizowania i prowadzenia systematycznej pracy.



Co bezspornego, uznanego prawie we wszystkich koncepcjach dało by się poprawić w systemie organizacyjnym rolnictwa w najbliższym czasie?

Na odcinku samorządu terytorialnego nadarza się sposobność do usunięcia jego głównej wady funkcjonowania, a mianowicie możliwość realnego wpływu ludności na wybór władz w gromadach, gminach i powiatowych związkach samorządowych. Jest nadzieja, że istotnie wada ta będzie usunięta. P. premier Składkowski wydał okólnik do podległej administracji w sprawie zachowania czystości i wolności aktu wyborczego. Jeżeli więc tu i ówdzie terenowa administracja nie wypaczy tego zarządzenia, samorząd może odzyskać wśród ludności dawne zaufanie i znaczenie. Dzięki temu zaś rolnictwo zyska jeszcze jeden ważny i zdrowy organ, mogący się przyczynić w dużym stopniu do przyśpieszenia postępu rolniczego na wsi.

Nie jest to jednak wszystko. Gromada wiejska, która może mieć podstawowe znaczenie w rozwoju rolnictwa, mimo przeprowadzenia nawet częstych wyborów pozostanie nadal fikcją, jeśli nie uzyska możności nakładania świadczeń pieniężnych i w naturze na realizację nakreślonego programu działania. Zmiana przepisów dotyczących składu i funkcjonowania powiatowych i gminnych komisyj rolnych może w dużym stopniu

przyczynić się do usprawnienia działalności gminy i powiatowego związku samorządowego na odcinku rolniczym.

Samorząd rolniczy — naszym zdaniem — nie wymaga na razie głębszych zmian. Wydaje się tylko, że już całkowicie dojrzała do realizacji sprawa powołania do życia reprezentacji Izb Rolniczych tj. Związku Izb Rolniczych RP jako instytucji prawa publicznego. Dopiero bowiem po uruchomieniu Związku Izb Rolniczych należałoby wprowadzać stopniowo zmiany w strukturze niższych ogniw samorządu rolniczego.

Na odcinku dobrowolnych organizacyj rolniczych palącą jest kwestia powołania do życia Polskiego Towarzystwa Rolniczego. W listopadzie bowiem tego roku upływa już 20 lat od chwili odzyskania Niepodległości i chyba byłby już najwyższy czas przekreślić podział organizacyj rolniczych wg dawnych zaborów. Nasuwa się również konieczność ściślejszego powiązania spółdzielczości i organizacyj specjalnych z organizacjami ogólnorolniczymi.

Na odcinku państwowej administracji rolniczej należałoby rozważyć ewentualność utworzenia Państwowej Rady Rolniczej, która w jak najszybszym czasie powinna przystąpić do opracowania długodystansowego programu polityki państwowej wobec wsi.

STANISŁAW MICHAŁOWICZ

SAMORZĄD M. ST. WARSZAWY

Samorząd stolicy jest od dłuższego czasu pozbawiony organów z wyboru. Ostatnia, pochodząca z wyboru Rada Miejska działała na podstawie dekretu Naczelnika Państwa z 1919 roku. Po wejściu w życie ustawy z dnia 23 marca 1933 roku o częściowej zmianie ustroju terytorialnego i rozwiązaniu dawnej rady, zapowiedziane wybory nie odbyły się, a na podstawie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z 1934 roku o tymczasowych organach ustrojowych gminy m. st. Warszawy — rządy w stolicy objął Tymczasowy Zarząd Miejski, któremu do pomocy dobrano w charakterze organu doradczego Tymczasową Radę Miejską powołaną w drodze nominacji.

W r. 1937 wspomniane wyżej prowizorium przedłużono do końca października 1938 r.

W międzyczasie rozważano sprawę zorganizowania odrębnego województwa stołecznego, mającego objąć poza Warszawą również i powiaty podstołeczne.

W rękach mianowanego wojewody, pełniącego jednocześnie i funkcję Prezydenta Miasta miała być skoncentrowana tak administracja rządowa, jak i samorządowa.

Wniesione projekty wywoływały szeroką dyskusję, znalazła ona swój wyraz w publikacji Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy „Tezy ustrojowe samorządu stołecznego", jak i w licznych artykułach toretyków i praktyków samorządowych [1]). Dyskusja przekroczyła ramy projektów, omawiając wiele zagadnień zasadniczych dla samorządu stolicy, przy czym nie omie-

---

1) Na końcu artykułu podajemy najważniejsze pozycje bibliograficzne tego przedmiotu.

szkano sięgać również do ustawodawstwa i wzorów zagranicznych. Ciężar dyskusji spoczywał na omawianiu form powiązania Warszawy z regionem podstołecznym. Projekt ustawy nie znalazł dostatecznej liczby zwolenników i przez Rząd został wycofany.

W roku bieżącym Rząd wniósł nowy projekt ustawy o samorządzie gminy miasta stołecznego Warszawy. Wywołał on na posiedzeniu Komisji Specjalnej do spraw Samorządu Miejskiego w dniu 30 czerwca 1938 roku niezwykle ożywioną dyskusję. Tematem jej była kwestia nadzoru rządowego oraz zagadnienie decentralizacji i dwutorowość.

Odpowiadając sprawozdawcy posłowi Hoppe i innym, wiceminister Korsak nadmienił, iż przy rozważaniu projektu ustawy pamiętać należy, że Warszawa jest nie tylko miastem w Polsce, ale i jej stolicą.

W dalszych rozważaniach o nadzorze wiceminister Korsak oświadczył: „Nigdzie, nawet w państwach świecących przykładem demokracji, ustawodawca nie czyni stolicy polem specjalnie rozszerzonego samorządu. Wszędzie góruje myśl o zabezpieczeniu i uprzywilejowaniu nadrzędnego interesu państwowego. W Amsterdamie [2]) prezydent miasta jest mianowany, podobnie jak w Kopenhadze. Szefem samorządu Paryża jest prefekt Sekwany. W Waszyngtonie rządzi trzech komisarzy, mianowanych przez prezydenta Stanów Zjednoczonych. Płynie to ze świadomości specjalnej roli stolicy w życiu państwa i zawsze uprawnienia czynnika społecznego są moderowane na rzecz czynnika państwowego. Nie ma więc nic nienormalnego, jeśli rządowy projekt ustawy wzmocnia nadzór czynnika państwowego w samorządzie Warszawy. Płynie to nie z żadnej

---

[2]) Ciekawe uwagi o samorządzie w Holandii podaje „Samorząd Miejski" Nr 18 z 1936 r. IV Kronika Zagraniczna: „Ustrój Samorządu Holandii" (J. Z.) czytamy tam m. in.:

„Burmistrz jest mianowany przez Koronę na okres 6 lat, jego mandat jest zazwyczaj prolongowany. Burmistrz pełni funkcje prezesa Rady Gminnej, szefa władzy wykonawczej Gminy i reprezentanta władzy państwowej, w szczególności jest on szefem policji komunalnej.

Aczkolwiek burmistrz jest reprezentantem władzy państwowej, to jednak stanowisko tego jest niezależne, nie otrzymuje on stałych zarządzeń i poleceń od rządu.

Nadzór nad działalnością Gminy jest wykonywany zasadniczo przez dwie instancje: 1) organ wykonawczy samorządu prowincjonalnego: Stany Deputowane, 2) Koronę (organem wykonawczym jest Ministerstwo Spraw Wewnętrznych).

Do Korony należy nadzór nad działalnością fiskalną Gminy (wszystkie sprawy, związane z wprowadzeniem, zwiększeniem, zmniejszenie i zniesieniem podatków i opłat fiskalnych).

Do Korony należy również decyzja w sprawie odwołań gminy od postanowień Stanów Deputowanych.

Szerokie uprawnienia daje Koronie przepis następujący: Korona może anulować każdą decyzję Rady Gminnej lub Kolegium z przyczyn nielegalności, albo sprzeczności z interesem publicznym".

doktryny, lecz opiera się na przesłankach, wynikających z naszej konstytucji. Nie oscylujemy tu między totalizmem a demoliberalizmem, ani nie grzęźniemy w formaliźmie".

Mówiąc o dwutorowości poseł Hoppe nawoływał do likwidacji „trwającej od lat udręki nieustannej potrzeby wędrowania między Ratuszem a Komisariatem Rządu".

Sekundował mu poseł Maliszewski, prezydent miasta Wilna, mówiąc „dwutorowość sprawia, że jak mówią w Wilnie — „życia nie ma". „Dwutorowość kosztuje i utrudnia działalność samorządu".

W wyniku tej, następnych dyskusyj i dalszych obrad w Nr. 63 Dziennika Ustaw z 1936 roku została ogłoszona ustawa z dnia 16 sierpnia 1938 roku o samorządzie gminy m. st. Warszawy.

Ogólna charakterystyka ustawy o samorządzie gminy m. st. Warszawy

Ustawa z 16.VIII. 1938 r., aczkolwiek nie usunęła największej bolączki, tp. dwutorowości, stanowi dalszy i poważny krok naprzód w uregulowaniu administracji stolicy. Przepisy ustawy z 1933 r. o częściowej zmianie ustroju samorządu terytorialnego w dużym stopniu zostały zastosowane w treści omawianej przez nas ustawy. W poważnej mierze usunięto wadliwy podział kompetencyj między organami miasta a co najważniejsze przez powołanie do życia Rad Dzielnicowych stworzono pierwsze zręby do decentralizacji, wciągając tym samym szerokie sfery obywateli do bezpośredniego udziału w rządzeniu sprawami miasta.

Przyjrzyjmy się z kolei najważniejszym przepisom. Ustawa składa się z 81 artykułów. Spraw, odnoszących się do zakresu działania i ustroju organów administracji rządowej, ustawa nie porusza, nie omawia również zasad i sposobu wyboru radnych miejskich. Ta ostatnia sprawa, dla wszystkich miast a więc i Warszawy, uregulowana została odrębną ustawą, ogłoszoną w tym samym Dzienniku Ustaw, co i ustawa o samorządzie m. st. Warszawy.

Art. 1. ustawy stwierdza, iż stolica reprezentuje w sobie

trzy stopnie samorządu terytorialnego, a więc gminny, powiatowy i wojewódzki.

Do zakresu działania miasta należą wszystkie sprawy, dotyczące kultury, zdrowia, i dobrobytu materialnego mieszkańców, o ile nie zostały zastrzeżone w drodze ustawodawczej władzom rządowym, samorządowi gospodarczemu, lub innym instytucjom prawa publicznego.

Rada Miejska, Zarząd Miejski i Prezydent

Zakres działania poszczególnych organów miejskich określony został wyraźnie. Rada Miejska, składająca się ze 100 członków jest organem stanowiącym i kontrolującym. Do jej zadań należy przede wszystkim ustalanie budżetu oraz ogólnych norm i zasad, dotyczących zarządu sprawami miasta i jego gospodarki, również Rada podejmuje uchwały w tych przypadkach, gdy ustawa ustrojowa wyraźnie jej to zleca. Do niej należą decyzje o nabyciu, zmianie i zbyciu nieruchomości (wartości ponad 50000 zł), oddawanie w dzierżawę na okres ponad 6 lat nieruchomości oraz przedsiębiorstw i zakładów miejskich, przyjęcie darowizn, udzielanie poręki finansowej oraz zaciąganie pożyczek ponad 50.000 zł i umarzanie należności w kwotach ponad 5000 zł. W szeregu innych przypadków Rada już nie decyduje, lecz stanowi, podejmuje, ustanawia, uchwala i wydaje opinie.

Wszelkie czynności o charakterze administracyjno-wykonawczym należą bądź do Zarządu Miejskiego, działającego kolegialnie, bądź też do Prezydenta Miasta, który sprawy te załatwia samodzielnie pod osobistą odpowiedzialnością.

Zasadą jest jednak, iż Zarząd działa jednoosobowo, sprawy należące do zakresu działania kolegium wymienia ustawa. Będzie to więc decydowanie w wielu podobnych sprawach, jak te, w których decyzja należy do Rady Miejskiej.

Uchwały Rady Miejskiej, odnoszące się do niektórych spraw związanych z uposażeniem pracowników, odszkodowaniem dla członków Zarządu Miejskiego, przepisów o prawach i obowiązkach pracowników miejskich i ich zaopatrzeniu emerytalnym, uzyskują moc prawną po zatwierdzeniu przez władzę nadzorczą. Również uchwały o zbyciu, oddaniu w zastaw, obciążeniu praw i nieruchomości, zaciąganiu pożyczek i przyjęcie darowizn — podlegają zatwierdzeniu Ministra Spraw Wewnętrznych. Ingerencja władzy nadzorczej w tych sprawach rozciąga się i na decyzję Zarządu Miejskiego.

Zarząd Miejski składa się z Prezydenta Miasta, pięciu wiceprezydentów i dziewięciu ławników. Prezydent miasta i wiceprezydenci wybierani są na lat dziesięć, przy czym wybór Prezydenta wymaga zatwierdzenia Prezesa Rady Ministrów, a wybór wiceprezydentów — Ministra Spraw Wewnętrznych. Obok warunków wybieralności do któregokolwiek miasta na obszarze państwa ustawa wymaga zasadniczo od kandydatów na urząd Prezydenta miasta i wiceprezydentów posiadania wyższego wykształcenia oraz wykazania się co najmniej 5-cioletnią praktyką na samoistnym stanowisku w administracji samorządu terytorialnego, lub państwowej.

Władzom zatwierdzającym wybór przysługują jednak uprawnienia do dania dyspensy od wymaganego cenzusu wykształcenia, bądź od wykazania się uprzednią praktyką.

W przypadku, gdy radni nie dokonali wyboru, władza zatwierdzająca wybór obsadza wakujące stanowiska tymczasowym prezydentem miasta i tymczasowymi wiceprezydentami. Jeśli odmówiono zatwierdzenia wybranych kandydatów następuje nowy wybór, jeśli ponowny wybór nie doszedł do skutku lub nie uzyskał zatwierdzenia, władze wyżej wspomniane powołują tymczasowego prezydenta miasta, ew. i tymczasowych wiceprezydentów. Radni miejscy mogą dokonać wyboru w każdym czasie, ustawa zatem niechętnie widzi tymczasowe władze. O ile w ciągu roku stanowisko prezydenta miasta i co najmniej trzech wiceprezydentów nie zostanie obsadzone w drodze wyboru, Rada Ministrów na wniosek Ministra Spraw Wewnętrznych — Radę Miejską rozwiązuje.

Ponowne wybory radnych miejskich powinny odbyć się w przeciągu roku od daty rozwiązania Rady Miejskiej.

Rady Dzielnicowe

Niewątpliwie z dużym uznaniem powitać należy wprowadzenie przez ustawę rad dzielnicowych.

Przypuszczać należy, że dalszy rozwój dzielnic i peryferii miasta właśnie dzięki radom dzielnicowym osiągnie niewątpliwie dalsze sukcesy. Podział miast na dzielnice należy do kompetencji Rady Miejskiej, wymaga jednak zatwierdzenia władzy nadzorczej.

Liczba radnych dzielnicowych, powołanych przez Magistrat nie może być większa aniżeli 1/3 liczby członków tejże Rady, pochodzących z wyboru.

Rady Dzielnicowe powołane są do ustalania potrzeb dzielnicy i uchwalania stosownych wniosków do Rady Miejskiej i Zarządu Miasta, poza tym Rady te działają jako organa opiniodawcze.

Ważne znaczenie ma przepis, zezwalający Radzie Miejskiej na powiększenie zakresu działania poszczególnych, bądź wszystkich Rad Dzielnicowych. Przepisy przewidują powoływanie również i dzielnicowych organów wykonawczych.

Kontrola wewnętrzna i nadzór rządowy

Wyjątkowo wiele miejsca poświęca ustawa kontroli wewnętrznej nad działalnością finansową i gospodarczą Zarządu Miejskiego. Czynności kontrolne powierzone są stałemu organowi Rady Miejskiej a mianowicie Komisji Rewizyjnej.

W skład jej wchodzi 15 osób, wybranych przez radnych miejskich spośród siebie lub z poza swego grona. Przewodniczącego spośród siebie wybiera Komisja. Przy Komisji Rewizyjnej przewidziane jest utworzenie stałego biura, przy czym odpowiednią liczbę stanowisk uchwala Rada Miejska. Kontrola powinna być przeprowadzana pod kątem widzenia legalności, zgodności z uchwałami Rady Miejskiej i budżetu oraz celowości i przestrzegania zasad oszczędności w gospodarce miejskiej.

Zakres spraw z działu administracji rządowej, wykonywanej przez organa miejskie, z pod kompetencji Komisji Rewizyjnej jest wyłączony. W art. od 61 do 75 włącznie omówiony jest zakres oraz sposób wykonywania nadzoru rządowego nad działalnością organów miasta. Nadzór sprawuje Minister Spraw Wewnętrznych. W przepisach uniknięto szczęśliwie drobiazgowego wnikania w szczegóły, postępując w myśl wywodów teoretyka samorządu w Niemczech dr. Stuckarta, że „nadzór nie powinien być małostkowy (kleinlich), troszczyć się bowiem powinien o utrzymanie zasadniczej linii wytycznej, wynikającej z tak pojętego prawa do samorządu i jego roli [3]), to znaczy z prawa, uznającego, iż państwo ustala granice i treść samorządu ma zatem więc i pełne prawo do ustalania nadzoru wystarczającego do strzeżenia tych granic.

Nadzorowi w niniejszym artykule poświęciliśmy już kilka

[3]) Patrz „Samorząd Miejski" z 1936 r. Nr. 24 IV. Kronika Zagraniczna, art. „Samorząd w Niemczech".

słów, mówiąc o zatwierdzaniu niektórych uchwał przez władze naczelne. Poza Ministrem Spraw Wewnętrznych również i inni zainteresowani ministrowie mogą w miarę potrzeby sprawować nadzór rządowy przez dokonywanie inspekcji tak w działach administracji, jak i przedsiębiorstwach oraz zakładach miejskich, czynności te jednak winny być wykonywane w porozumieniu z Ministrem Spraw Wewnętrznych. Formą nadzoru jest również możność delegowania przez zainteresowanych ministrów swych przestawicieli na posiedzenia organów miast. Prezydentowi, jak i Migistratowi przysługuje w pewnych przypadkach prawo zawieszania postanowień organów miasta i powołanych przez nie komisyj. W zakresie spraw finansowych, gdy Rada Miejska nie uchwali bądź nie dokona w określonym terminie wydatku ustawowo przewidzianego, wydatek ten w drodze nadzoru może wstawić Minister Spraw Wewnętrznych, który również uprawniony jest do zajęcia części dochodów miasta.

Uprawnienia nadzorcze dotyczą i spraw personalnych, przy czym Prezydenta i wiceprezydentów może złożyć z urzędu Rada Ministrów, ławników natomiast Minister Spraw Wewnętrznych. Decyzje w tych sprawach mogą być wydane jedynie po przeprowadzeniu specjalnego dochodzenia, przy czym zasada audiatur et altera pars jest tu niezwykle skrupulatnie przestrzegana. Obwinionym przysługuje szeroka skala środków obrony. Członkowie Zarządu Miejskiego podlegają również zawieszeniu w pełnieniu obowiązków służbowych.



Ustawa weszła w życie z dniem 29.IX.1938 roku. Zniknie przeto już w najbliższych tygodniach, to jest po wyborach radnych miejskich prowizorium, które trwało od długiego szeregu lat. Likwidacja jednak dwutorowości nie nastąpi, w dalszym więc ciągu władzami administracji rządowej na obszarze m. stołecznego Warszawy pozostaną:

a) Komisarz Rządu na m. st. Warszawę,
b) Starostowie Grodzcy,
c) w pewnym zakresie i Magistrat m. st. Warszawy.



Mimo wyraźnej różnicy w całokształcie stosunków gospodarczych, społecznych i kulturalnych kraju, Warszawa, jako

stolica bynajmniej nie ustępuje Paryżowi i Londynowi. Tradycja historyczna, znakomite położenie geograficzne, zróżniczkowany przemysł, stosunkowa zamożność stolicy, predysponują wyraźnie Warszawę na centralny ośrodek dyspozycji gospodarczych i społeczno - kulturalnych w kraju.

Stąd też, jak i ze zrozumiałych przesłanek politycznych przywiązywać należy wielką wagę do zbliżających się wyborów radnych miejskich. Najbardziej jednak skrupulatnie przemyślane normy prawne zawiodą, gdy obok nich nie znajdziemy przy warsztacie prac odpowiednio przygotowanych ludzi. Tak, jak zawiedzie w praktyce rozwiązywanie poważniejszych zagadnień samorządowych bez uprzednio skonstruowanych założeń teoretycznych.

Mr St. Malanowicz

NAJWAŻNIEJSZE POZYCJE BIBLIOGRAFICZNE

Biłek Mieczysław — Uwagi o projektach ustaw o utworzeniu woj. stołecznego. „Samorząd Miejski" Nr. 19, Warszawa 1936 r.

Brzeziński W. — Województwo stołeczne, „Samorząd Miejski" Nr 16 — 17, 1 września 1936 r.

Dalbor W., dr. Projekt województwa stołecznego „Samorząd Miejski" Nr 11, Warszawa 1936 r.

Hausner Roman — Województwo stoleczne (wnioski i projekty) Odb. „Gazety Administracji i Policji", str. 46, Warszawa 1936 r.

Porowski M. Ustrój stolicy i województwa stołecznego. „Samorząd Miejski", Nr 8, Warszawa 1935 r.

Rychliński S. Województwo stołeczne: jego obszar i zadania. „Samorząd Terytorialny". Zeszyt 3 i 4. Warszawa 1935 r.

Strzelecki Jan — Granice województwa stołecznego. „Samorząd Terytorialny". Zeszyt 3 i 4. Warszawa 1935 r.

Strzelecki Edward — Materiały do projektu ustawy o administracji samorządowej w woj. stołecznym. „Samorząd Miejski", Nr 8, Warszawa 1936 r.

Wasiutyński B., prof. Uwagi o projekcie administracji samorządowej stolicy. „Samorząd Miejski", Nr 13. Warszawa 1936 r.

Zawadzki J. dr. Samorząd stolicy. „Samorząd Miejski". Nr 18. Warszawa 1936 r.

Chlamtacz M. Rządowe projekty ustaw o utworzeniu województwa stołecznego oraz administracji samorządowej w woj. stołecznym. „Samorząd Miejski", Nr 20. 1936 r.

Kierski K. Ustrój stolicy według projektów rządowych. „Samorząd Miejski", Nr 20. 1936 r.

Kühn K. Samorząd wojewódzki i województwo stołeczne. „Samorząd Miejski" Nr 23. 1936 r.

Prof. Dr Hilarowicz Tadeusz. Zagadnienia ustroju miasta stołecznego Warszawy. „Samorząd Miejski", Nr 21. 1936 r.

Horodyński Włodzimierz. Strona finansowa i gospodarcza rządowego projektu ustawy o administracji w woj. stołecznym. „Samorząd Miejski", Nr 9. 1936 r.

Jurkiewiczowa Janina. Dwutorowość w administracji stołecznej. „Samorząd Miejski", Nr 12. 1936 r.

ECHA, OPINIE, OŚWIETLENIA

Z publicystyki gospodarczej

Pod wpływem nadciągających wydarzeń dziejowych, dyskusje na temat cen zbożowych, które zajmowały szpalty prasy gospodarczej i codziennej we wrześniu, ustąpiły miejsca problemom aktualnym ze względu na zmiany terytorialne w Europie Środkowej.

Z chwilą przyłączenia Śląska Zaolziańskiego do Polski cała prasa przystąpiła do inwentaryzowania jego bogactw i analizowania znaczenia odzyskanych ziem dla gospodarstwa narodowego.

Danych liczbowych dostarczyła pierwsza „Gazeta Polska" z dn. 3 października w art. pt. „*Gospodarstwo Ziem Zaolziańskich*". Znaczenie wkładu Zaolzia dla polskiego gospodarstwa pismo to charakteryzuje w następujący sposób:

Wydobycie węgla kamiennego w samym tylko francuskim koncernie Berghütte wyniosło w 1937 r. 4.100.000 ton. Ogólne wydobycie węgla w Polsce wynosiło w 1937 r. przeszło 36 milionów ton, z czego np. Zagłębie Krakowskie dało 2.341.000 ton. Widać więc, że wydobycie węgla kamiennego w jednym koncernie Śląska Zaolziańskiego wyniosło w 1937 r. blisko 2 razy tyle, ile wydobycie węgla we wszystkich kopalniach węgla całego Zagłębia Krakowskiego. Nie trzeba dodawać, że gatunkowo węgiel cieszyński, specjalnie karwiński, stoi o wiele wyżej nie tylko od węgla krakowskiego, ale od przeciętnej jakości pozostałych polskich gatunków węglowych.

Produkcja surówki tego samego koncernu Śląska Zaolziańskiego wyniosła w 1937 r. 485.195 ton. Całość naszej produkcji wielkopiecowej (surówki) wyniosła w tym samym czasie 724.000 ton. Proporcjonalnie więc produkcja surówki jednego koncernu Śląska Zaolziańskiego równa się 75 proc. produkcji surówki wszystkich wielkich pieców w Polsce.

Do powyższych liczb należałoby dodać wyniki produkcyjne pomniejszych zakładów górniczo-hutniczych, takich jak: kopalnie węgla Larischów i Wilczków itd. Bardzo znaczny procent produkcji tej znajduje zbyt w eksporcie, głównie w zamorskim.

Włączenie produkcji górniczo-hutniczej i przetwórczo-mechanicznej Śląska Zaolziańskiego do odpowiednich działów polskiej wytwórczości — stanowić będzie niezmiernie cenne uzupełnienie polskiego

programu przemysłowego i skompletowanie struktury polskiej gospodarki narodowej.

Przy okazji warto podkreślić sprawność Głównego Urzędu Statystycznego, który już w dn. 5 października opublikował w formie dodatku do „Wiadomości Statystycznych" szereg podstawowych danych, dotyczących m. in. gospodarstwa Ziem Zaolziańskich.

W prasie ocena wartości wkładu gospodarczego Zaolzia była na ogół zgodna. Budzą się jednak stopniowo refleksje na temat zużytkowania dodatkowej siły wytwórczej, głównie dwuch podstawowych przemysłów surowcowych: żelaznego i węglowego. Szereg pism zwraca uwagę na konieczność pełniejszego wyzyskania wewnętrznego rynku zbytu, którego drzemiące możliwości w drobnym tylko stopniu, zużytkowują wielkie kartele surowcowe.

„Gazeta Polska" w dn. 10 października w artykule pt. „*Gospodarcza inkorporacja Zaolzia*" stwierdza:

Rynek polski wchłonie powiększoną produkcję, byle tylko ułatwiono mu to w drodze skasowania szeregu tradycyjnych, a sztywnych norm przemysłu surowcowego.

Nadwyżki pójdą na eksport. Dotychczasowe koneksje przemysłu Zaolzia i wysoka wartość jego produkcji ułatwią ten zbyt. Ale raz jeszcze podkreślamy: na dalszą metę — rynek wewnętrzny przede wszystkim.

Nieco odmiennie zareagowała prasa lewiatańska, wykazując w swych rozważaniach na temat gospodarki zaolziańskiej pewne zdenerwowanie. „Kurjer Polski" z dn. 15 października w artykule „*Cały funt szczęścia poszukuje jednego łuta rozumu*" do zagadnienia wzrostu naszego potencjału surowcowego, podchodzi w sposób następujący:

Możnaby powiedzieć, że minister Spraw Zagranicznych wyrównał błędy swych kolegów z dawnych gabinetów; tych, którzy konsekwentnie dematerializowali surowcowe przemysły.

Powtarza się więc starą i ograną śpiewkę na temat nieszczęśliwego przemysłu, uciskanego w Polsce przez rząd. Zastanawiając się nad możliwościami najlepszego wykorzystania Zaolzia, „Kurjer Polski" stwierdza:

W splocie zagadnień, stworzonych powrotem Zaolzia, zwrócono już tu uwagę na jedno: na zagadnienie eksportu. Pisaliśmy mianowicie, że nici, łączące przemysł cieszyński z jego dawnymi rynkami zbytu, powinny być utrzymane i rozbudowywane.

A więc chodzi o wywiezienie produkcji kopalni a zwłaszcza hut zaolziańskich za granicę. Rada taka w organie kartelowym nie wydaje się nam dziwna. Huty Trzyńca, nowocześnie urządzone, produkują znacznie taniej od hut górnośląskich. Zrozumiałe, że najprościej można zabezpieczyć interesy tych ostatnich eliminując produkcję Zaolzia z rynku wewnętrznego. Innymi słowy, wywieziemy tańsze żelazo i stal, a na rynku wewnętrznym sprzedawać będziemy drogo, po staremu „parytet stacja Chebzie".

Tematem ożywionej dyskusji na łamach prasy stały się reperkusje wypadków politycznych na polskim rynku finansowym. Psychoza wojenna jaka zapanowała przed zjazdem w Monachium opanowała również umysły wkładców. Rozpoczęło się wycofywanie wkładów. Jak to wkrótce, po dniach krytycznych stwierdzono, oficjalnie ze strony Ministerstwa Skarbu, odpływ wkładów ustał niezwłocznie po zażegnaniu niebezpieczeństwa wojny europejskiej. Reakcja społeczeństwa na możliwość wojny, którąby Polska musiała prowadzić

w obronie swych praw, była spokojna i pełna powagi. Odpływ wkładów ustał zupełnie.

W artykule *„Nasz aparat pieniężno-kredytowy zdał egzamin „wojenny!"*, ogłoszonym w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym" z dn. 8 października p. F. Z.(weig) stwierdza:

System pieniężno-kredytowy zdaje swój najwyższy egzamin siły i sprawności w czasie wojny. Wtedy dopiero okazuje się, czy system ten jest dostatecznie odporny i elastyczny, by znieść najwyższe obciążenie, jakie może go czekać.

Wojny na szczęście nie przechodziliśmy, ale stan z końcowych dni września niewiele się różnił od stanu wojennego. Podobnie jak i w innych centrach europejskich, tak i w Polsce panowało przekonanie, że wojna jest już niemal nieunikniona. I psychoza wojenna zwolna opanowała umysły, także i ciułaczy.

Jak wówczas zdał egzamin sprawności nasz aparat pieniężno-kredytowy?

Trzeba tu stwierdzić, że zdał on swój egzamin z wynikiem nad wyraz dobrym. Nie było krachu giełdowego, nie było załamania banków, nie było moratorium w żadnej postaci, nie było nacisku na walutę.

W ciekawym artykule w „Gospodarce Narodowej" z dn. 15.X., rozpatrującym wpływ ostatnich doświadczeń na przyszłą politykę gospodarczą Polski, autor artykułu p. W i t o l d P t a s z y ń s k i stwierdza na wstępie:

Nie łatwo znaleźć równie przejrzysty podział osób zainteresowanych pewną dziedziną życia społecznego, jak podział występujący wśród polskich ekonomistów oraz polityków i publicystów gospodarczych. „Statycy" stanowią wśród nich przygniatającą większość, — „dynamicy" (stanowili) „przygniataną" mniejszość. Zazwyczaj mówi się o „pasywistach" i „aktywistach", porzucamy jednak tę terminologię, bo nie twierdzimy, by nasi „statycy" byli z reguły „pasywistami" lub pasywnymi w wypowiadaniu i realizowaniu swego statycznego nastawienia gospodarczego. Nastawienie — rodzaj formuły psychologicznej — jest właśnie kryterium wyróżniającym „statyków" od „dynamików".

W krótkości — „statycy" należą do tej kategorii osób, które mogą zaakceptować wszelkie zmiany post factum, ale nigdy nie decydują się na wprowadzenie zmian, o ile wymagają one ryzyka i prowadzone są na skalę większą od dotychczas praktykowanej.

Przechodzi następnie do właściwego tematu swych rozważań:

Ostatnie doświadczenia bankowo-finansowe, związane z sytuacją polityczną w dniach przełomowych, wykazały dużą sprawność techniczną naszego aparatu kredytowego. Zarówno oficjalną enuncjację na ten temat, jak i podkreślenie faktu przez prasę — uznać należy za momenty pozytywnie wspomagające całość polityki gospodarczej.

Dowiedzieliśmy się, że na ogólną liczbę około 3 miliardów zł wkładów „odpłynęło w dniach napięcia ponad 300 mln. zł". Aby podołać tej masie wypłat, instytucje bankowe uczyniły wiele wysiłków, rozważając nawet projekt uruchomienia dodatkowych punktów wypłat. W centrali P. K. O. gdzie normalnie załatwia się przy okienkach kilkuset klientów dziennie, załatwiano w dniach napięcia 4 — 5 tysięcy.

W Banku Polskim, w oddziale warszawskim, dyskontowano po 18 — 20 tys. sztuk weksli dziennie, podczas gdy normalnie rynek prezentuje 2 — 3 tysiące sztuk weksli do dyskonta. Dzień pracy w nie-

których instytucjach dochodził wg informacji prasowych — do 22 godzin na dobę.

Ministerstwo Skarbu stanęło na stanowisku, że najlepszym sposobem zapobieżenia panice jest utrzymanie swobodnej wypłaty wkładów, gdyż wkładca nie jest zainteresowany w trzymaniu pieniędzy przy sobie z chwilą, gdy wie, że w każdej chwili pieniądze może podjąć. W „Polsce Gospodarczej" p. J. P-ka ogłosił, — niewątpliwie z aprobatą właściwych czynników, komentarz do stanowiska Ministerstwa Skarbu i Banku Polskiego, wyjaśniając w sposób przejrzysty na konkretnych przykładach obcych, że wzrost emisji banknotów nie musi bynajmniej wywołać wzrostu cen i płac oraz dalszych konsekwencyj typu inflacyjnego. Również i spadek pokrycia kruszcowego ze swej natury konsekwencyj takich bynajmniej nie powoduje.

Od zagadnienia sprawności technicznej naszego aparatu bankowego przeszliśmy zatem na teren polityki finansowej.

Fakt, że komentarz p. J. P-ka został ogłoszony, wskazuje, że jednak nasze, tj. polskie dotychczasowe wyobrażenia o pokryciu złotem i o ilości pieniądza emitowanego niezupełnie wystarczały do właściwego zrozumienia ostatnich zmian na rynku pieniężnym. Piętno fałszywych wyobrażeń, ustalanych systematycznie od r. 1924, a pogłębionych w okresie polityki deflacyjnej, ciążyło jeszcze, jak widać, nad naszymi poglądami w kwestiach pieniężno-kredytowych. Mówiono nam do niedawna o skutkach złowrogich wszelkiej emisji ponad nieruchomy praktycznie plafon minimalnego pokrycia złotem. Dopiero, gdy wydarzenia zewnętrzne zmusiły nas do zajęcia stanowiska, umieliśmy — i to jest największy zysk z doświadczeń — porzucić frazeologię ekonomistów. Obieg biletów w ciągu 10 dni rozszerzył się o więcej niż ⅓ stanu dotychczasowego, a pokrycie spadło poniżej minimum — do 27%, nie powodując w najmniejszej praktycznie mierze ujemnych skutków, których na podstawie poprzednio ferowanych opinii moglibyśmy oczekiwać.

W dalszym ciągu swych wywodów autor konstatuje, że doświadczenia z końca września pozwoliły nam lepiej zrozumieć związek między rynkiem pieniądza i rynkiem towarów.

Wszystko zdaje się świadczyć o tym, że poruszone powyżej zagadnienia staną się w dniach najbliższych tematem dalszych dyskusji poważnej prasy gospodarczej.

R. R.

Kongres dziecka

W dniach 2 — 4 października odbył się w Warszawie Pierwszy Ogólnopolski Kongres Dziecka, obradujący w sali domu Katolickiego (Nowogrodzka 49). W Kongresie wzięło udział około 1½ tysiąca osób, uroczyste otwarcie Kongresu zaszczyciła swą obecnością pani Maria Mościcka, oraz szereg dostojników państwowych. Obrady Kongresu poprzedzone były mszą w katedrze św. Jana, celebrowaną przez ks. biskupa Galla. Kazanie okolicznościowe wygłosił ks. dr. M. Węglewicz.

Na zebraniach plenarnych referaty wygłosili: p. St. Dobrowolski — „*Dziecko i człowiek dorosły*", p. Wanda Szuman i Cz. J. Ba-

bicki „*Dziecko w rodzinie*", prof. dr. St. Gołąb „*Dziecko w polskim prawie rodzinnym*", prof. H. Radlińska — „*Prawo dziecka do szkoły*", prof. E. Godlewski „*Zdrowie dziecka*," oraz p. A. Walicka - Chmielewska — „*Wczasy dziecka*".

Dyskusje nad tematami, rozwiniętymi w referatach toczyły się na komisjach.

Plonem tych dyskusji stały się wnioski, z których wymienić należy:

Interesy dziecka muszą być brane pod uwagę w każdej dziedzinie życia, jednakże nie powinno się zapominać tej prawdy, że w interesie dziecka leży również zaprawianie go do wypełniania ciążących na nim obowiązków.

Poprawienie warunków bytu warstw pracujących miast i wsi a w szczególności pomoc dziecku, winno stać się naczelnym postulatem.

Prasa powinna podlegać cenzurze, w której zredukowane byłyby do minimum opisy zbrodni oraz wszelkie opisy demoralizujące młodzież.

Nie wolno wciągać dzieci i młodzieży nieletniej w walki polityczne.

Wychowanie w moralnie zdrowej rodzinie i przez nią jest najwłaściwsze dla rozwoju dodatnich zadatków dziecka i dla nabycia przezeń cnót społecznych.

Najpilniejszą sprawą w chwili obecnej jest ochrona rodziny.

Liczna rodzina winna być uprzywilejowana pod każdym względem.

Kongres apeluje o przeprowadzenie niezwłocznej nowelizacji Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego z roku 1825 celem doraźnego ulżenia doli dziecka nieślubnego w następującym kierunku:

a) należy uchylić zakaz poszukiwania ojcostwa,

b) należy umożliwić przysposobienie dzieci cudzych niepełnoletnich,

c) należy uchylić możliwość zgłaszania zarzutu „plurium concubentium",

d) należy ułatwić odebranie władzy rodzicielskiej rodzicom dopuszczającym się wobec dziecka czynów lub zaniedbań, zagrażających jego dobru fizycznemu i moralnemu.

Konieczne jest ustawowe unormowanie opieki lekarskiej nad dzieckiem od chwili jego poczęcia do 15-go roku życia.

W zakresie szpitalnictwa powinno istnieć jedno łóżko szpitalne dla dziecka na 1.000 mieszkańców, a jeden szpital dziecięcy na województwo lub miasto ponad 100.000 mieszkańców. Przyjmowanie do szpitala musi być uzależnione od stanu zdrowia dziecka a nie od warunków płatniczych.

Zwiększone wydatki na powyższe cele muszą obciążyć nie tylko samorządy, lecz przede wszystkim budżet państwowy i Z. U. S. ewentualnie należy przewidzieć specjalny podatek na cele zdrowia.

Należy udostępnić szkołę dzieciom wiejskim, a dla dzieci miejskich, uczących się w miastach stworzyć specjalne bursy.

Racjonalna organizacja wczasów przy udziale artystów, psychologów, pedagogów i td. Przygotowanie rodziców i organizatorów.

Upowszechnienie akcji kolonijnej. Uzyskanie bezpłatnych przejazdów kolejowych i autobusowych dla dzieci na kolonie.

Akcja teatrów dziecięcych stałych i objazdowych, dla wsi i miasta, także tworzenie filmów dla dzieci powinno być przeprowadzane przy udziale komisji psychologów i pedagogów.

Towrzenie przedszkoli dla dzieci polskich na wychodźtwie, aby je nauczyć języka polskiego.

W obradach Kongresu Światowego Związku Polaków z Zagranicy powinna być specjalnie uwzględniona sprawa dziecka polskiego.

W związku z Kongresem otwarta została wystawa „*Dziecko w Polsce*", urządzona przy ul. Nowogrodzkiej 74. Wystawa trwała od 2 do 30 października.

Opieka nad dzieckiem wiejskim

Prasa samorządowa wiele miejsca poświęca zagadnieniom opieki społecznej, a wśród nich sprawie opieki nad dzieckiem. Przeważna jednak część artykułów dotyczy dzieci ze środowisk miejskich, gdzie formy opieki są bardziej wyrobione. Sprawa natomiast opieki nad dzieckiem wiejskim nie znalazła jeszcze należytego zrozumienia. Dziecko na wsi, stwierdza Fr. Bramny w „Samorządzie" z 2 października br. („*Dola i niedola naszych dzieci*"), traktuje się jako siłę roboczą, jeżeli zaś nie może być pomocne w pracach gospodarskich, wtedy w wielu przypadkach nie zwraca się na nie większej uwagi. Samorząd ziemski, podnosi autor, cechuje bierność wobec zagadnienia opieki nad dzieckiem wiejskim. W jego działalności *poczesniejsze miejsce zajmuje drzewko przydrożne, niż dziecko opuszczone i zaniedbane, dziecko sierota, dziecko głodne, bądź dziecko narażone na wpływy złego otoczenia.*

Miernikiem intensywności prac samorządu terytorialnego dla wielu działaczy samorządowych są kilometry pobudowanych i zadrzewionych dróg, rowów melioracyjnych, gmachy publiczne, a sprawa opieki nad dzieckiem w ogóle nie istnieje. Autor nie dopatruje się złej woli, zaznacza tylko, że działacze samorządowi nie zdają sobie sprawy z doniosłości zagadnienia opieki nad dzieckiem. Troska o przyszłe lepsze losy Polski nakazuje zmienić dotychczasową postawę samorządu ziemskiego wobec potrzeb dziecka.

Z. Balicki w artykule „*Uwagi o opiece i wychowaniu dzieci wiejskich*" („Samorząd" z 28 sierpnia br.) również podkreśla potrzebę zorganizowania opieki nad dzieckiem wiejskim i zarazem podsuwa formy tej opieki. Otóż opieka ta powinna być organizowana przez całą wieś a więc samorząd gromadzki, a nie tylko przez jakieś kółko organizacji społecznej, obejmujące bardziej uświadomioną i aktywną część mieszkańców wsi, jak Koło Gospodyń Wiejskich, czy Koło Rolnicze. Jeśli chodzi o formę opieki, to poza już wyrobioną formą dzieciców, będących wstępem do zorganizowania przedszkoli, autor wysuwa potrzebę stworzenia odpowiednich kółek sportowych, a przede wszystkim specjalnych ogródków dziecięcych na wzór miejskich ogródków jordanowskich, dalej założenia parku wiejskiego, którego część możnaby poświęcić na ogródek dziecięcy. Z innych zagadnień, jakie autor wysuwa w związku z opieką nad dzieckiem, to sprawa głodowania, niedojadania dzieci szkolnych. *Tu nie jest potrzebna łza współczucia, ale środek zaradczy.* Środek ten musi znaleźć społeczność

wiejska. *Odżywić dziecko, to obowiązek nie tylko rodziców ale społeczeństwa.*

Przykład konkretnie realizowanej formy nad dzieckiem podaje inż. Włodzimierz Kochanowski w artykule „*Wyzyskujmy doświadczenia*", zamieszczonym w „Samorządzie" z 11 września br. Mianowicie z troski o opiekę lekarską i higieniczną nad dzieckiem oraz zrozumienia potrzeby organizowania dlań akcji dożywiania powstał w Wyrzysku Dom Dziecka. Piękny, nowoczesny budynek, posiadający wszystkie potrzebne urządzenia, mieści na raz 120 dzieci. Praca Domu Dziecka polega na tym, że kieruje się do niego na 6-ciotygodniowy pobyt dzieci szkół powszechnych, wątłe i niedożywione z terenu całego powiatu. Dzieci znajdują tu należytą opiekę lekarską, higieniczną i wychowawczą, przy czym odbywają nadal normalne zajęcia szkolne. Co 6 tygodni jest zmiana turnusu, przy czym jeden turnus jest przeznaczony tylko dla młodzieży męskiej, a następny dla dziewcząt i tak na zmiany. Fundusze na prowadzenie Domu są różnorodne, a w dużej części składają się z darów szerokich warstw ludności powiatu.

Opieka społeczna w ogóle a w niej opieka nad dzieckiem — to jedno z najbliższych samorządowi zadań. Nie kto inny bowiem, jak gmina, ten organ władzy publicznej, najbliżej stojący obywatela i to organ społeczny, — powinien otoczyć troską jego dolę życiową. Tymczasem w pracach samorządu daje się zauważyć marazm na odcinku opieki społecznej. I nie zawsze — trzeba zauważyć — ten stan wywołują środki materialne. Można tu stwierdzić jakiś trwalszy kryzys, jeśli chodzi o opiekę nad dzieckiem.

Może Ogólnopolski Kongres Dziecka, jaki się odbył w pierwszych dniach października (2, 3 i 4) br., może żywsza wymiana poglądów w sprawie konieczności podjęcia prac w dziedzinie opieki nad dzieckiem, przełamie obojętność wobec doli dziecka, jaka u nas niestety ma miejsce, może z czasem dzieci staną się, jak to się dzieje gdzie indziej, przedmiotem radości i dumy.

Lot do stratosfery

Pierwsza próba wystartowania balonu stratosferycznego[1]) nie powiodła się i skończyła się pożarem wodoru, przy czym powłoka stratostatu uległa uszkodzeniu. Opis wypadku, jak również okoliczności w jakich zaszedł podawane były dość obszernie przez wszystkie prawie pisma codzienne.

Zebranie komitetu organizacyjnego lotu, odbyte po wypadku, doprowadziło do stwierdzenia, że przyczyny wypadku nie można było uprzedzić, że nie został popełniony żaden błąd i że nie poniesiono żadnych strat, bowiem powłoka balonu była ubezpieczona i towarzystwo asekuracyjne poniesie wszystkie koszty naprawienia powłoki.

Ponadto stwierdzono, że instrumenty naukowe nie odniosły żadnych uszkodzeń i pozostaną w dalszym ciągu najzupełniej sprawne do wykonania obserwacji podczas lotu stratosferycznego, który odbędzie się na wiosnę przyszłego roku (Termin wiosenny, lub jesienny konieczny jest ze względu na optymalne warunki badań naukowych, jakie mają być podczas lotu wykonane).

[1]) Patrz „Przekrój" nr. 2 str. 90 — „Polski lot do stratosfery".

Ze względu na bezpieczeństwo lotu i dla uniknięcia zawsze niezbyt pewnego wodoru postanowiono sprowadzić hel, mimo, że podniesie to koszt lotu i mimo, że wszystkie prawie (prócz ostatniego amerykańskiego) loty do stratosfery wykonane były na balonach, wypełnionych wodorem.

Ponieważ hel jest dwukrotnie cięższy od wodoru, trzeba będzie sprowadzić go znacznie więcej niż 3800 m^3 (tyle należałoby zużyć wodoru).

Natomiast wbrew pierwotnym tendencjom postanowiono start wykonać z doliny Chochołowskiej. Na decyzję tę wpłynęła między innymi opinia mjra Stevensa, który będąc wybitnym teoretycznym znawcą zagadnienia lotów stratosferycznych i doświadczonym praktykiem (rekordzistą) w tej dziedzinie, uważa dolinę Chochołowską za najidealniejsze w naszych warunkach miejsce startu. Postanowienie to nie wydaje się jednak ostateczne i być może, iż wyniki prac naszej komisji naukowej wpłyną na jego zmianę.

Po wypadku podczas startu stanowisko prasy wobec imprezy doznało dość dużej zmiany. O ile przed startem tylko nieliczne pisma wyrażały się krytycznie o locie, o tyle teraz w dużej liczbie czasopism ukazały się artykuły bardzo nieprzychylne, a nawet wprost wrogie.

Opinia publiczna, podniecana przed startem reklamą nie zawsze prowadzoną odpowiednimi metodami i w odpowiednim tonie — odczuła niepowodzenie próby startu jak klęskę. Drobną, ale tym dokuczliwszą.

Atmosfera ta wykorzystywana jest przez niektóre odłamy prasy i to z tak złośliwym nastawieniem, że wszelkie prostowanie fałszywych informacji jest całkowicie ignorowane i nie brane zupełnie pod uwagę.

W dalszym zatem ciągu ataki opierają się na twierdzeniach i faktach, które wielokrotnie, w różnych pismach i przez różnych autorów były szczegółowo wyjaśniane i obalane.

Notując z obowiązku dziennikarskiego to wszystko — do sprawy lotu powrócimy niebawem, postarając się oświetlić zarówno okoliczności i przyczyny katastrofy startowej, jak również kulisy nieprzychylnego stanowiska prasy.

CZECHOSŁOWACJA STAJE SIĘ CZECHO-SŁOWACJĄ

W chwili, kiedy wojska polskie wkraczały do Cieszyna zachodniego, obok dawnej strażnicy celników czeskich stał w dwuszeregu oddział wojska czeskiego. Mała dziewczynka podchodzi do sierżanta stojącego na czele plutonu i wręcza mu bukiet kwiatów. Żołnierz czeski wybucha głośnym płaczem i prosi o opiekę nad rodziną, która pozostaje w Cieszynie.

Obrazek ten zauważony przez korespondenta Kuriera Warszawskiego wybraliśmy z pośród wielu wspaniałych scen wyzwolenia Śląska Zaolziańskiego, nie po to aby wzruszać się tragedią beneszowskiej republiki, lecz dlatego, że z perspektywy załatwionego sporu cieszyńskiego trudno nie ulec irytacji z powodu zmarnowanych przez Czechów możliwości, jakie przy rozumnej polityce mieli oni w dziele zapewnienia równowagi sił w Europie Środkowej. Trudno też nie współczuć z tymi Czechami, którzy w rzetelnym wysiłku potrafili zorganizować całkowicie dobrą armię, umieli przeformować Szwejka na solidnego żołnierza, a od szeregu lat widząc jasno co się święci, nie zdołali nakłonić swoich rządów do zmiany polityki.

Czechosłowacja przestała istnieć. Przez kilkanaście lat wbijali Czesi w głowę całej Europie, że istnieje naród czechosłowacki. Wbijali też to samo w głowę i to całkiem dosłownie narodom zamieszkującym dawną republikę. Za kreskę między wyrazami „czesko", a „słowacki" konfiskowało się książki, skazywało się na więzienie. Było tego za mało, aby w chwilach decydujących utrzymać łączność krajów korony św. Wacława. Kreska pojawiła się z powrotem i wydłużyła tak dalece, że ledwo jej starczyło na powiązanie Czech i Słowacji.

Dramatem Czechów jest nie fakt okrojenia ich republiki, która wróciła dopiero teraz do platformy z której powinna zacząć swe istnienie państwowe, lecz okoliczności wśród jakich się to odbyło. Jeżeliby kto w wypadkach czeskich dopatrywał się klęski słowiańszczyzny, to winić za nią trzeba Czechów. Winić za to, że załatwili swe sprawy z pobratymcami dopiero pod ciosem niemieckim, po wielu latach nadużywania idei słowiańskiej w taki sposób i tak długo, aż przestała mieć jakiekolwiek znaczenie. Nie korzystaliśmy nigdy ze swej słowiańskości, wręcz przeciwnie miewała ona dla nas gorzki posmak rosyjskiego patronowania, nie będziemy i teraz rozpatrywali nowej sytuacji na tej płaszczyźnie.

Rozwój wypadków na terenie Czecho - Słowacji pozwala przypuszczać, że zostanie utrzymana zasadnicza jedność państwa, złożona z dwuch członków. Słowacy po zagwarantowaniu sobie wewnętrznej integralności narodowej swego kraju nie mają powodu do dalszego rozluźniania węzłów z Czechami. Maja mimo wszystko zbyt mało elementów państwowych, aby mogli stanowić osobny organizm polityczny, raczej należy przewidywać, że po uwolnieniu się od dokuczliwego najazdu administracji czeskiej nastąpi u nich proces odwrotny polegający na poszukiwaniu sposobów ściślejszego zespolenia. Czesi, wierząc w odpływ fali separatyzmu Słowaków, chętnie zgodzili się obecnie na ich formalną samodzielność chociażby dla skorzystania z dogodnej dla siebie sytuacji, że kwestia rewindykacyj węgierskich stała się przez to sprawą słowacko - węgierską i jeszcze przez dłuższy czas będą woleli utrzymywać tego rodzaju podstawienie kontrahenta. Na stycznej obustronnych interesów ugruntują się nowe formy współżycia, tym razem zdrowszego i trwalszego.

Nowy twór czesko - słowacki czekają ciężkie doświadczenia ekonomiczne i wewnętrzno - polityczne. Znając rządność i pracowitość Czechów oraz prężność populacyjną Słowaków można wierzyć, że przejdą wszystkie przeciwności i nawet rychło zregenerują swe życie gospodarcze.

Ciężkie natomiast czekają ich próby polityczne i socjalne. Dobrze poinformowany w sprawach czeskich tygodnik „*Czarno na białem*" pisze o obecnej sytuacji czeskiej:

Gospodarze tego kraju nie zdają sobie jeszcze dokładnie sprawy, w jakich warunkach trzeba tu będzie żyć i pracować, ba nie wiedzą jeszcze jak w sensie wewnętrzno politycznym będą się mogli urządzić. Nie ulega wątpliwości, że „protektor" stawia pewne warunki. Łapiąc tedy ryby przed niewodem, pra-

wica woła o ustrój „autorytatywny". Ciekawsze jest centrum, które właściwie tworzą czescy narodowi socjaliści. Było to zawsze stronnictwo pozbawione wyraźnie sformułowanych zasad, to też pierwsze pośpieszyło ono z hasłem scalenia życia politycznego i partii politycznych. Ale stronnictwo to o tak atrakcyjnej chociaż jeszcze przedwojennej nazwie traci prawie wszystko wraz z ustąpieniem Benesza i pogrzebaniem jego planów. Czescy „socjaliści", jak ich tu ostatnio nazywano, próbują przez zjednoczenie swoich związków zawodowych ze związkami socjalnych demokratów zyskać na znaczeniu i sile. Należy tu jednak oczekiwać jakiejś odmiany „frontu pracy" i dlatego usiłowania te nie przyniosą zapewne rezultatów, chociaż sama idea zjednoczenia świata pracy jest słuszna. Socjalna demokracja czeska odegra swą rolę do końca. Zamierza ona wystąpić z Międzynarodówki, rzekomo dla zaprotestowania przeciw nowym uchybieniom tej instytucji. W istocie chodziłoby o próbę odgrodzenia się od kompromitującego w nowych warunkach pokrewieństwa, a może nawet o połączenie się ze stronnictwem Benesza. Późne te próby jednoczenia się, scalania, fuzji, przychodzą już jednak poniewczasie. Komuniści będą musieli prawdopodobnie zejść do podziemi, a to znaczy, że przetrwają (brzmi to paradoksalnie) najlepiej.

O wiele ważniejsze i ciekawsze od tych zmian zewnętrznych będą przemiany w glebie tego kraju, w głębi mas. Proces ten będzie się rozwijać w miarę powstawania nowych warunków gospodarczych i politycznych. Czechosłowacja o nieustalonych jeszcze granicach i niepewnych warunkach istnienia pozostanie przedmiotem dużego zainteresowania. Wszak będzie pierwszą próbą realizowania dominialnych planów Rzeszy niemieckiej.

Ten pożałowania godny kraj jest chwilowo terenem ewakuacji w najszerszym tego słowa znaczeniu. Rozgrywają się tu tysiące osobistych tragedii, fale nowych uchodźców mieszają się z falami starszych emigrantów. Czechosłowacja przeżywa ewakuację terytorialną, polityczną i gospodarczą. Są to zjawiska ponure i żadna gwiazda nadziei nie opromienia drogi, którą ten ciężko doświadczony kraj ma przed sobą.

Politycznie i społecznie znajdą się Czesi na huśtawce między radykalizmem socjalnym, a nacjonalizmem. Świadomość porażki narodowej musi budzić uczucie nacjonalistyczne i dążenie do ustroju autorytatywnego. Na pogłębienie radykalizmu wpłynie przede wszystkim ostry kryzys materialny i ideowy inteligencji zawodowej, która po raz drugi w dziejach republiki staje przed katastrofą braku pola do ekspansji. Po odzyska-

niu niepodległości inteligencja przez długie lata miotała się w następstwach rozpadnięcia się tak pojemnego rynku pracy, jakim dla mnogich zastępów urzędników czeskich był cały teren monarchii Austro - Węgierskiej. Zaledwo dostosowała się do możliwości jakie przedstawiały kraje Czechosłowacji, już musiała się cofnąć do ściśle etnicznego obszaru Czech i Moraw. Rozpiętość między obu prądami nie wróży Czechom rychłego pokoju wewnętrznego.

Granica polsko-węgierska

Jeszcze z łamów prasy nie zeszły opisy przejmowania terenów po czeskich, gdy od południa Czecho - Słowacji pojawiła się następna sprawa: rewindykacje węgierskie, które niebawem rozwinęły się w dalekosiężny problem wspólnej granicy polsko - węgierskiej.

W zagadnieniu tym rozgrywa się przyszłość Południowo - Wschodniej Europy, rozwiązanie jego ma stanowić o tym, czy na wschodzie Karpat ma być podrzucone zarzewie nowych konfliktów, czy tenże sam teren ma się stać klamrą nowego porządku politycznego.

O ile na innych terytoriach, ostatnich wypadków działać musiały czynniki narodowościowe, o tyle w sprawie Rusi Podkarpackiej, mającej być obiektem ostatniej rozgrywki — można bez podejrzeń o krętactwo — stwierdzić, że względy te nie grają żadnej roli; układ etniczny na Rusi, uświadomienie narodowościowe grupy, która dała nazwę temuż krajowi, jej ciężar gatunkowy i liczebność w stosunku do innych mieszkańców — pozwalają posunąć się aż do określenia, że terytorium to jest krajem niczyim.

Wąski pas podgórski zamieszkuje około 500.000 Rusinów, ludności biednej, o nizkim stopniu kulturalnym, przemieszanej z Węgrami (18% na całym obszarze Rusi) oraz z Żydami (15%). Czesi stanowią 1,7% ogółu mieszkańców. Ponadto wschodnie krańce kraju zamieszkuje około 30.000 Rumunów osiadłych w zwartej grupie. Skutkiem niskiego poziomu ekonomicznego i kulturalnego Rusinów przodującym elementem są Węgrzy i zmadziaryzowani Żydzi. Jeśliby na terytorium podkarpackim, miał się odbyć plebiscyt, to można z całą pewnością przewidywać, że wypadnie na korzyść przyłączenia Rusi do Węgier. Tym bardziej, że geopolityczne warunki Rusi skazują ją na korzystanie z bogatej niziny węgierskiej i ludność

ruska znajdująca się w Czechosłowacji w kącie bez wyjścia pamięta, że za czasów węgierskich miała przynajmniej elementarne możliwości wegetacji, na ucisk zaś narodowościowy jakiemu poprzednio ulegała — nie jest zbyt czuła. Zresztą i Czechosłowacja nie przyniosła jej szczególnych swobód narodowych, a 1,7% napływowych Czechów było dokuczliwą warstwą urzędniczą, utwierdzającą Rusinów w podrzędnej sytuacji.

W następstwie warunków w jakiej się znalazła ludność ruska pod panowaniem czeskim, nie wyłoniła ona żadnego, istotnie samodzielnego ruchu politycznego. Podporę rządów czeskich stanowili prawosławni moskalofile, widzący w pomocy czeskiej przyszłe możliwości stopienia się z Rosją. Poważna część autonomistów ruskich grawitowała ku Węgrom i wraz z t.zw. madziaronami t.j. uważającymi się za mówiących po rusku Węgrów — stała się podstawą madziarofilskich działań powstańczych.

Ruś Podkarpacka stanowiła dla państwa czesko - słowackiego obszar gospodarczo bierny i wymagający stałych wkładów wszelkiego typu, począwszy od specjalnej akcji sanitarnej, koniecznej by bronić ludność ruską przed katastrofalnym upadkiem populacyjnym. Inkorporacja Rusi i utrzymywanie się przy niej była dla Czechosłowacji potrzebą polityczną dla posiadania wspólnej granicy z Rumunią — i spodziewanej granicy z Rosją.

O tym ostatnim przypomina rzymska „Tribuna" która w korespondencji z Pragi (streszczenie w komunikacie P.A.T.) informuje, że *w r. 1920 gdy wojska bolszewickie stały pod Warszawą, ówczesny prezydent Czechosłowacji Masaryk, przyjmując delegata sowieckiego Czerwonego Krzyża, Gillersona, oświadczył dosłownie: „Uważam Ruś Podkarpacką za depozyt Rosji w Czechosłowacji. Przy pierwszej sprzyjającej okazji zwrócimy ją w ręce Rosji. Oświadczam to panu urzędowo, jako prezydent republiki czechosłowackiej i upoważniam pana donieść o mym oświadczeniu rządowi moskiewskiemu"... W chwili, gdy problemat Rusi Podkarpackiej znajduje się na porządku dziennym, jest rzeczą bardzo wskazaną* — ciągnie „Tribuna" — *zastanowić się nad tym zagadnieniem w świetle ujawnionych dokumentów. Wyjaśniają one, dlaczego Moskwa sprzeciwia się wspólnej granicy polsko - węgierskiej. Ruś posiadająca pozory niepodległości najbardziej dogadzałaby koncepcjom moskiewskim, ponieważ jako niepodległe państewko stałaby się ona wkrótce ośrodkiem wpływów Związku Sowieckie-*

go. Dlatego też obecnie Europa jest obowiązana zbadać zagadnienie Rusi Podkarpackiej nie tylko z punktu widzenia lokalnego, ale również ogólno - europejskiego. Trzeba się zastanowić nad rozwiązaniem, któreby za zgodą miejscowej ludności — o ile to jest możliwe — oraz za zgodą ich sąsiadów, regulowało losy Rusi w sposób trwały i gwarantujący ochronę przed atakami wywrotowymi.

Sprawa granicy polsko - węgierskiej rozwinęła się w odmiennym układzie stosunków międzynarodowych niż poprzednie akcje rewindykacyjne.

Niemcy dotychczas realizujące ściśle wytyczne zawarte w hitlerowskiej „Mein Kampf" zetknęły się przy kwestii Rusi Podkarpackiej z naczelnym zagadnieniem Rosenberga, a mianowicie z ideą pochodu na Ukrainę i spróbowały użyć Rusi jako bazy podpalania Wschodniej Europy. W publikacjach niemieckich pojawił się termin „Karpato — Ukraina", w audycjach radia wiedeńskiego zabrzmiał język ukraiński. Zaledwie jednak rozpoczęły Niemcy pierwsze kroki w kierunku korzystnego dla nich zbałkanizowania Karpat — okazało się, że Hitler wpadł w obcęgi swych własnych przyjaźni.

Klamra karpato - ruska nie mogła być obojętna Mussoliniemu. Jeżeli przy anschlussie Austrii zasłużył sobie na zapewnienie wdzięczności ze strony Hitlera, to nie po to, aby w re jonie najbliższych włoskich zainteresowań dunajskich pozostać bez gestii. Musiał się zatem odnieść z całą życzliwością do rozwoju działań węgierskich i poprzeć demonstracyjnie stanowisko Polski w uregulowaniu granicy wschodnio - karpackiej.

W końcu — przy problemie ruskim musiała się pojawić Rumunia. Dla Rumunii zagadnienie to nie jest łatwe. Musi się ona liczyć z tym, że rewizjonizm węgierski nasycony od północy, może sięgnąć ku wschodowi po Siedmiogród, następnie jest członkiem, istniejącej mimo wszystko, Małej Ententy i nie może przeto pochopnie przyczyniać się do wbicia gwoździa w jej trumnę.

Główny ciężar rozplątania tych wszystkich przeciwności spadł na Polskę, nie mogącą dopuścić, aby *vacuum* wytworzone na Rusi Podkarpackiej wypełnione zostało ze szkodą dla pokoju Wschodniej Europy.

ZAGADNIENIA NADDUNAJSKIE

Problem czy problemy?

Zwolna, jakby mimochodem i niepostrzeżenie dla opinii publicznej weszła Polska w zainteresowania południowo-wschodnią strefą Europy i w krąg spraw określanych potocznie jako kwestia naddunajska. Przez dłuższy czas, poza politycznym sojuszem z Rumunią, sympatycznymi stosunkami z Bułgarią i tradycyjnymi relacjami z Węgrami nic nie znamionowało, że rok po roku Polska staje się w tym rejonie drugim po Niemcach importerem i że szlak lotniczy Warszawa — Palestyna wraz z polską linią morską do Palestyny zaznaczają nowy kierunek polskiej ekspansji, wcale nie symbolicznie, ale coraz to konkretniej.

W momencie kiedy w basenie naddunajskim następuje gwałtowne przegrupowanie systemu politycznego, nie od rzeczy będzie zebrać i utrwalić wszystkie składniki zagadnienia, które w gruncie rzeczy nie istniało nigdy jako wyodrębniona zwarta kwestia, lecz stanowiło tylko konglomerat różnych problemów połączonych dość luźnie wstęgą Dunaju.

Ścisły obszar naddunajski tworzą: Rumunia, Bułgaria, Jugosławia, Węgry, Czechosłowacja i austriackie terytoria Niemiec.

Kraje te łączyło złudzenie wspólnoty gospodarczej, oparte na przeszłości, w której stanowiły one kompleks b. Cesarstwa Ottomańskiego i Monarchii Austro-Węgierskiej. Na iluzji tej budowane były przez ostatnie kilkadziesiąt lat próby stworzenia organizacji gospodarczo-politycznej, mającej podpierać sztucz-

ną i wątłą południowo-wschodnią ścianę systemu wersalskiego. Ściślej — otwierać pole ekspansji czechosłowackiej i stanowić podstawę samodzielnej egzystencji Austrii.

Próby nie wytrzymały egzaminu życia, gdy mimo sugestywnej linii Dunaju, kraje leżące w jego geopolitycznym zasięgu nie przejawiły tendencji dośrodkowych, w sensie gospodarczego powiązania między sobą, a zwłaszcza z Czechosłowacją i Austrią, lecz przeciwnie, w miarę czasu stawały się coraz to wyraźniej rynkami przywozu i wywozu dla państw pozadunajskich.

Łączą te kraje podobne trudności gospodarcze, niemożność ustalenia trwałych wytycznych polityki ekonomicznej i wrażliwość na działania zewnętrzne. W obecnej chwili stanowią one rejon, w którym wchłonięcie Austrii przez Niemcy i polityczny upadek Czechosłowacji zaznaczy się nieuchronnymi dalszymi wstrząsami i tarciami.

Poza krajami ścisłego obszaru bezpośrednio zainteresowane są tym problemem Niemcy (Anschlussu, wchodzące do obszarów na miejsce Austrii), Włochy i Polska. Wreszcie pośrednio — raczej tylko politycznie — zaangażowane są w zagadnieniu naddunajskim Francja i Anglia, zmuszone bądź do stworzenia bariery na drodze Berlin — Bagdad, bądź do pilnowania by równowaga międzynarodowa w Europie nie została naruszona.

Dla państw grupy bezpośredniego zainteresowania problem naddunajski stanowi kwestię gospodarczej ekspansji wzdłuż naturalnej drogi Dunaju, korzystania z bogatych zasobów surowcowych i dostępu do portów i dróg, które mogą być pewniejsze niż porty Europy Północnej; krótko mówiąc — stanowi kwestię pokoju i wojny.

Dla krajów ścisłego obszaru — to zagadnienie bądź wiecznie kryzysowej wegetacji, bądź gwarancja pokojowego rozwoju gospodarczego i politycznego.

Przystępując do przedstawienia składników problemu uprościmy sobie na razie pracę przez zatrzymanie się na stanie rzeczy przed wydarzeniami czechosłowackimi. Rozważając układ intresów na płaszczyźnie gospodarczej — nie musimy jeszcze brać pod uwagę doniosłych zmian politycznych. Albowiem mimo wchłonięcia Austrii przez Niemcy — nie całe Niemcy gospodarcze ciążą na basenie naddunajskim, lecz tylko rejon austriacki. Z drugiej strony mimo okrojenia Czechosłowacji — cały jej dawny kompleks gospodarczy skazany jest nadal na drogę Dunaju. Gdy będziemy rozważać polityczny aspekt zagadnienia, wtedy staniemy przed odpadnięciem nowej Czecho-

słowacji z gry naddunajskiej i groźby ujęcia batuty przez Niemcy — na razie jednak tak uproszczenie zadania jak i istotny układ faktów gospodarczych pozwala na posługiwanie się mapą, dziś już nie aktualną.

Kraje ścisłego obszaru naddunajskiego cechuje dość znaczna skala rozpiętości dynamiki ludnościowej i gospodarczej [1]) (patrz tabela obok).

Korzystając w naszych rozważaniach z wyczerpującej i źródłowej pracy p. J. Kostaneckiego, musimy wraz z Autorem podzielić trudności w wszechstronnym przedstawieniu produkcji przemysłowej omawianych krajów. Brak systematycznych danych statystycznych w większości krajów naddunajskich skazuje nas na posługiwanie się obrazem kilku najważniejszych gałęzi produkcji, pozwalających ogólnie na wyrobienie sobie zdania o układzie warunków gospodarczych rejonu dunajskiego.

Jak z ogólnej ilustracji wynika — obszar ten dzieli się na dwie odmienne grupy krajów: uprzemysłowione, silne kapitałowo Austria i Czechosłowacja oraz pozostałe — rolnicze i surowcowe. Wspomniany Autor umieszcza Węgry osobno, określając je jako organizm o typie przejściowym; bardziej jednak uzasadnione będzie włączenie Węgier do grupy rolniczej, a w każdym razie ich nieunormowana struktura gospodarczo-społeczna każe je potraktować jako kraj gospodarczo młody razem z Rumunią i resztą.

Tego rodzaju podział państw basenu dunajskiego mógłby stanowić naturalny węzeł ich współżycia gospodarczego. Tymczasem analiza ich obrotów handlowych między sobą i z państwami leżącymi poza ścisłym obszarem naddunajskim wskazuje na charakterystyczny objaw, że kraje, które mogłyby być wzajemnie głównymi kontrahentami, przejawiają tendencje odśrodkowe.

Obroty handlowe Jugoslawii, Rumunii i Bułgarii przekonują o wyraźnym ich powiązaniu poza ścisłym obszarem naddunajskim.

Jugosławia odbiera od reszty krajów naddunajskich 31 procent swego importu, oddaje 33 procent wywozu. Rumunia 30,4% przywozu, a 28% wywozu, Bułgaria 21,6% importu i 14,4% eksportu. Żywsze powiązanie wykazują Węgry, bo 44% przywozu i 31,8% wywozu. W rezultacie rynki naddunajskie

---

[1]) Charakterystyka gospodarcza i dane statystyczne: Jan Kostanecki — Naddunajski Problem Gospodarczy — Warszawa 1937 r. oraz Mały Rocznik Statystyczny 1938 r.

Powierzchnia i ludność.

	Powierzchnia (w tys. km²)	Ludność (w tys.)	Mieszkańców (na 1 km²)
Rumunia	295	19.2	65
Bułgaria	103	6.2	60
Jugosławia	248	15.0	60
Węgry	93	8.9	96
Czechosłowacja	140	15.2	108
b. Austria	84	6.8	81
POLSKA	389	34.5	89

Produkcja rolna (1935).

	W tysiącach kwintali	
	Zboże	Pozostała produkcja (ziemniaki, konopie, tytoń itp.
Rumunia	98.446	23.231
Bułgaria	29.021	1.918
Jugosławia	58.718	15.127
Węgry	49.261	16.227
Czechosłowacja	56.697	82.974
b. Austria	18.365	22.344
POLSKA	128.169	830.481

Produkcja górnicza i hutnicza (1935).

	W tysiącach ton					Złoto
	Węgiel kamienny	Ropa naftowa	Sól	Rudy żelaza	Rudy cynku	w kg
Rumunia	276	8.376	325	82	4,1	4.464
Bułgaria	93	—	49	—	—	—
Jugosławia	400	—	57	19	52,8	2.445
Węgry	823	—	—	186	—	—
Czechosłowacja	10.965	29	—	816	—	—
b. Austria	261	—	199	193	2,7	—
POLSKA	28.543	517	515	393	53,9	—

Wskaźnik produkcji przemysłowej [1]) (1937 — za 100 przyjęty rok 1929. Węgry — 1934).

Rumunia	131
Bułgaria	131
Jugosławia	brak danych
Czechosławia	96
Węgry	139
b. Austria	106
POLSKA	85

---

1) Annuoire Statistique de la S. D. N. — 1937/38.

odbierają od Czechosłowacji zaledwie 16,7% eksportu, a dostarczają 19%. W obrotach b. Austrii partycypują kraje dunajskie w 36,3% przywozu i 31,4% eksportu.

Zasadniczo, nie są to ogólnie biorąc udziały małe, jednak zbyt małe, aby mogły być platformą tak ścisłego powiązania gospodarczego, jakie byłoby potrzebne dla budowania na nim systemów politycznych.

W oświetleniu warunków gospodarczych trudno w kwestii państw naddunajskich znaleźć elementy wiążące je w jedno zamknięte zagadnienie.

Istnieje szereg samodzielnych interesów poszczególnych krajów, połączonych być może podobnymi warunkami ekonomiczno socjalnymi, lecz nie poszukujących w gruncie rzeczy wspólnych rozwiązań. Próby takich rozwiązań mogły być podejmowane w imię interesów jednego czy dwóch członków, lecz nie całej grupy, bądź też przez czynniki zewnętrzne, czyli tym bardziej musiałyby być skazane na niepowodzenie.

Dzieje fikcji

Dążenia do ściślejszej organizacji obszaru naddunajskiego datują się niemal od chwili powstania państw sukcesyjnych. Już w traktatach w St. Germain i Trianon otwierano dla Austrii, Czechosłowacji i Węgier możność stosowania między sobą ulg celnych, nie obejmowanych klauzulą najwyższego uprzywilejowania, czyli możność nie udzielania innym państwom takich samych preferencyj celnych.

Postanowienia te, jak wszelkie następne podobne próby, miały na celu przede wszystkim umożliwienie hegemonii Czechosłowacji w basenie naddunajskim oraz zapewnienie Austrii samodzielnego bytu dla uniknięcia jej dążności do połączenia z Niemcami. Opierały się zaś na założeniu, że kraje naddunajskie łączy istotne powiązanie gospodarcze, jako kraje, które poprzednio należały do b. Monarchii Austro-Węgierskiej, względnie jak Jugosławia i Rumunia leżały w jej strefie gospodarczej. Należało więc usunąć powody piętrzących się trudności ekonomicznych spowodowanych przez zniknięcie monarchii i przez „bałkanizację” Europy Środkowej.

Trudno jednak pogodzić się z tym poglądem — pisze p. J. Kostanecki. — Przede wszystkim co do samych faktów. Z jednej strony wprawdzie zniknęła Monarchia i na to miejsce powstały trzy małe państwa: Austria, Węgry i Czechosłowacja,

z drugiej strony jednak na południu powstały dwa nowe, przed tym nie istniejące wielkie obszary gospodarcze: zniknęła Czarnogóra, powiększyła się dawna Serbia, jak też i powiększyła się dawna Rumunia do rozmiarów stawiających je w rzędzie przynajmniej średnich państw w Europie. Rozbicie północnej części zagłębia zostało w dużej przynajmniej mierze skompensowane integracją gospodarczą nad dolnym Dunajem. Każde zaś powiększenie terytoriów tych państw, czy też Bułgarii, kosztem dawnego Cesarstwa Tureckiego oznacza wciągnięcie w ramy gospodarki międzynarodowej obszarów, które poprzednio mogły co najwyżej figurować jako białe plamy na mapie gospodarczej świata.

Mimo, że unifikacyjne postanowienia traktatów w St. Germain i Trianon nie weszły w życie — próby tego rodzaju pojawiają się przy sposobności różnych międzynarodowych konferencyj gospodarczych, aż wreszcie znajdują wyraz w tak zw. planie Tardieu'go w 1932 r. Plan ten, wchodzący do francuskiej koncepcji reorganizacyjnej Europy Środkowej, przewidywał wzajemne ulgi celne pięciu państw naddunajskich; nie został on zrealizowany, gdyż państwa sąsiadujące, które przy realizacji planu miałyby zrzec się klauzuli najwyższego uprzywilejowania — sprzeciwiły się temu. Przy tej sposobności okazało się też, że same państwa bezpośrednio zainteresowane, nie były przekonane do korzyści ściślejszego współdziałania gospodarczego i nie nalegały wcale na przeprowadzenie projektu Tardieu'go.

Usiłowania celem utworzenia bloku naddunajskiego nie obce były też Włochom, w okresie kiedy organizowały przeciwdziałanie ekspansji niemieckiej w Austrii. Najbardziej konkretny krok Włoch w tym kierunku znany pod mianem „paktów rzymskich" z 1934 r. obejmował Węgry i Austrię. Polegał on przede wszystkim na zapewnieniu odbioru pszenicy węgierskiej przez Włochy i Austrię. Zaznaczył się on pewną aktywizacją eksportu austriackiego i węgierskiego, pogłębioną przez równoczesne ożywienie obrotów handlowych obu krajów z Włochami, w związku ze zbrojeniem się Włoch podczas wojny Abisyńskiej.

Równocześnie pod kierownictwem Czechosłowacji utworzył się drugi blok w postaci Małej Ententy Gospodarczej, obejmującej Czechosłowację, Rumunię i Jugosławię. Organizacyjnie przedstawiał on twór najbardziej sformowany, bo nawet posiadający stałą instytucję Rady Gospodarczej i sięgał głęboko w życie ekonomiczne swych członków, aż po normalizację usta-

wodawstwa gospodarczego, celnego, kooperację finansową i normalizację sprzętu wojennego.

Istnienie dwóch bloków, mimo ich pozytywnych rezultatów, pogłębiło ogólne anomalie gospodarczo-polityczne i skłoniło do dalszych poszukiwań sposobu reorganizacji ekonomicznej Europy Środkowej. Poszukiwań nadaremnych, tym bardziej, że niebawem miały się zachwiać fundamenty polityczne dotychczasowego systemu dunajskiego.

Kruche podstawy koncepcji naddunajskich bloków gospodarczych osłabiła do reszty działalność polityczna Francji i Czechosłowacji. Ścisłe powiązanie krajów naddunajskich mogłoby ostatecznie wytrzymać próbę życia, gdyby polityczne działania pomagały akcjom gospodarczym, a przynajmniej im się nie sprzeciwiały.

Wspólnota krajów naddunajskich możliwa jest tylko przy pełnym uwzględnieniu przynależności do niej ze strony Węgier. Tymczasem polityka wyrażona utworzeniem Małej Ententy, skierowanej przeciwko Węgrom paraliżowała wszystkie inne posunięcia tejże samej Francji.

Akcja francuska w obszarze naddunajskim przejawiała się w trzech kierunkach. Pierwszy wytyczył zasadę tworzenia bariery na południowym wschodzie Europy, skrystalizowaną w formie Małej Ententy, drugi organizowanie i utrzymywanie systemu bezpieczeństwa powszechnego, trzeci to poprzednio omówione usiłowanie organizacji basenu. Pełną sprzeczności wielokierunkowość polityki francuskiej komplikowało obciążenie jej przez pauperyzujący protektorat nad Czechosłowacją. Uchodząc za główny czynnik powalenia Monarchii Austro-Węgierskiej, Czechosłowacja dążyła do pozycji głównego jej sukcesora, razem z dziedzictwem kierowniczego stanowiska w basenie dunajskim. Ambicje czechosłowackie torpedowały tak sprawę powszechnego bezpieczeństwa, oddalając pozostałe państwa od idei Ligi Narodów, jak i rozbijały wszelkie akcje gospodarcze.

Przez jakiś czas sprzymierzeńcem polityki francuskiej w basenie dunajskim były Włochy. W 1925 r. Mussolini oświadczył, że Włochy nigdy nie mogłyby tolerować oczywistego pogwałcenia traktatów przez włączenie Austrii do Niemiec. Jeszcze w dziewięć lat potem kontrakcja włoska wyraża się w omawianym powyżej bloku gospodarczym państw naddunajskich. Równocześnie Włochy zajęły się gorliwą penetracją ideową, usiłując w Austrii wywołać ruchy faszyzujące. Oręż ten niebawem wytrącił im Hitler, doprowadzając wkrótce do wypad-

ków, które spowodowały śmierć kanclerza Dollfusa i stanowiły początek końca Austrii. Po całkowitym porozumieniu się z Niemcami i stworzeniu „osi Berlin — Rzym" Włochy wycofały się z przegranej partii z Niemcami o klucz basenu dunajskiego jakim była Austria.

Nie wycofały się jednak z rozgrywki o wpływy w obszarze dunajskim. Powróciły do niej, przesunąwszy jedynie linię działania nieco na wschód — poprzez Jugosławię, Węgry ku Polsce. Na tej osi odbywa się teraz dyskretna, przyjazna utarczka „w rodzinie", przejawiająca się w życzliwym stanowisku Włoch w sprawie wspólnej granicy polsko-węgierskiej — o czym piszemy na innym miejscu.

Na gruzach złudzeń zarysowują się obecnie nowe kształty problemu. Pozostają dawne doświadczenia, wskazujące na brak istotnych powiązań gospodarczych basenu dunajskiego. Pojawiają się natomiast nowe węzły polityczne, oparte na niechęci państw naddunajskich do popadnięcia w uleganie hegemonii Niemiec. Niechęci, która podyktuje potrzebę nowego uszeregowania się państw w imię samodzielności politycznej każdego z kontrahentów.

W nowej fazie permutacji zagadnienia współpracy państw naddunajskich zjawia się Polska, jako czynnik polityczny wybitnie aktywny, o ciężarze gatunkowym, pozwalającym na powrót do odwiecznej idei Jagiellońskiej.

Dunaj

Do czasu wypowiedzenia przez Niemcy statutu międzynarodowego na dawnym austriackim odcinku Dunaju, rzeka ta miała charakter arterii umiędzynarodowionej. Głównym wyrazem umiędzynarodowienia była Europejska Komisja Dunaju, składająca się z przedstawicieli Anglii, Francji, Włoch i Rumunii, a posiadająca daleko sięgającą ingerencję w żegludze dunajowej.

Komisja powstała w 1856 r. początkowo jako organizacja mająca zapewnić spławność rzeki i rozwój obrotów portowych na części Dunaju od ujścia po Braiłę, czyli na odcinku, na którym zachodziła obawa, że słaby twór państwowy, ówczesna paromilionowa Rumunia, nie zdoła zorganizować tam żeglugi, ani nie będzie miała środków, aby utrzymać i ulepszać konieczne urządzenia żeglugowe. Zasięg władzy Komisji miał charakter niemal suwerenny. Do jej kompetencji należało nie tyl-

ko zawiadywanie urządzeniami, planowanie i przeprowadzanie inwestycyj, lecz także sądownictwo w sprawach żeglugowych, ustalanie taryf i utrzymywanie swojego personelu administracyjnego oraz własnego taboru. Władza Komisji była dla Rumunii tym przykrzejsza, że łączyła się z uprawnieniem Komisji nakładania na Rumunię świadczeń materialnych dla utrzymania spławności Dunaju.

Rumunia nie posiadająca środków na pełne i samodzielne zorganizowanie ujść Dunaju znosiła władztwo Komisji biernie przez lat przeszło osiemdziesiąt. Traktat wersalski wraz z umiędzynarodowieniem całego Dunaju przyniósł rozszerzenie podstaw Komisji, przemianowanej w Międzynarodową Komisję Dunaju. Komisja rozrosła się w wielki, posiadający swe własne interesy organizm, ciążący coraz to wyraźniej na sprawności samej żeglugi. Przerost biurokracji dunajowej, powodował potrzebę nieuzasadnionych gospodarczo wysokich taryf, polityka inwestycyjna nabierała z każdym rokiem charakteru raczej eksploatacji rzeki. Opinia krajów naddunajskich, a zwłaszcza opinia rumuńska musiała przeciwko Komisji wystąpić ostro i czekać na każdą okazję pozbycia się niecelowej opieki.

Uchylenie przez Niemcy klauzul traktatu wersalskiego co do umiędzynarodowienia rzek niemieckich, dało pierwszy sygnał podważenia statutu Dunaju. Powstała kwestia przyznania udziału w Komisji wszystkim państwom naddunajskim. Zanim sprawa ta dojrzała, nastąpiło przyłączenie Austrii do Niemiec, oraz w konsekwencji przesunięcie granicy obowiązywania statutu dunajskiego w dół rzeki po Bratysławę. Nie czekając już na dalszy rozwój kwestii wystąpiła Rumunia na wiosnę br. z akcją dyplomatyczną w kierunku zniesienia ograniczeń swych praw suwerennych nad Dunajem. Akcja ta z końcem sierpnia br. uwieńczona została pomyślnym skutkiem w postaci układu między Rumunią a Anglią i Francją, dokonywującego rewizji statutu ujść Dunaju. Na mocy układu oddano rządowi rumuńskiemu administrację i kontrolę żeglugi, jurysdykcję spraw żeglugowych oraz wszystkie urządzenia Komisji. Ponadto port Sulina utracił charakter międzynarodowy. Komisji co prawda nie zlikwidowano i pozostawiono jej dość ważną funkcję, mianowicie zatwierdzanie projektów inwestycyjnych i taryfy żeglugowej.

Mimo tych atrybucji Komisji Rumunia uzyskała poważne wzmocnienie swej pozycji nad Dunajem i zajęła u jego ujścia stanowisko godne dwudziesto milionowego państwa. Trudno w tej chwili przesądzać, czy Anglia i Francja utrzymają się przy

swych uprawnieniach dunajskich, używając je za punkt zaczepienia swego udziału w nowym ugrupowaniu sił na południowym wschodzie Europy. Należy przypuszczać, że w każdym razie Anglia, — wierna swej zasadzie obecności we wszystkich czułych punktach dróg morskich — nie zrezygnuje ze swego zainteresowania ujściem Dunaju i usuwając się nawet z bezpośredniej polityki wschodnio-europejskiej, będzie uważała porty rumuńskie za ostatnią granicę wschodnią cofania się z tych stref Europy.

Dla Polski, — nie zainteresowanej z natury rzeczy bezpośrednio w kwestii samej żeglugi dunajowej — sprawa ta ma znaczenie jako zagadnienie usadowienia się przy ujściach Dunaju sił pozwalających na pełny rozwój krajów z którymi Polska utrzymywać będzie stale zacieśniające się stosunki gospodarcze i polityczne. Nie może być dla nas obojętne czy Dunaj otworzy drogę nieograniczonej ekspansji Niemiec, zjawiających się nad nim w miejsce Austrii, czy też będzie stanowić kluczową pozycję siły sprzymierzeńczej Rumunii i arterię oddechową Węgier. Ważne jest też — a bodaj przede wszystkim — kto będzie na prawdę rozporządzał tak ujściem Dunaju jak i wszystkimi portami Rumunii. Należymy do tych państw, dla których porty Południowo-Wschodniej Europy są kwestią pokoju i wojny.

Dr M. KULCZYŃSKI

MARGINALIA

Zasada etnograficzna

Zasada etnograficzna, którą Adolf Hitler tak umiejętnie zaszachował opinię t.zw. wielkich demokracji, a ściślej mówiąc pryncypializm anglosaski, nie jest zasadą w polityce europejskiej nową. Ma za sobą dwadzieścia lat czynnej życiowej tradycji, a tradycje teoretyczne o wiele dawniejsze.

Jako element kształtujący rzeczywistość zyskała ta zasada możnych protektorów i szermierzy w anglosaskich, ściślej może w amerykańskich idealistach, którzy wysnuli ją jako najprostszą — a jak z rzeczami najprostszymi często się dzieje — wcale nie najsłuszniejszą konsekwencję zasady samostanowienia narodów o swym losie, zasady będącej jądrem deklaracji Wilsona i fundamentem nowego porządku, który miał zapanować na świecie.

Ostatnie lata wielkiej wojny i okres konferencji pokojowej w Paryżu w roku 1919 były latami, w których zasada etnograficzna stosowana była nagminnie jako remedium w wypadkach, gdy szlachetna zasada samostanowienia stwarzała praktyczne trudności, narzucające ówczasnym dysponentom losami Europy konieczność brania na siebie odpowiedzialności, co było dla nich zawsze kłopotliwe.

Zasada etnograficzna jako zmechanizowanie i zwężenie, a wskutek tego i zniekształcenie w wielu wypadkach zasady samostanowienia, dała się ciężko we znaki szczególnie Polsce w trudnym okresie walk o ustalenie jej granic.

Zasada samostanowienia bowiem wywodzi się ze stwierdzenia przyjętego w całej niemal nauce (Jellinek, List, Bonfils, Seydel i in.), że powstanie państwa jest faktem historycznym

i społecznym, jako wynik świadomego działania woli ludzkiej. Ale jak stwierdza m. in. i polski uczony (J. Makowski) *oprócz kardynalnego warunku, by nowe państwo powstało samorzutnie, jako twór woli swych obywateli i posiadało zupełną niezależność, jest jeszcze cały szereg innych warunków natury gospodarczej i politycznej, które wszystkie nie są wprawdzie niezbędne do powstania państwa, ale niektóre przynajmniej są konieczne w interesie jego egzystencji i rozwoju.*

Otóż doktrynerstwo idealistyczne, którym szermowano tak hojnie a niezawsze szczerze w Wersalu, nie przyjmowało tych innych warunków, przynajmniej tych niektórych niezbędnych do egzystencji i rozwoju państw nowopowstałych i naiwnie ignorując siły historyczne i tradycje, dążyło do szablonowych, a mających pozory słuszności, rozstrzygań, uchylając się od trudnego wprawdzie, ale owocnego i trwałego wcielania w życie zasady samostanowienia na rzecz mechanicznych rozstrzygnięć etnograficznych.

Zasada etnograficzna zamiast pełnej zasady samostanowienia przepołowiła nam Śląsk, ścisnęła obrożą Gdańska ujście Wisły, omal nie wydała nas na łup bolszewizmu linią Curzona. Z goryczą o owej linii mówił Józef Piłsudski dekorując orderem Virtuti Militari sztandary dywizji Żeligowskiego w dniu 19 kwietnia 1922 roku: *spotykałem dywizję w postojach. Wszystkie jej pytania, wszystkie podnoszone przez nią kwestie wynikały zawsze z jej dzikiego pożądania dojścia do domu, do ziemi w której i ja mam swój dom, do ziemi, którą oddzielono liniami chrzczonymi imieniem tego czy innego męża stanu.*

Piłsudski wyznając i szanując zasadę samostanowienia daleki był od zwężania jej do zasady etnograficznej i w swoich koncepcjach federacyjnych walczyć musiał z ugrupowaniami, które na gruncie polskim zasadę etnograficzną reprezentowały.

Zasada etnograficzna, której chwytano się w Wersalu, jako zbawczego remedium, wprowadziła w stosunki polityczne Europy falę plebiscytów i jak to zauważył bystry obserwator konferencji pokojowej (E. J. Dillon) prowadziła do „bałkanizacji Europy". Odkrywszy mapę etnograficzną, nie chciano już posługiwać się mapą fizyczną, jakby grupy ludności nie zamieszkiwały pewnych określonych terytoriów, ograniczonych rzekami, osłoniętych górami, tworzących pewne zamknięte całości. Zapewne, w perspektywach oczekiwanej siły i autorytetu projektowanej wówczas dopiero Ligi Narodów, wydawało

się rzeczą nieistotną kto z kim graniczy; wydawało się rzeczą sprawiedliwą prowadzenie granicy między dwoma państwami środkiem miasta, środkiem wiejskiej zagrody, przez plac fabryczny lub teren kopalni; w imię zasady etnograficznej wydawało się sprawiedliwe zakorkowanie Polsce ujścia Wisły.

A ponieważ mimo wszystko i plebiscyty dać nie mogły idealnych schematycznie rozgraniczeń, wprowadzono dodatkową podzasadę wymiany ludności.

Tę garść faktów z historii doktrynerskiej i bezdusznej zasady etnograficznej, traktowanej jako jedyna podstawa unormowania stosunków politycznych, warto przypomnieć w chwili, gdy taranem tej zasady — dziecka Wersalu rozbito dziś wersalską budowę Europy i gdy zasady tej używa się nadal jako argumentu przeciw naturalnemu dążeniu Rzeczypospolitej i Węgier do osiągnięcia wspólnej granicy.

Q.

Grosse Sprachenkarte von Mitteleuropa

Nakładem berlińskiej firmy wydawniczej Dietrich Reimer (Andrews & Steiner) ukazała się „Wielka mapa językowa Europy Środkowej" w opracowaniu Dr Fryderyka Langego. Należy bacznie przyjrzeć się jej charakterystycznym kształtom [1]. Granice Niemiec wypełnione są jednostajną plamą języka niemieckiego, przelewającą się poza nie na zachodzie, południu i wschodzie równie zwartymi powierzchniami sfer niemieckich. Podczas gdy w granicach Polski znajdują się (na odbitce fotograficznej czarne i brudno-białe linie) regiony „Kaszubów" i „Ślązaków", to po drugiej stronie granicy Śląska i Pomorza nie ma już miejsca na równie subtelne różniczkowanie językowe. Staranność swą autor posuwa tak daleko, że na północy Włoch znajduje grupy językowe retyckie, ladyńskie, furlańskie albo friaulskie i nie znalazł w Niemczech grupy łużyckoserbskiej. Polska grupa językowa na mapie skurczyła się do ścisłego dorzecza górnej i środkowej Wisły, gęsto przetkanego wyspami niemieckimi. Zasięg języka ukraińskiego, uwidoczniony na odbitce kolorem popielatym, graniczy z powiatem warszawskim, lubelskim i obejmuje Nowy Sącz. Województwo wołyńskie jest ukraińsko-niemieckie.

Na południu — Jugosławia jest właściwie niemiecka, podobnie przedstawia się rumuński Siedmiogród.

Nie chcemy wyciągać wniosków sięgających w politykę państwową naszego zachodniego sąsiada, gotowi nawet jesteśmy zrozumieć, że zachodzi tu często zdarzające się mapom statystycznym przejaskrawienie techniczne, Niemniej jednak musimy pamiętać, że na

[1]) Reprodukujemy ją częściowo w „Przekroju" na stronicach ilustracyjnych.

takich mapach kształci się ogół niemiecki, a co najważniejsze — musimy zauważyć, że obraz zasięgu języka niemieckiego na przedstawionej mapie pokrywa się z granicami nowej Czechosłowacji.

„Marchołt" o polskiej polityce zagranicznej

Kwartalnik „Marchołt" zmieniwszy się obecnie w dwumiesięcznik wyszedł w zeszycie datowanym: „wrzesień-październik". Numer ten wypełniają artykuły: J. Szokalskiego *„Życie Eugeniusza Małaczewskiego"*, A. Rogalskiego: *„Teoria poetycka ks. Henryka Bremond"*, J. Brzozy: *„Co to jest autentyzm?"* i wiersz Lafontaine'a *„Garnek gliniany i garnek żelazny"* w tłum. S. Komara, zaś otwiera go artykuł Karola Stefana Frycza pt. *„Narodowa idea zagranicznej polityki"*, w którym autor rozpoczyna od przeprowadzenia rozróżnienia dwuch pojęć: polityki i dyplomacji. *Polityka jest... pojęciem o wiele szerszym, a raczej nadrzędnym w stosunku do dyplomacji. Oznacza ona te normy i zasady, jakimi w naszych stosunkach z innymi narodami się kierujemy... jest więc to jakby jakaś teoria owych stosunków. Dyplomacja tymczasem, to sposób przeprowadzenia tych zasad, ich realizacja praktyczna.* Rozróżnienie to autor czyni dla łatwiejszej polemiki z Makiawelem, a właściwie z jego zasadą *niezależności polityki od etyki. Zasada ta ma zastosowanie tylko do dyplomacji, natomiast w polityce — wielkie koncepcje, które dyplomacja ma realizować... muszą być w swojej zasadzie etyczne.*

Powołując się na przykłady Francji Franciszka I i Ludwika XIV stwierdza: *droga do wielkości jest zawsze jedna i ta sama — a mianowicie myśl o czymś większym niż ja, o czymś czemu moje ja ma służyć.*

Wielka Polska musi być przede wszystkim kategorią duchową — pisze autor — *będzie wielką i potężną naprawdę tylko wtedy, gdy swój cel będzie widziała poza sobą... zawsze bez wyjątku historia wykaże nam, że wielkim był tylko naród mający jakąś ideę, a mocarstwem państwo wcielające ideę swego narodu w życie.*

Przesłanki te i tezy potrzebne są autorowi na to aby stwierdzić, że *troska o wielkość i mocarstwowość Polski jest troską o naprawdę wielką ideę w jej polityce, o to co nazywamy poczuciem misji historycznej.* To poczucie ma nie tylko pozwolić na budowanie mocarstwa, ale jakby automatycznie rozwikłać trudności wewnętrzne.

Zapytując o naszą „misję historyczną" autor ma odpowiedź gotową: *misja historyczna jest jedna i wszyscy ją narodowym instynktem odczuwamy.*

Zwracając się do historii Polski p. Frycz pisze, że dopiero epoka jagiellońska jest *pierwszą w naszych dziejach epoką mocarstwowej polityki.* Nie w federalizmie jednak widzi autor znamiona wielkości tej polityki, lecz w tym że wytworzyła ona *jednolite i narodowe państwo polskie... Katolickie państwo narodu polskiego... przeprowadzać ma w tym kącie Europy swoją własną myśl, gromadząc koło siebie tych wszystkich, dla których ona jest bliższa niż koncepcje niemieckie, czy rosyjskie.*

A nasza własna myśl, to *zbudowanie tu, między Rosją a Niemcami silnej katolickiej wyspy i poszerzanie w ten sposób zarówno Zachodu i Europy jak Królestwa Bożego.*

Mamy więc wielki plan polityczny i myśl, która ożywi naszą politykę zagraniczną, która ją właściwie stworzy. Trudno bowiem dzisiaj mówić o naszej polityce zagranicznej, jako o czymś, co istotnie wyraża sens istnienia Polski na świecie i w ogólnej harmonii ludzkości zaznacza ton odrębny — tego dziś stanowczo nie ma... To co dziś niesłusznie nazywa się naszą polityką zagraniczną — to tylko marna gierka dyplomatyczna.

W dalszym ciągu autor rozpatruje kilka popularnych haseł naszej polityki zagranicznej jak: „stosunek do Niemiec taki sam jak Niemiec do nas, obrona traktatów itd. stwierdzając, że *wszystkie te i im podobne zasady, będące niczym innym jak czepianiem się kogoś, czy czegoś, gwoli słodkiemu nieróbstwu czy bezmyślności — sprawiają, że nasze zagraniczne poczynania są prawdziwą ciuciubabką z zawiązanymi oczyma.*

Powtarzając zasady własnej koncepcji polityki zagranicznej, autor stwierdza — że *z nieładem wewnętrznym i bez świadomości swojej istoty narodowej żadnej wielkiej polityki prowadzić nie można*, a stwierdzeniem tym jak gdyby wyjaśniał, że zarzuty braku wielkiej idei w polityce zagranicznej nie obciążają jedynie naszego resortu zagranicznego, lecz cały naród. W konkluzji p. Frycz zaleca: *trzymać się więc powinna Polska swojego typu cywilizacyjnego i ten typ dalej krystalizować i rozwijać. Podjąć dawną nić swojej polityki i wyjść z okresu pewnego bezruchu, w jakim się narazie znajduje. Nie upajać się samymi tylko dźwiękami słów o mocarstwie i wielkości, ale zacząć tę wielkość i mocarstwowość budować u siebie a dla siebie i świata. Trzeba zacząć poprostu żyć wielkością, a nie jedynie o niej rozprawiać.* Cały ten artykuł sprawiający wrażenie histerycznego ataku na naszą politykę zagraniczną zrozumiećby można tylko jako anachronizm. Czy artykuł ten nie przeleżał kilku miesięcy w tece redakcyjnej? Czy redaktor czytał go przed oddaniem do druku, czy nie wie o inkorporacji Śląska Zaolziańskiego i zainaugurowaniu rozgrywki o wspólną granicę polsko-węgierską, co w istocie jest nawiązaniem do wielkiej polityki typu jagiellońskiego? Inaczej trudnoby zrozumieć cel i znaczenie podobnego wystąpienia, w którym od biedy można dopatrzyć się dwuch stwierdzeń słusznych: a więc po pierwsze rozróżnienia pomiędzy polityką a dyplomacją, po raz pierwszy bodaj tak jaskrawo uwydatnionego, a po drugie podkreślenia, że polityka zagraniczna uzależniona jest wybitnie od stanu spraw wewnętrznych.

Ostry atak na „Marchołta" z powodu artykułu Frycza ukazał się w lwowskim „Dzienniku Polskim", a powtórzony został w „Gazecie Polskiej".

W artykule tym czytamy: *K. S. Frycz drugorzędny publicysta endecki zaatakował w „Marchołcie" polską politykę zagraniczną w sposób nieodpowiedzialny i niedorzeczny.* Wyliczywszy wszystkie jaskrawe sprzeczności twierdzeń artykułu z aktualnym stanem rzeczy autor wzmianki kończy — *I to pisze zacietrzewiony, tępy partyjnik w czasopiśmie wydawanym za pieniądze Funduszu Kultury Narodowej im. J. Piłsudskiego! Jest to bezprzykładny objaw anarchii, rozpanoszonej w naszym życiu kulturalnym.*

Artykułu Frycza broni „Prosto z Mostu" (Nr. 213) pisząc: *Frycz ma swoje zastrzeżenia co do s p o s o b u prowadzenia polskiej polityki zagranicznej. Dla nas, nowoczesnych narodowców, jest to polityka wprawdzie całkowicie słuszna i mechanicznie (od wypadku do wypadku) prowadzona zręcznie — ale brak jej podbudowy ideo-*

wej, brak jej świadomości, że rolą Polski na świecie jest nie tylko budowanie własnej siły — ale że Polska ma na świecie do spełnienia wielką misję dziejową, wypływającą z naszego katolickiego poglądu na świat. Obrona ta z iście niedźwiedzią zręcznością przekreśla wszystkie przypuszczenia nasze na temat braku złej woli u autora „Marchołtowego" ataku na polską politykę zagraniczną. Pikantnym szczegółem sprawy jest fakt, że Frycz, którego przyjaciele z „Prosto z Mostu" reklamują jako „publicystę zasłużonego sprawie idei granicy polsko-węgierskiej" dla swego brutalnego ataku wybrał okres, w którym akcja polskiego ministra spraw zagranicznych, dążąca zdecydowanie do osiągnięcia wspólnej granicy z Węgrami stała się co najmniej niewygodna dla... Niemiec hitlerowskich.

ZAGADNIENIE PROPAGANDY

Najnowsze wydarzenia ostatnich dwóch miesięcy wybitnie zaktualizowały bardzo stare zagadnienie, jakim jest propaganda, czyniąc je oczywistym nawet dla laików, mimo iż się miało do czynienia z najidealniejszą formą propagandy: „pośredniej”, ukrytej.

Odezwała się również publicystyka, przeważnie patrząca przez palce na naszą propagandę, a raczej na jej brak. Czas już zresztą najwyższy nie na skromne, wstydliwe artykuły (przez dwa miesiące ukazało się ich nie więcej, niż — 10 na z górą 2500 czasopism w Polsce), lecz na wielki krzyk.

Owszem, krzyk taki podnosi się „raz do roku około Wielkiejnocy”, wobec jaskrawych wypadków nie wykorzystania za granicą czy nawet w kraju pewnych atutów, jakie znalazły się w ręku państwa bądź instytucyj. Krzyk podnosi się, również całkiem słusznie, gdy się tę propagandę wykonywa bardzo... nieudolnie. Ale jeden i drugi krzyk mają tyle wspólnego ze sobą, że echo ich trwa bardzo krótko.

Czasami pisze się, że wyrzucono u nas tyle a tyle pieniędzy na bezcelową, złą propagandę. Nie wiemy, w ogóle wiele u nas wyrzuca się czy poświęca pieniędzy na propagandę. Wiadome nam są natomiast dwie inne rzeczy: że z pieniędzmi czy bez pieniędzy stoimy z propagandą w powijakach i że niektóre przynajmniej kraje w propagandzie, w jej nasileniu, intensywności, konsekwencji, planowości doszły niemal do perfekcji.

Jasne jest, że w tych wypadkach nie żałuje się pieniędzy, jeśli idą one na pożyteczną propagandę. Wydawanie pieniędzy na to jest również bardzo stare. Niewiarogodne wydają się

fundusze, jakimi operowało np. Kolegium Propagandy dla rozszerzenia wiary. Wydaną przez nie sumę w wieku XVIII oceniano ogółem na... 4 miliardy dolarów. Równe zaś 10 lat temu w Ameryce partie: republikańska i demokratyczna wydały na kampanię wyboru prezydenta 16.500.000 dolarów. Nie chodzi zresztą o samą nieraz ogromną ilość funduszów, ale o fakt, że propaganda potrzebuje pieniędzy i że na to ich się nie żałuje.

Dla oświetlenia naszej aktualnej sytuacji rozpatrzmy konkretne 3 wydarzenia, różne co do rozmiarów i wywołanego napięcia mas, jednak które zainteresowały miliony ludzi zarówno w Polsce, jak i za granicą.

Mamy na myśli: 1) wydarzenia czechosłowackie, a ściślej sprawę Zaolzia, 2) lot do stratosfery, 3) koncert Paderewskiego.

Na wstępie trzeba stwierdzić, że we wszystkich trzech wypadkach mieliśmy do czynienia z propagandą o charakterze wybitnie międzynarodowym. Bohaterem w tych przykładach była bezpośrednio Polska i udana czy nieudana propaganda została zapisana na jej konto.

Podane wypadki wymagały różnego stopnia propagandy. Jeśli chodzi o teren krajowy i zagraniczny najsilniejszej propagandy potrzebowały niewątpliwie wypadki zaolziańskie, mniejszej „Gwiazda Polski", nie potrzebował jej prawie wcale koncert Paderewskiego.

Praktyka jednak, niestety, nie odpowiadała tym potrzebom. W sprawie powrotu Zaolzia do Macierzy pobiliśmy rzeczywiście rekord, jeśli chodzi o teren wewnętrzny, za granicą byliśmy natomiast świadkami szeregu insynuacyj i ataków. W walce zatem dwuch propagand nasza albo była za słaba albo wyruszyła zbyt późno w teren. Rezultatem: nasza przegrana w pierwszej i bodaj najważniejszej fazie historycznych wydarzeń.

Oddajmy zresztą głos w ręce bardzo miarodajne, w ręce polskie z tego terenu, na którym, w przełomowych dla nas wypadkach, działała wroga sprawie Wielkiej Polski propaganda. W organie polskiego wychodztwa we Francji „N a r o d o w c u" w numerze z 8 października poświęcono artykuł wstępny analizie przyczyn wrogiego nastawienia jednostek czy prasy we Francji wobec postulatów Polski w sprawie Śląska Zaolzańskiego.

Czytamy tu: *ani społeczeństwo francuskie, ani naród angielski, ani Amerykanie — nie byli w najmniejszej mierze poinformowani o istocie sporu między Polską a Czechosłowacją.*

Od trzech lat trwały napięte stosunki między Warszawą a Pragą. Od kilku miesięcy sprawa czeska zajmowała opinię całego świata. I w tym, tak niesłychanie ważnym, niemal dramatycznym okresie, nasze czynniki informacyjne, czy nasza propaganda nie uznały za stosowne postarać się chociażby o jeden skromny artykuł w poczytniejszym piśmie na temat źródła nieporozumień między dwoma krajami na temat Śląska. Z chwilą, kiedy ta sprawa „wybuchła" — opinia zachodnia została zaskoczona wydarzeniami i zdezorientowana, a raczej zorientowana w całkowicie mylnym kierunku".

Niesłychanie ostre w tonie i treści ataki prasy francuskiej, skierowane przeciw Polsce, były niewątpliwie inspirowane przez wrogą nam propagandę. Propaganda ta wydała zgniłe owoce. Nastrój Francuzów do nas stał się nieprzychylny — jak pisał „Narodowiec" — *wrogi, wobec emigrantów polskich we Francji i w Belgii w dniach kryzysu międzynarodowego.*

Do kontrataku przystąpiła prasa polska. Wolno nam jednak jak najbardziej sceptycznie odnieść się do osiągniętych tą drogą problematycznych sukcesów. Kontratak mógł bowiem dać pełne zadowolenie Polakom, Francuzi jednak niestety nie czytują polskiej prasy. Wreszcie mocno „post factum" zaczęły się ukazywać w prasie francuskiej „rozumniejsze" odgłosy. Przyjmijmy nawet, że na to wpłynęła obudzona z letargu nasza propaganda, nie mniej w całej tej sprawie pozostał przykry osad. Wytworzyło się stanowisko wzajemnej niechęci, urazy i nieufności. Ba, w Warszawie, po raz pierwszy chyba, wzmocniono posterunki policyjnej dla ochrony ambasady francuskiej. Na wszystkich frontach dał się odczuć natychmiastowy ziąb. Spytajmy zaś szczerze: komu i na co było to wszystko potrzebne? Jak trudno będzie teraz dojść znów do równowagi i cieplejszej atmosfery. Oto jaskrawy wynik braku zorganizowanej, przemyślanej propagandy. Nie trzeba zaś było na to sum większych niż wydano. Należało tylko wystąpić wcześniej, ubiec przeciwnika, postarać się *choćby o jeden skromny artykuł w poczytniejszym piśmie* — jak pisał „Narodowiec".

Inaczej sprawa zaolziańska wyglądała w Polsce. Niewątpliwie zaangażowane w nią były serca i duma Polaków. Jesteśmy narodem, którego stać na najwspanialsze porywy męstwa, odwagi i entuzjazmu, ale który nieraz trzeba poruszyć.

W tych przełomowych chwilach konieczne było wytworzenie zgodnej opinii wszystkich Polaków. Propaganda znalazła tu nader wdzięczne pole do popisu wszędzie: w manifestacjach, wiecach, radiu, a przede wszystkim w prasie. Na jej łamach

można dogodnie zaobserwować rozwój propagandy od chwili wkroczenia wojsk polskich na teren ziem zaolziańskich.

W dniach 1 — 18 września dzienniki pełne są sprawozdań z terenu Czechosłowacji, obejmujących jednak tylko kwestię sudecką. 18, 19 i 20 września pojawiają się pierwsze artykuły na temat kwestii zaolziańskiej. Treść tych pierwszych artykułów jest już ostra, jakkolwiek jeszcze nie kategoryczna. A więc tytuły takie, jak: „*Polacy za Olzą muszą dostać prawo samostanowienia*", „*Śląsk Zaolziański musi wrócić do Macierzy*" itp. 22 września tytuły artykułów brzmią już: „*Polska zażąda ultymatywnie zwrócenia zagrabionych ziem*", „*Polska ostrzega*", „*Śląsk Cieszyński jest polski*" itp. Równocześnie wzrasta ilość szpalt w poszczególnych dziennikach, które w poczuciu doniosłych chwil tej sprawie poświęcają główną uwagę, tworząc opinię zgodną, robiąc innymi słowy propagandę w słusznej sprawie wśród 34 milionów ludności. Na efekt nie trzeba długo czekać. Entuzjazm ogarnia wszystkich Polaków. Dochodzi do szeregu manifestacyj, 25 września prasa donosi o formowaniu szeregów Legionu Zaolzańskiego. W prasie poświęca się dziennie od 2 — 4 kolumn wyłącznie sprawie Zaolzia. Stanowi to od 30 — 50% całego tekstu ostatnich wiadomości i artykułów publicystycznych. Kulminacyjnym punktem jest 2 października: zwycięstwo polskiej sprawy i przyjęcie naszego ultimatum.

Wręcz odmienny bodaj rezultat propagandy uzyskaliśmy przy locie stratosferycznym. W tym wypadku działała intensywna propaganda na terenie krajowym, echa jej raz po raz odbijały się o uszy całego świata. I właśnie na terenie zagranicznym propaganda lotu miała ogromne znaczenie. Na temat ten ukazały się dwa artykuły: w „Gazecie Polskiej" (4/X—pt. *Propaganda balonowa,* Tadeusz Lutosławski i w „Kurierze Warszawskim" (19/X — Suadus). Oba artykuły zgodnie podkreślają rolę lotu stratosferycznego, jako czynnika propagandy mocarstwowej Polski. P. Lutosławski pisze: „*Wiele już pisano o stronie naukowej i sportowej polskiego lotu do stratosfery, a przecież posiada on jedną jeszcze stronę, którą dotychczas dyskretnie pomijano milczeniem... fale opinii światowej mogłyby być mierzone przez laboratorium propagandy, dając niezmiernie wartościowe wskazówki na przyszłość. Nie stanie się to jednak, bowiem nie mamy laboratoriów propagandy. Brak nam zwykłych warsztatów. Różne są sposoby, którymi można mierzyć skuteczność wydatku propagandowego. Pewnym wskaźnikiem jest reakcja prasy światowej, która za-*

zwyczaj doskonale wyczuwa względną wartość propagandową wydarzeń i daje nam dość dokładne o niej pojęcie stopniem swego zainteresowania".

Otóż stwierdzić trzeba, że stopień zainteresowania w prasie światowej był wcale znaczny, prasa zaś, wspominając o locie, pisała, że lot organizują Polacy, celem pobicia rekordu światowego, że pilotują Polacy, że materiał jest polski itp. O tym czytały miliony ludzi, rozrzucone po wszystkich częściach świata, mające nieraz większe zainteresowanie dla sprawy lotu, niż dla najbardziej nawet istotnych dla Polski zagadnień politycznych.

„Kurier Warszawski" zaś pisze: *Dla propagandowego znaczenia mocarstwowej Polski ma to (lot, a przede wszystkim jego zdobycze naukowe) niewątpliwie co najmniej tak samo duże znaczenie, jak triumfy na Olimpiadzie, i ten argument winien przekonać wszystkich tych, dla których sama przez się możliwość ważnych zdobyczy naukowych nie jest argumentem wystarczającym.*

Usilna propaganda lotu w Polsce osiągnęła również swój cel, jakkolwiek definitywne stadium przygotowań do lotu przypadło w okresie, kiedy zainteresowania wszystkich szły w innym, ważniejszym w danej chwili kierunku. „Brak nam jednak zwykłych warsztatów propagandowych", poprzez które wyciągnąć możnaby odpowiednie wnioski na przyszłość na podstawie zebranego materiału, obserwacji reakcji opinii za granicą (bo o krajową zawsze jest łatwiej). Jedno można w każdym razie stwierdzić: z punktu widzenia propagandy zagranicą sumy, włożone w budowę stratostatu, zwróciły się nam w postaci rekompensaty moralnej, że o Polsce napisano w tym czy innym kraju znowu 20, 50 lub 100 wierszy. Jeśli chodzi o Polskę to, pomimo niemniej usilnej propagandy, opinia w ocenie swojej była wyraźnie podzielona [1]).

Trzeci wreszcie z wypadków wzięty w naszych rozważaniach tym się odznaczał, że nie wymagał planu i wysiłku propagandowego. Wystarczyło bowiem podanie, że gra Paderewski, aby miliony słuchaczy na świecie same postarały się o wyszukanie stacji nadawczej, transmisji i wykonywanych utworów koncertu. Efekt propagandy pełnowartościowy, gdyż świat cały przypomniał sobie, że Paderewski jest Polakiem.

Przejdźmy z kolei do wydarzeń stale aktualnych. W nr. 9 „Przeglądu Lotniczego" ukazał się nadzwyczaj interesujący ar-

---

[1]) A nie brak nawet objawów wyraźnej kontropagandy. Do sprawy tej powrócimy w najbliższym czasie — przyp. red. „Przekroju".

tykuł Zdzisława Henneberga pt. *„Propaganda w służbie lotnictwa"*. Autor zastanawia się m. in. nad przyczyną nikłego napływu kandydatów do lotnictwa. Istotę tego znajduje autor w zupełnej dezorientacji społeczeństwa w zakresie lotnictwa, w przesadnym wyobrażeniu o niebezpieczeństwie i niepewności lotu. W konkluzji autor dochodzi do wniosku, że należy przystąpić do natychmiastowej reorganizacji i nasilenia propagandy lotnictwa. Skuteczność tej propagandy jest dotychczas nie wielka wskutek rozporządzania bardzo nikłymi środkami oraz braku metodycznego prowadzenia. Brak metody jest wynikiem nieuzgodnienia wysiłków. Cztery instytucje prowadzą propagandę lotnictwa: LOPP, Aeroklub, Departament Lotnictwa Cywilnego Min. Komunikacji i Lotnictwo Wojskowe. Wewnątrz tych organizacyj poszczególne ich składniki prowadzą propagandę na własną rękę. W konkluzji autor wysuwa koncepcję stworzenia nadrzędnej komórki propagandowej przy Dowództwie Lotnictwa, skąd dopiero wychodziłyby jednolite, planowe zlecenia do instytucyj lotniczych i nielotniczych, jak Min. WR i OP, Związek Prasy Polskiej, Polskie Radio, OZN, PUWF i PW itp. Jedynie planowość akcji propagandowej zapewni skuteczność, w konsekwencji czego napływ doborowego personelu zmniejszy ilość rozbitych maszyn, co na pewno z nawiązką pokryje koszta propagandy. Czystym zyskiem finansowym akcji będzie zwiększona ofiarność społeczeństwa na cele lotnicze. Autor przypomina, że skromna propaganda, prowadzona przez LOPP, dała tej instytucji w 1936 roku — 8 milionów zł., w 1937 zaś — 10 milionów zł.

W lutym 1939 roku odbędą się w Zakopanem narciarskie mistrzowstwa Europy. Będzie to wielki egzamin propagandowy Polski. Obawiamy się jednak, że propaganda ta, przede wszystkim jeśli chodzi o za granicę, będzie znowu nieskoordynowana i w konsekwencji nie da pełnego efektu. Nie bądźmy zresztą gołosłowni. Kto robi teraz propagandę tych mistrzowstw za granicą? Każdy stara się dopomóc. Reklamuje trochę Polski Związek Narciarski, będzie wisiało kilka afiszów po placówkach Orbisu czy dyplomatycznych, bierze się do propagandy nawet Izba Przemysłowo-Handlowa, projektując urządzenie specjalnego stoiska w Londynie, Min. Komunikacji przygotowuje zapewne bilety zniżkowe dla cudzoziemców. Słowem, ruch w interesie z tym, że każdy robi to na swoją rękę. Jaki będzie tego końcowy efekt — trudno dziś przewidzieć. Stwierdzić trzeba jedno: atut, jaki mamy w ręku, organizując mi-

strzowstwa, zdarza się dosyć rzadko, atut ten powinien być do ostatnich granic wykorzystany.

Powinien. Jeśli nie będzie, na kogo spadnie wina? Podniesie się wielki krzyk: nie było propagandy, zmarnowaliśmy okazję...

Swego czasu wypowiedział Briand te słowa: *Nie spuszczam oczu ze swych słuchaczy. Gdy widzę, że niektórzy z nich zaczynają ziewać, zmieniam natychmiast argumentację. I widzę po oczach ziewającego, że słucha mnie znowu. Znając gruntownie zagadnienie, mam zawsze w pogotowiu z tuzin argumentów. Skoro jeden z nich nie przekonywa lub też przekonywa nie wszystkich, to następny będzie niezawodnie dla niektórych bardziej przekonywujący. Chodzi przede wszystkim o to, żeby uwaga słuchaczów nie osłabła ani na chwilę, gdyż wtedy byłbym zgubiony.*

Słuchacze ci—to cały świat. I oto właśnie chodzi, aby patrząc czy słysząc o Polsce nie ziewali, aby uwaga ich ani na chwilę nie osłabła. Podtrzymać i wzmóc tę uwagę może dobra propaganda. No, ale raz wreszczie trzeba tę dobrą propagandę zacząć. Bardzo nam jej potrzeba i po za granicami i w kraju. W wielkich chwilach potrafi ona urobić nastrój społeczeństwa, prowadzący do zwycięstwa. Przekonaliśmy się o tym w czasie walki o powrót Zaolzia do Polski.

Marszałek Piłsudski stwierdzał, że *zwycięstwo w trzech czwartych zależy od siły i postawy moralnej wojska i społeczeństwa, a w jednej czwartej od przygotowania pod względem technicznym.* Tę siłę i postawę moralną wytworzy również propaganda.

Pomyślmy i weźmy się do niej na serio. Czas już najwyższy.

ANTONI PAWLIKIEWICZ

FONTANNY NA PLACU MARSZAŁKA

Plac Marszałka Piłsudskiego w Warszawie, który od lat wielu — od zburzenia wbitego tu, w sercu Warszawy, soboru prawosławnego, nie mógł doczekać się uporządkowania, stając się kompromitującym świadectwem nieudolności władz miejskich, nareszcie zostaje doprowadzony do przyzwoitego wyglądu. Plac Marszałka Piłsudskiego to było pierwsze bodaj zagadnienie urbanistyczne, jakie podjął obecny Zarząd Miejski. Ogłoszony w roku 1934 konkurs otwarty na uregulowanie placu Marszałka przyniósł plon obfity, który stanowić będzie cenny materiał przy ostatecznym rozwiązaniu tego zagadnienia. Nim to jednak nastąpi, władze miejskie zlikwidowały piasczystą pustynię, która zajmowała cały środek placu, dając obramowanie z chodników i żwirując plac. Obecnie uporządkowanie idzie dalej: plac został wyłożony płytami piaskowca, szkoda tylko, że przy tej sposobności nie zniwelowany.

Jednocześnie tak uporządkowany plac Marszałka otrzyma piękną ozdobę w postaci dwóch fontann, które niebawem zostaną tam ustawione [1]). Projekt tych fontann wyszedł z przeprowadzonego w roku bieżącym konkursu zamkniętego, do którego zaproszono czterech architektów. Autorem projektu, który uzyskał uznanie i wybór sądu konkursowego, jest architekt Jerzy Sosnkowski, inspektor artystyczny miasta od lat dziesięciu chyba, jeśli nie więcej, walczący swym piórem utalentowanego publicysty o więcej wody w stolicy. Dwie nowe fontanny w sposób znaczny zwiększą stan posiadania stolicy w dziedzinie wodotrysków, tak zaniedbanej dotychczas.

1) Fotografię projektu zamieszczamy na stronicach ilustracyjnych.

Warunki konkursowe pozostawiały autorom słusznie wiele swobody w rozwiązaniu tematu. Niepotrzebnie może narzucały wysokość sześciometrową fontann. Przy tak specjalnym zadaniu stawianie tego warunku nie było wskazane. To uwaga na przyszłość, bo w naszym wypadku na szczęście warunek ten nie miał skutków ujemnych.

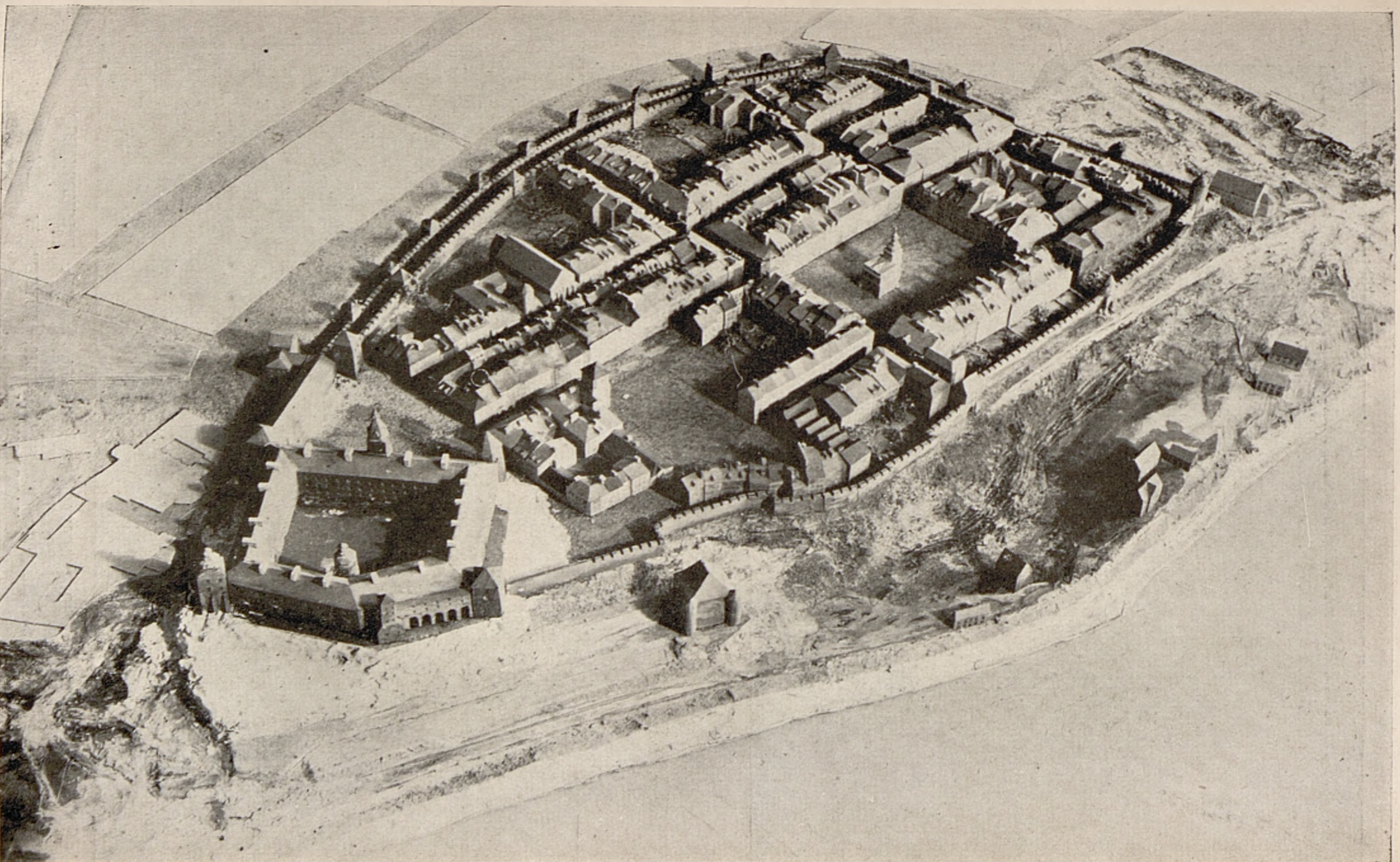
Wodotryski Sosnkowskiego są naprawdę piękne. Smukłe, o wykwintnych, spokojnych liniach zaprezentują jednocześnie prześliczne efekty wodne i świetlne. Materiał, z których będą wykonane, to piaskowce, bazalt, brąz i szkło. Będą elementami skupiającymi na sobie uwagę, odwracając ją tym samym od nieuporządkowanych niewyrównanych ścian placu, co będzie zresztą efektem zamierzonym.

Przecinające się płaszcze wodne oświetlone czerwienią, będą tworzyły linią przecięcia krąg różowej puszystej mgły wodnej. Nocą, gdy fontanny nie będą czynne, świecić będą szklane ich iglice, stwarzając prawdziwie feeryczny efekt.

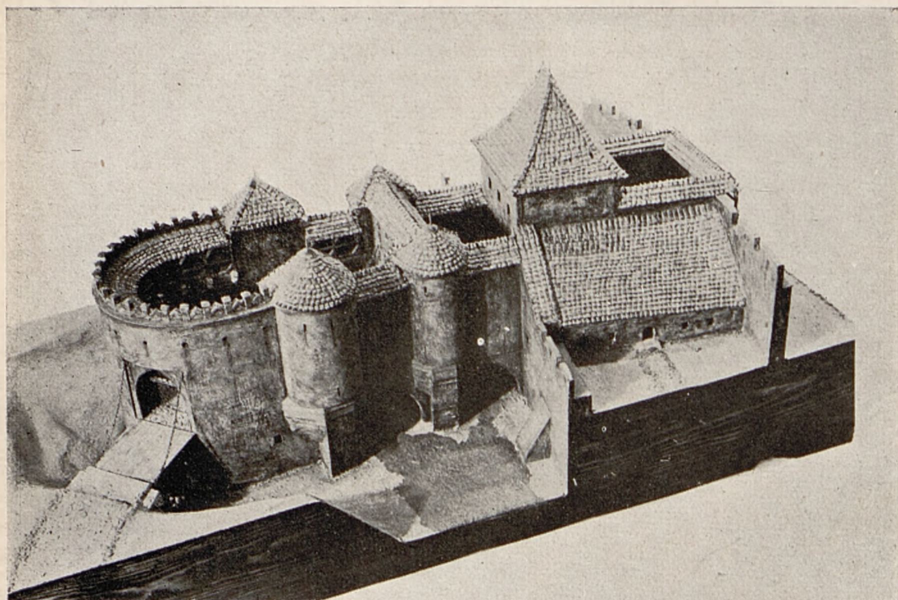
Oczywiście należy mieć pewność, że koncepcja tych pięknych wodotrysków nie ulegnie w wykonaniu żadnym odchyleniom. Jeśli chodzi o ten rodzaj architektury, o takie bibeloty architektoniczne, precyzja w wykonaniu projektu i pedantyczny pietyzm dla pozornie błahych nawet detali kompozycji — to są rzeczy wagi zasadniczej. Spodziewać się należy, że wykonanie będzie na wysokości projektu tych pierwszych w Warszawie nowoczesnych wodotrysków.

Gdyby w przyszłości okazało się, że ostateczne ukształtowanie placu Marszałka Piłsudskiego wymagać będzie innego rodzaju elementów dekoracyjnych, wodotryski Sosnkowskiego będą mogły być przeniesione w inne miejsce. Jako dzieło rzetelnego talentu i wysokiej kultury architektonicznej wszędzie będą one stanowiły wykwintny akcent dekoracyjny.

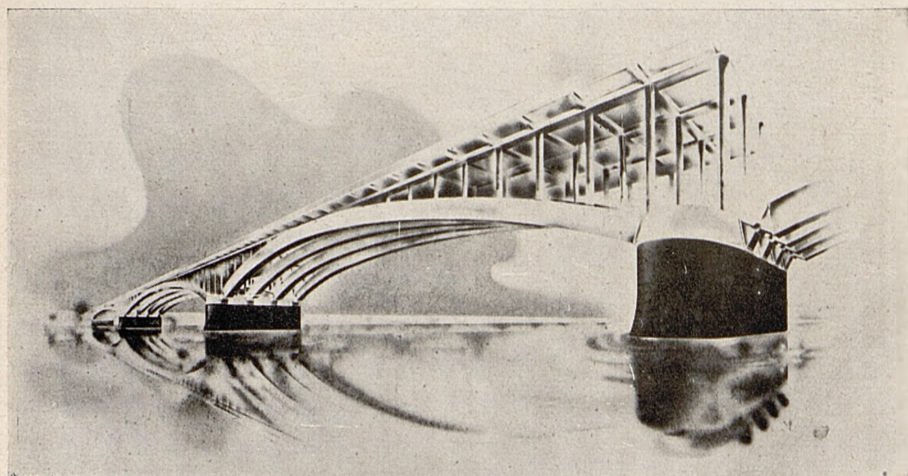
A. W.



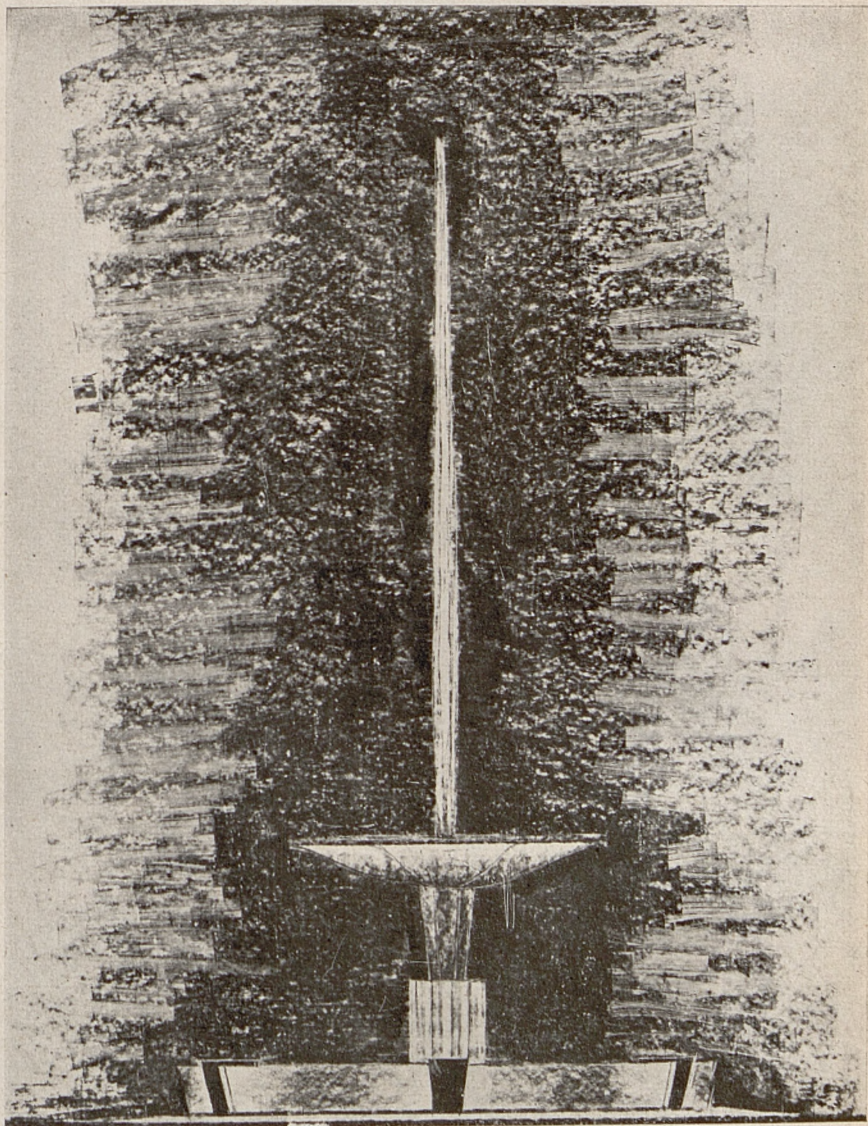
WARSZAWA W OBRĘBIE MURÓW OBRONNYCH W XVII. WIEKU
MODEL WYKONANY PRZEZ INŻ. ARCH. M. J. KUZMA. NA WYSTAWĘ „WARSZAWA WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO"
W MUZEUM NARODOWYM. (Do artykułu na str. 90)



BARBAKAN BRAMY NOWOMIEJSKIEJ W WYGLĄDZIE Z XIV WIEKU, WEDŁUG REKONSTRUKCJI DRA ARCH. JANA ZACHWATOWICZA. MODEL WYKONANY POD KIEROWNICTWEM INŻ. ARCH. M. J. KUZMY NA WYSTAWĘ „WARSZAWA WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO" W MUZEUM NARODOWYM.



PERSPEKTYWA PROJEKTOWANEGO MOSTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO U WYLOTU UL. KAROWEJ.
Z WYSTAWY „WARSZAWA WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO" W MUZEUM NARODOWYM.
(Oba rysunki do artykułu na str. 89).



RYSUNEK FONTANNY NA PLACU MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO WEDŁUG PROJEKTU ARCH. JERZEGO SOSNKOWSKIEGO.
(Do artykułu na str. 87)



FRAGMENT MAPY JĘZYKOWEJ EUROPY ŚRODKOWEJ, WYD. NIEMIECKIE Z 1938 R.
Kolor ciemny oznacza język niemiecki. Zwraca uwagę jego obfitość na Pomorzu, w Poznańskim, woj. łódzkim i wołyńskim, a także w Siedmiogrodzie i Jugosławii. Charakterystyczne jest również że „języki" kaszubski i śląski (ukośne kreski ciemno i jasno- szare) widnieją w Polsce, ale nie ma ich śladu w Niemczech. Kolor jasny, oznaczający język polski nie sięga nawet do Bugu.
(Do artykułu na str. 76).

KSIĄŻKI O WARSZAWIE

Rozwój Stolicy

Rok 1938 można śmiało i bez przesady nazwać dobrym rokiem Warszawy. Jest to rok, który kończy czteroletni okres rządów tymczasowego Zarządu Miejskiego w stolicy i kończy efektownie, szeregiem inwestycji pierwszorzędnego dla miasta znaczenia. Przebicie ulicy Bonifraterskiej, dające miastu przejrzyste i skrócone połączenie z Żoliborzem, obok drugiego malowniczego połączenia trasą bulwaru, przeprowadzenie w terenie niektórych odcinków Alei na Skarpie, będącej dotychczas dla przeciętnego mieszkańca stolicy nęcącą legendą zaklętą w fantazji urbanistycznych przepisów, ukazanie w należytej formie Alei Niepodległości, możliwości, kierunku i znaczenia wielkiej arterii komunikacyjnej NS (północ — południe), prace przy powstającej dzielnicy Wielkiego Marszałka, połączone z beznadziejną, zdawało się, eksmisją korkującego tę dzielnicę pola Wyścigów Konnych i z przywróceniem dawnego kanału Piaseczyńskiego od podnóża pałacu Ujazdowskiego do Wisły, przywróceniem do dawnej świetności prześlicznego zabytku architektury stanisławowskiej — pałacu Blanka, odrestaurowanie, świecącej goliznami odpadłego tynku fasady Ratusza, wreszcie ukończenie gmachu Muzeum Narodowego, który przez tyle lat raził surową cegłą murów i ciszą znamionującą beznadziejny marazm, odbudowa Arsenału na Archiwum Miejskie, oraz odsłonięcie pierwszego fragmentu dawnych murów obronnych od samej bramy Pobocznej (ulica Wąski Dunaj) do bramy Nowomiejskiej — to długie, aczkolwiek jeszcze niezupełne wyliczenie całkowicie usprawiedliwia przymiotnik „dobry", którym w stosunku do spraw Warszawy można ochrzcić będący u schyłku rok 1938.

A przecież poza tymi najjaskrawiej widocznymi efektami wyliczyć należało i nowe gmachy szkolne, i doniosłe znaczenie przejęcia przez miasto elektrowni, i wchodzącą w stadium realizacji budowę nowej elektrowni i nowej rzeźni, i rozbudowę sieci tramwajowej i nowe linie autobusowe i mnóstwo innych zdobyczy, które rok ten przyniósł Warszawie.

Niektóre pisma, notując nowe inwestycje, sugerują, że ich przyczyn należy się doszukiwać w tegorocznych wyborach do Rady Miejskiej. Podkreślają, że te wszystkie poczynania noszą charakter wybitnie przedwyborczy.

Nie wydaje nam się, żeby takie zbyt uproszczone wytłumaczenie mogło mieć wiele cech słuszności. Przecież te wszystkie poczynania nie mogą wyskakiwać nagle jak Minerwa z głowy Zeusa. Są przecież wynikiem pewnego z góry zakreślonego programu, wymagającego i studiów i mozolnych prac przygotowawczych. Trudno je więc zaliczyć do kategorii owych cudownych zjawisk o nadprzyrodzonym niemal charakterze, które rozbłyskują niekiedy kuszącym blaskiem nad urną wyborczą.

A jeśli termin wyborów w pewnym stopniu wpływa na tempo prac, na ruchliwość i pomysłowość w wyszukiwaniu potrzebnych kredytów, wreszcie na rodzaj inwestycji — to oczywiście w niczym nie umniejsza wartości tych poczynań. Dla każdorazowych władz miejskich w systemie samorządowym wybory są pewnego rodzaju zdaniem rachunku z okresu gospodarki. Istotne jest to, że tymczasowy Zarząd Miejski do tego sprawozdania, do zdania rachunku przygotowywał się od chwili objęcia gospodarki miejskiej i właśnie, dzięki temu, mógł w ostatnim roku swego czterolecia zaimponować takim nagromadzeniem efektów.

Oczywiście niewiadomo, czy wyniki gospodarcze czteroletnich rządów tymczasowych, potrafią przełamać polityczny charakter wyborów samorządowych, czy wyborcy warszawscy, aprobując działalność władz tymczasowych, zaaprobują również i ludzi z ich takim, a nie innym obliczem politycznym. Bo wyniki gospodarki stołecznej aprobatę Warszawy uzyskały. I można rzec śmiało, że stolica nie miała dotychczas magistratu, który egzamin swych rządów zdał z tak dobrym wynikiem, jak obecny.

O aprobatę dla swych poczynań i prac dokonanych ze strony mieszkańców stolicy tymczasowy Zarząd Miejski, a zwłaszcza Prezydent miasta zabiega w sposób gorliwy i, przyznać trzeba, umiejętny. Niedostatek normalnego czynnika obywa-

telskiego w samorządzie, wynikający właśnie z tymczasowego charakteru rządów w stolicy, usiłuje zastąpić kontaktami osobistymi bezpośrednimi, bądź pośrednimi z mieszkańcami stolicy, oraz szeroką akcją propagandową, wyjaśniającą zakres potrzeb Warszawy, i uzasadniającą politykę gospodarki miejskiej, zmierzającą do zaspokojenia tych potrzeb. Prezydent miasta biorąc na swe barki główny ciężar tej akcji, nie ogranicza się do obszernych exposów wygłaszanych przed forum tymczasowej rady miejskiej, złożonej z nominatów, ale rozszerza grono swych słuchaczów, wygłaszając programowe przemówienia przy każdej okazji, oraz obszerne i gruntownie opracowane odczyty na terenie różnych stowarzyszeń.

Ostatnio wyszedł z druku w postaci stustronicowej książki odczyt prezydenta Starzyńskiego, wygłoszony 10 czerwca b. r. w sali Kolumnowej Ratusza na zaproszenie Zarządu Okręgu Stołecznego Związku Rezerwistów, pt. „Rozwój stolicy".

Książka ta stanowi właściwie obszerne exposé programowe prezydenta Warszawy, ujmujące zarówno jego pogląd na gospodarkę miejską, sprawozdanie z czteroletniej działalności, jak i program na przyszłość.

Po krótkim przedstawieniu historii Warszawy z uwydatnieniem dynamicznych momentów jej rozwoju, podkreśleniem jej przodowniczej roli w walkach o Niepodległość i ocenie roli Warszawy przez Józefa Piłsudskiego w przemówieniu wygłoszonym w roku 1920 na obiedzie wydanym dla wojska przez Magistrat Stolicy w Ogrodzie Saskim, przechodzi prezydent Starzyński do omówienia potrzeb Warszawy. Warszawa, obejmująca w roku 1914 obszar 3.5 tysiąca hektarów, w roku 1916 za prezydenta Zdzisława Lubomirskiego przyłączyła do swego terytorium około 9 tysięcy ha przedmieść, co stanowi zasługę wówczas pierwszego Burmistrza, a po tym znakomitego gospodarza miasta prezydenta Piotra Drzewieckiego. Te przyłączone przedmieścia pozbawione były w ogóle inwestycji miejskich, to też — stwierdza p. Starzyński — mimo dwudziestoletniego wysiłku w dziedzinie nawet najprymitywniejszych inwestycji posiadamy bardzo dotkliwe braki.

Na to, żeby dzisiejszą Warszawę według jej obecnych potrzeb objąć tymi niezbędnymi inwestycjami, do których należy: zabrukowanie wszystkich ulic, rozszerzenie sieci i urządzeń wodociągowo-kanalizacyjnych, budowa nowego mostu przez Wisłę, budowa nowej elektrowni, kolei podziemnej, zwiększenie taboru autobusowego, pozyskanie nowych terenów, niezbędne inwestycje w dziedzinie oświaty, szpitalni-

ctwa, opieki społecznej, aprowizacji i bezpieczeństwa — potrzeba było by się zdobyć na jednorazowy wydatek co najmniej jednego miliarda i paruset milionów złotych. Już sama wysokość tej sumy świadczy o ogromie potrzeb.

Omawiając następnie warunki rozwoju Warszawy pan prezydent Starzyński stwierdza, że ponieważ w ostatnich latach na inwestycje wydawano rocznie około 30 milionów złotych, gdyby kwotę tę przyjąć za normę i nie brać pod uwagę bieżącego rozwoju miasta, a więc wciąż wzrastających jego potrzeb, potrzebaby ponad 33 lat dla zaspokojenia potrzeb dzisiejszych.

I tu bodaj dochodzimy do najważniejszego problematu. Te ogromne potrzeby Warszawy wyrastają w dużej mierze z jej stołecznego charakteru. Warszawa dźwiga więc ciężary wynikające z jej roli w państwie i to stwarza, że znajduje się ona w sytuacji upośledzonej.

„Stolica — pisze Starzyński — jest z natury rzeczy własnością całego narodu i jego wysiłkiem musi być dźwigana. Niestety, warunki, jakie wytworzyły się u nas powodują, że Warszawa nie tylko nie jest uprzywilejowana, nie tylko nie korzysta ze specjalnych uprawnień, ale odwrotnie, system prawny i stan faktyczny powoduje, że poza ogólnymi warunkami nieprzychylnymi dla rozwoju miast w Polsce, jeszcze specjalne istnieją przyczyny, dla których Warszawa w stosunku do innych samorządów jest upośledzona".

Dla ilustracji tego upośledzenia warto przytoczyć, poza ogólnymi zarządzeniami, zmniejszającymi źródła dochodowe miast, przy jednoczesnym powiększaniu obowiązków gmin, fakty następujące: oto ludność Warszawy bierze udział w świadczeniach na Fundusz Pracy kwotą 20 milionów złotych, gdy tymczasem udział Warszawy w kredytach i subwencjach tego Funduszu jest bardzo mały i maleje jeszcze z roku na rok; na Fundusz Drogowy wpłaciła Warszawa od roku 1931 około 18 milionów, otrzymała zaś w tym okresie niewiele ponad 2 miliony na przebudowę ulicy Wolskiej i Grójeckiej; dochodowy Zakład Ubezpieczeń od ognia w Warszawie, z którego dochodów rozbudowywano stołeczną Straż Ogniową, włączono do Państw. Zakł. Ubezp. Wzajemnych itd.

Należy, oczywiścież podzielić wiarę p. Starzyńskiego, że te niesprzyjające warunki ulegną zmianie, a wówczas tempo rozwoju Warszawy i jako miasta i jako stolicy wzmoże się bardzo wydatnie.

Jednakże i bilans wyników ostatniego czterolecia zrefero-

wany w książce p. Starzyńskiego musi napawać otuchą. Nie będziemy tu, oczywiście, choćby z braku miejsca, powtarzać szczegółowych liczb i zestawień, odsyłając bardziej zainteresowanego czytelnika do samej książki. Chcemy zwrócić jednak uwagę na fakty następujące, a bardzo charakterystyczne: pamiętamy wszyscy beznadziejny okres gospodarki Warszawy u schyłku 1933 i w początkach 1934 roku.

Niewypłacane pensje pracownicze, poszukiwania przez Magistrat pożyczek krótkoterminowych na warunkach wręcz lichwiarskich na rynku prywatnym, handel na 50% nominalnej wartości niehonorowanymi przez kasę asygnatami miejskimi, skandal z cegielnią miejską, niewykończone i niszczejące mury rozpoczętych przez miasto budowli — przytaczamy te jaskrawe i powszechnie znane objawy załamania się gospodarki miejskiej. Od tego czasu w gospodarce miejskiej nastąpiła radykalna zmiana: finanse i długi miasta uporządkowane, inwestycje programowe i celowe, budowle rozpoczęte — wykończone, wzniesiono szereg nowych, zwłaszcza gmachów szkolnych, zmiany w zewnętrznym wyglądzie miasta ogromne, dla każdego widoczne.

Jakim ta zmiana przeprowadzona kosztem? Okazuje się, że miasto w ostatnim czteroleciu wydało na inwestycje niewiele więcej, niż w czteroleciu ubiegłym, kryzysowym, a niemal dwa razy mniej, niż w czteroleciu wysokiej koniunktury. Liczbowo stosunek ten przedstawia się następująco: 1926 — 1929/30 wydano na inwestycje 208.1 milionów zł., 1930/31 — 1933/34 — 96.3 mln., 1934/35 — 1937/38 wydano 121.4 miliona. Jednocześnie nie we wszystkich działach gospodarki miejskiej osiągnięto w ostatnim czteroleciu znaczną poprawę. A więc nie pieniądze odegrały tu rolę główną, ale sposób gospodarowania nimi, czyli planowość i celowość gospodarki miejskiej i miejskiej polityki inwestycyjnej. Główny wysiłek inwestycyjny miasta skierowany był w ostatnim czteroleciu na rozbudowę inwestycyj drogowych, wodociągowych i kanalizacyjnych na przedmieściach, oraz budowę szkół. Rezultatem tej trafnej polityki był gwałtowny rozwój budownictwa prywatnego na przedmieściach wzdłuż zainwestowanych szlaków. Oczywiście ten główny kierunek polityki inwestycyjnej nie wyczerpuje jej wyników. Oprócz wielu grup prac inwestycyjnych, wysuwają się również na plan pierwszy inwestycje w zakresie zadań szerzenia kultury: Muzeum Narodowe, Biblioteka Publiczna, oraz w zakresie ochrony zabytków (odsłonięcie murów miejskich, odrestaurowanie pałacu Blanka itd.).

Wobec dysproporcji między środkami, a potrzebami zachodzi konieczność ustalania hierarchii potrzeb. Z zestawień p. Starzyńskiego wynika, że pragnie on w dziedzinie inwestycji ustalić jakby dwa nurty równoległe: jeden, nurt zaspakajania potrzeb codziennych mieszkańców miasta, potrzeb dotkliwie odczuwanych, drugi zaś inwestycji, kształtujących urbanistyczny rozwój miasta. Do tego drugiego nurtu zaliczyć trzeba przebicia lub budowę nowych arterii komunikacyjnych, odwrócenie miasta do rzeki itd.

Z zagadnień tego drugiego nurtu wylicza p. Starzyński jako „najbliższe zadania": Dzielnicę Wielkiego Marszałka, parki sportowe (na Siekierkach i Żoliborzu), oraz urządzenie terenów wystawowych na prawym brzegu Wisły pod Wystawę, która ma być otwarta w stolicy w roku 1944.

Książka p. Starzyńskiego kończy się apelem do mieszkańców stolicy o współpracę z Zarządem Miasta w jego poczynaniach, o współpracę opartą na jak najgłębszym i czynnym umiłowaniu rodzinnego miasta. Ten czynnik emocjonalny prezydent Starzyński podkreśla zawsze, we wszystkich swoich wystąpieniach, bardzo silnie i trzeba przyznać, że swoim uporem i własnym entuzjazmem, oraz celową propagandą Warszawy wśród przede wszystkim warszawian, potrafił doskonale podnieść potencjał uczuciowy stosunku ludności do rodzinnego miasta i podniesienie tego potencjału potrafił umiejętnie zdyskontować dla dobra Warszawy. Potrafił nade wszystko zainteresować ludność Warszawy nie tylko działalnością Zarządu Miejskiego, ale problematami potrzeb i rozwoju stolicy, potrafił przełamać mur oziębłej obojętności i pewnego zniechęcenia, jakim zwykły mieszkaniec Warszawy odgradzał się od spraw gospodarki własnego miasta.

ICZ.

Przewodniki

WARSZAWA — PRZEWODNIK KRAJOZNAWCZY. *(Warszawa 1938, nakładem oddziału warszawskiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, str. X + 282 z barwnym planem Wielkiej Warszawy, oraz pięcioma planami orientacyjnymi).*

Przewodnik po Warszawie wydany przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze pod ogólną redakcją dr. Reginy z Danyszów Fleszarowej i Józefa Kołodziejczyka, wypełnia dotkliwą

lukę w tego rodzaju literaturze o stolicy. Brak tego rodzaju wydawnictwa niezbędnego nie tylko dla przyjezdnego turysty lecz i dla miejscowych miłośników własnego miasta zmuszał ciekawych i bardziej upartych do wyszukiwania przewodników przedwojennych, lub zgoła zeszłowiecznych, niekiedy bardzo dobrych i sumiennych, lecz oczywiście przestarzałych, w częściach historycznych opierających się na przebrzmiałych już często opracowaniach, w częściach informacyjnych dla aktualnego użytku bezwartościowych.

Opracowanie przewodnika po dużym mieście jest rzeczą niezmiernie trudną. Taka książeczka „kieszonkowa", a więc z góry ograniczona rozmiarami, musi odpowiadać różnym gustom i potrzebom, musi zawierać maksimum wszechstronnych wiadomości o mieście, i to zarówno o jego przeszłości, jak i teraźniejszości, musi dostarczyć mnóstwa informacyj praktycznych, odpowiedzieć na najróżnorodniejsze pytania, które może zadać turysta swemu podręcznemu guide'owi. Powinien być wyczerpujący, a zwięzły, w wielu kwestiach specjalnych wskazać źródło czy opracowanie obszerniejsze.

Takiej wszechstronności, jeśli nie ma identyfikować się ona z powierzchownością, trudno wymagać od jednego człowieka. To też redaktorzy omawianego przewodnika skorzystali ze współpracy dziesięciu autorów, których wkład w opracowanie nie jest, oczywiście, jednaki. Jednocześnie jednak nie uczynili z przewodnika zbioru artykułów o poszczególnych zagadnieniach, ale dążyli do nadania mu jednolitego charakteru, starali się podciągnąć całość do jednego tonu, co przy każdej pracy zbiorowej tego typu stanowi niełatwe, choć tak pożyteczne w rezultacie, zadanie. Zadanie zresztą o tyle niewdzięczne, że odpowiedzialność za usterki obciąża w większym stopniu redaktorów, niż zespół współpracowników, których udział w całości niezawsze łatwo jest wyłowić.

A ponieważ w tego rodzaju pracy, zwłaszcza w pierwszej próbie, błędów uniknąć nie sposób, złośliwość krytyka zawsze znajdzie dla siebie dość materiału. Wytykanie błędów jest zresztą w tym wypadku po prostu obowiązkiem nie tylko wobec czytelnika, ale i wydawców, którzy będą mogli z uwag krytycznych wyłowić to, co poprawienia godne i poprawki wprowadzić w wydaniach następnych, których długi szereg gwarantuje pożyteczność przewodnika. A nawet zupełnie drobne błędy, czy niedociągnięcia mają znaczenie w wydawnictwie tego typu, dążącym z natury rzeczy do steoretypowej

niemal bezbłędności i do drobiazgowo pod względem formalnym konsekwentnego układu.

Zanim więc sprawozdawca przystąpi do wyliczania usterek czy niedociągnięć, niech mu wolno będzie stwierdzić — iż by nie było nieporozumień, — że uważa ten przewodnik po Warszawie za próbę wysoce pożyteczną, a nade wszystko na ogół udaną. Z emocjonalnym zacięciem, potoczyście napisany, syntetyczny zarys historii Warszawy (dr. Kazimierz Konarski) rozciekawi czytelnika do dziejów miasta i zwróci uwagę na najistotniejsze ich momenty; doskonałe, z wielką wytrawnością i oszczędnością słowa przeprowadzone opracowanie dzielnic zabytkowych (dr. Jerzy Sienkiewicz, przy współudziale konserwatora Zbigniewa Ruskiego), które jest kośćcem przewodnika, cierpliwie, szczegółowo, a z pietyzmem ukaże widzowi dawną Warszawę, zaklętą w kształt zabytkowych budowli i pomników; ich wartość i piękno zreferuje spokojnie i rzeczowo, urok szczególny podkreślając od czasu do czasu zwięzłym określeniem w skondensowanej, dojrzałej formie literackiej. Dociągnięcie informacji o poszczególnych budowlach do wyników ostatnich monograficznych badań, nawet niepublikowanych jeszcze, wiele wiadomości będących wynikiem własnych dociekań — to więcej, niż normalnie wolno oczekiwać od przewodnika tego typu.

Na tym tle muszą razić nawet drobne niedociągnięcia, których jest sporo, zwłaszcza w dziale informacyjnym, od którego żądać należy pedantycznej rzeczowości i ścisłości. Skoro podaje się taryfę dorożek samochodowych, należy to również podać i w stosunku do dorożek konnych, a nie pisać, że kurs dorożką konną zaopatrzoną w taksometr wynosi *przeciętnie* 1 zł. 50 gr. Skoro się podaje ceny przejazdów normalnych tramwajami, należy podać i ceny ulgowe, a również i ceny za przejazd autobusami.

Stanowczo niewłaściwe jest używanie w informacjach o hotelach, zwłaszcza warszawskich, tak subiektywnych określeń jak „najwspanialsze". „Wspaniałość" nawet Bristolu, Europejskiego czy Polonii jest bardzo względna i trudno nią imponować mieszkańcowi Lwowa, Krakowa, czy Poznania. Wystarczy zwykły podział na kategorie bez superlatywów. Można mieć również zastrzeżenia, już merytoryczne, do prawdziwości informacji, że w Warszawie skromnie i niedrogo jada się w tzw. mleczarniach.

Od autorów zarysu geografii miasta należy się domagać najkrótszego choćby wyjaśnienia terminu „jurydyka". Termin

ten jest obiegowy dla osób, które w jakikolwiek sposób zetknęły się z historią Warszawy; dla przeciętnego jednak czytelnika może nie być zrozumiały. Autorzy ci również przenoszą, ze stratą dla ścisłości historycznej, działalność marszałka W. Kor. Franciszka Bielińskiego, wyłącznie na czasy Stanisława Augusta i to w dodatku na koniec wieku XVIII, gdy, jak wiadomo, Bieliński sprawował swe dobroczynne dla Warszawy rządy od roku 1742 do roku 1766, a więc z tego okresu lat na panowanie Stanisława Augusta, przypadają zaledwie dwa lata ostatnie. Również bałamutnie może być tłumaczone, wskutek zbytniego w tym wypadku lakonizmu, twierdzenie, że istniejące po dziś domy rogatkowe z początku XIX wieku, wyznaczają granicę, które miasto *osiągnęło* za Stanisława Augusta. Przypisanie przyczyn zburzeniu bram miejskich i wielu zabytków średniowiecza warszawskiego w początkach XIX stulecia „ówczesnej modzie", wydaje się nadto naiwne. Dążenie do zwięzłości zapewne stało się przyczyną twierdzenia, że okres niewoli rosyjskiej obdarzył Warszawę wśród innych dzielnic bez charakteru artystycznego i Nalewkami. Choćby tych parę fasad klasycznych, pałacowych kamienic nalewkowskich, tak bardzo zapuszczonych i zagubionych w zgiełku i wrzawie innego życia, to dostateczny protest przeciw temu twierdzeniu. Nalewki również zginęły jakoś i w części szczegółowej, choć tej starej ulicy, będącej ongi ważną arterią komunikacyjną i mającej swą jutrzenkę świetności, należało się słów choćby kilka.

W części szczegółowej blado i anemicznie wypadły dawne ogrody, te, które po dziś dzień są ozdobą miasta. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności ogrody, które uległy zniszczeniu, po których zostały tylko ciekawe jeszcze, ale zapuszczone szczątki, znalazły gorliwego opiekuna, który ich pamięć staranniej przekazał czytelnikowi. Dlaczego np. przy Ogrodzie Saskim nie wspomniano o obiedzie wydanym tu przez miasto dla wojska polskiego po bitwie pod Ostrołęką, chociaż właśnie z tradycji tego obiadu wyrosła inicjatywa wydania takiegoż obiadu w roku 1921, o którym znajdujemy wiadomość w przewodniku. Czemu nie wykorzystano szeregu gmachów i miejsc związanych z wybitniejszymi wydarzeniami z okresu walk o niepodległość, aby wydarzenia te, tak istotne i charakterystyczne dla historii podkreślić chociaż aż dwuch autorów uzupełniało stronę opisową „wstawkami historycznymi" (profesor Zygmunt Denter i Aleksander Dygnas)?

Trudno również nie wyrazić żalu pod adresem autora, któ-

ry opracował architekturę nowoczesną Warszawy (profesor Lech Niemojewski). Czemu przy niektórych gmachach współczesnych, które opatruje pochlebnymi określeniami: okazały, nowoczesny itd. nie podaje nazwisk ich twórców, gdy czyni to przy innych. Warto by tę część przewodnika dociągnąć w następnych wydaniach do poziomu opracowania architektury zabytkowej.

Te naszym zdaniem, niedociągnięcia, których wskazać można by i więcej, a które wyłowią na pewno i sami redaktorzy przewodnika, bez pomocy sprawozdawcy, nie umniejszają, jak już zaznaczono, wartości i pożytku, jaki przynosi wydanie tego w rezultacie dobrego, z inteligentną troską o dobro czytelnika ułożonego przewodnika po Warszawie.

Po za wymienionymi już tu zaletami, należy również podkreślić wartość doskonale, a z dużym nakładem pracy przygotowanych informacji o muzeach i zbiorach (dr. Jadwiga Przeworska). Te informacje przydadzą się zasiedziałym mieszkańcom stolicy nie mniej, niż przyjezdnym.

Pod względem szaty zewnętrznej przewodnik całkowicie odpowiada swemu praktycznemu przeznaczeniu, a niekonsekwentną interpunkcję w części informacyjnej w wydaniu następnym poprawi, miejmy nadzieję, sam korektor.

PRZEWODNIK PO WARSZAWIE DLA WYCIECZEK WIEJSKICH — *napisał Mieczysław Węgrzecki. (Wydawnictwo Spółdzielni Turystyczno-Wypoczynkowej „Gromada" w Warszawie), str. 58.*

„Gdy więc poznasz, Obywatelu, własną gminę i najbliższe miasto powiatowe — pierwsze Twoje kroki w świat winny Cię zaprowadzić do Warszawy, Stolicy Polski" — tytuł przewodnika i to hasło naczelne usposabia do tej porządnie wydanej pod względem graficznym książeczki nader przychylnie. Inicjatywę spółdzielni „Gromada" przyjąć trzeba z całym uznaniem, jako akcję propagandowo kulturalną w dużym stylu i na mocnej podstawie zdrowej idei wspartą.

Jest rzeczą oczywistą, że inicjatywa ta, skierowana ku turystyce masowej, stosunkowo jednorodnych grup o specjalnych zainteresowaniach i nastawieniach, posługiwać się musi odmiennymi metodami. Jeśli wycieczka wiejska ma osiągnąć istotną korzyść z pobytu w Warszawie, nie można jej programu przeładować, nie można go obciążyć nadmierną ilością informacji historycznych. Wycieczka wiejska przybywa do Warszawy nie po to, aby kontemplować piękno zabytków architektury, lecz po to, żeby zapoznać się z zasadniczym charak-

terem historycznym miasta i zaznajomić się z życiem Warszawy, jako stolicy współczesnej Polski. Żeby poznać siedzibę władz centralnych i centralnych instytucji kulturalnych oraz tych wszystkich organizacji, których działalność w tej, czy innej formie dociera do wsi.

Stąd wynika specjalny układ tego przewodnika, który chcąc pouczyć i rozszerzyć wiedzę swych czytelników o Polsce, musi zwracać uwagę na instytucje w przewodnikach normalnych niemal pomijane, jako ściśle związane z życiem wielkomiejskim. Dla wycieczki wiejskiej Warszawa zazwyczaj jest nie tylko stolicą, ale często pierwszym wielkim miastem oglądanym bezpośrednio.

Dlatego też przewodnik Węgrzeckiego, skracając do minimum informacje historyczne, kładzie nacisk na życie i instytucje gospodarcze. Podejście słuszne, ale nakładające obowiązek jak najstaranniejszego doboru tych niewielu informacji, które są dla wiejskiego turysty przeznaczone, a nade wszystko ich rzetelności. Wcale nie jest łatwiej przedstawić prawdziwy obraz historii i rozwoju Warszawy na dwóch, czy trzech stronicach, niż w grubym tomie. Ten skrót dziejów stolicy nie bardzo się autorowi udał. Dobór faktów z dziejów Warszawy jest dość przypadkowy, niedostatecznie przemyślany. Powtarzamy: jest rzeczą bardzo trudną dokonać takiego wyboru. Trzeba nie tylko bardzo wytrawnej znajomości psychologii czytelników, dla których się pisze, ale przynajmniej równie wytrawnej znajomości i oceny obiektywnego znaczenia faktów, które z pośród wielu ma się wybrać tak, aby linia dziejów nie straciła ani ciągłości, ani logiki rozwojowej.

A w żadnym już wypadku nie należy, nawet dla celów popularyzacji, czy skrótu, fałszować faktów. Żadnej korzyści nie odniesie np. wiejski turysta z fałszywej informacji p. Węgrzeckiego, że „obronne mury miasta zostały, niestety, zburzone przez Rosjan", a „Zarząd Miasta odbudowuje obecnie fragment tych murów przy ul. Brzozowej".

Mury miasta nie były bowiem zburzone; zburzono tylko bramy miejskie, ale nie dokonali tego wcale Rosjanie. I oczywiście, nikt murów nie odbudowuje, ale je odsłonięto obecnie nie przy ul. Brzozowej, ale między Wąskim Dunajem a Nowomiejską wzdłuż Podwala.

Taka wiadomość, że się mury *odbudowuje*, w zupełnie fałszywym świetle przedstawia inicjatywę odsłonięcia murów.

Tego rodzaju, powiedzmy delikatnie, nieścisłości, nie mogą

się trafiać w przewodniku dla szerokich mas turystów. We wrażliwym na prawdę i rzetelność społeczeństwie być może zażądano by z racji takiej jednej gaffy wycofania nakładu. Tak daleko jednak nie idziemy. Sądzimy jednak, że spółdzielnia „Gromada" powinna tekst przewodnika poddać fachowej kontroli i korekcie, żeby piękna i pożyteczna inicjatywa nie miała skaz tak znacznych. Korektą taką należałoby objąć całość tekstu i wyplenić przy tej sposobności tego rodzaju sformułowania stylistyczne, jak np., że w Belwederze jedna sala jest „poświęcona atmosferze 1863 roku", bo z takiego sformułowania niewiele będzie miał pociechy niejeden wiejski turysta. Każdy początek jest trudny. Przewodnik omawiany to pierwsza próba. Jeśli dość ostro wytykamy jego błędy, to jedynie dlatego, aby próba następna była bez zarzutu.

A. WIECZORKIEWICZ

ŻEROMSKI A „DZIEJE GRZECHU"

Z okazji trzydziestej rocznicy wydania „Dziejów Grzechu" drukują „Wiadomości Literackie (Nr 781) obszerny artykuł S t a n i s ł a w a P i o ł u n - N o y s z e w s k i e g o, biografa i komentatora Żeromskiego (a także jego dość bliskiego krewnego). Autor przypomina, a właściwie po raz pierwszy szczegółowo relacjonuje sprawę udramatyzowania „Dziejów Grzechu", dokonanego przez Janinę Mori. Sprawa ta wywołała wielkie zdenerwowanie i oburzenie Żeromskiego.

Dyrektor teatru prowincjonalnego Pachniewski, ulegając protestom Żeromskiego, nie przyjął sztuki, natomiast nabywa ją od p. Mori inny dyrektor teatru objazdowego Majdrowicz i wystawia w Kielcach.

To miasto dzieciństwa Żeromskiego, znienawidzone przezeń w młodości, a później otoczone jak gdyby nimbem pewnego sentymentu — było najwłaściwszym miejscem dla wywołania skandalicznej sensacji premierą „Dziejów Grzechu".

Tu bowiem dzieje rodziny Żeromskich przechowywano skwapliwie w gąszczu miejscowych plotek, a powszechna fama głosiła, że „Dzieje Grzechu" są jakoby wzorowane na historii życia siostry Żeromskiego Aleksandry, którą poślubił zruszczony Polak, oficer, czy urzędnik wojskowy rosyjski Karpow i zabrał z sobą do Moskwy, a jeszcze przed ślubem miał z nią romans, jak się to wówczas mówiło. Dzisiejsze dociekania osób, blisko tych spraw stojących przedstawiają te dzieje nieco inaczej, tak jednak żyły one wówczas w kieleckiej plotce.

Na tę właśnie sensację liczył bodaj teatr, wystawiając tu „Dzieje Grzechu", w inscenizacji zresztą nie tandetnej i nie nadmiernie krzykliwej, przeciwnie nawet inteligentnej, jak to stwierdza w swym artykule p. Piołun-Noyszewski. Mimo takiej atmosfery sztuka szybko zeszła z afisza, a potem zaczęła wędrować po scenkach prowincjonalnych w latach 1909—1911, aby wreszcie dokonać żywota w warszawskim „Renaissance'ie".

Żeromski nigdy nie pogodził się z faktem przerobienia i wystawienia na scenie „Dziejów Grzechu", protestował przeciwko temu kategorycznie, jako przeciwko „pospolitemu nadużyciu".

Nieprzejednane stanowisko Żeromskiego w tej sprawie p. Piołun-Noyszewski tłumaczy specyficznym stosunkiem autora do swej po-

wieści. *Historia Ewy Pobratyńskiej nie ma, rzecz oczywista, nic wspólnego z dziejami Olesi. Dziedziczy po niej jednak zasadniczą cechę charakteru bohaterki — jej bunt wobec środowiska rodzinnego, jej los i walkę z życiowym fatum... Aby się wyrazić możliwie najprościej, powiedzielibyśmy że Ewa nie powtarzała wprawdzie dziejów Olesi, ale zmuszała do wspomnień o niej.*

A więc jednak p. Noyszewski idzie mimo wszystko po linii łączenia w pewien sposób „Dziejów Grzechu" z dziejami Aleksandry z Żeromskich. Stąd w sposób prosty wynika teza o wyjątkowym stosunku autora do swej powieści i tak daleko posuniętej drażliwości, że nawet całe honorarium otrzymane za druk utworu (w odcinku i wydaniu książkowym) a wynoszące oszołamiającą nie tylko na ówczesne stosunki sumę 9 tys. rubli — Żeromski w całości przeznaczył i wydał na ufundowanie ochronki w Nałęczowie.

Interesujący ten artykuł wartoby uzupełnić kilkoma, mało na ogół znanymi szczegółami, choć zapewne nie obcymi p. Noyszewskiemu. Oczywiście naiwne jest przypuszczenie, że Ewa powtarza choćby w artystycznej parafrazie, dzieje Aleksandry. Pewne tylko szczegóły z pierwszego tomu powieści wzorował Żeromski na ponurych opowiadaniach o przejściach nieszczęśliwej Olesi, prawdziwych, czy nie prawdziwych, ale w takiej właśnie formie utrwalonych w pamięci autora, który wszakże w tym czasie, gdy się te dzieje toczyły, był uczniem gimnazjalnym i to co do jego uszu dotarło było tylko mniej lub więcej zdeformowaną i wyolbrzymioną pogłoską. Pogłoski te, skombinowane z ułamkami rzeczywistości które widział i znał — układały się w lotnej fantazji chłopca w koszmarny obraz, który męczył go i dławił latami, jak niewyżyty kompleks.

To zapewne był jeden z komponentów utworu. Drugim, o którym mnie doszły tradycje z najbliższego otoczenia pisarza, było bezpośrednie wrażenie książki, bodaj pod tytułem „Ohyda wieku" napisanej przez księdza, którego nazwiska nie pamiętam, a który był bliskim krewnym red. Wysłoucha.

Prawdopodobnie tych komponentów, które stopiły się ostatecznie w artystyczną całość „Dziejów Grzechu", było znacznie więcej. Każdy z nich pozostawił jakieś obrazy, jakieś rysy charakterystyczne. Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednym, najciekawszym może dla zrozumienia psychiki Żeromskiego i tajemnych dróg jego natchnienia poetyckiego, najbardziej właśnie „intymnym".

Jest to częściowe jak gdyby utożsamienie się Żeromskiego z Łukaszem, z fragmentem Łukasza. Przetransponowanie swego stosunku do narzeczonej na stosunek Łukasza do Ewy. Transpozycja ta odbyła się zresztą w czasie, gdy Żeromski nie tylko był już żonaty z p. Oktawią, ale nawet przestał być jej wierny i ona to zauważyła. Mając już wtedy — jak sądziła żona — „romans" we Włoszech, a nawet zapewne spodziewając się dziecka jako owocu tego stosunku — pisał „Dzieje Grzechu" powtarzając w nich pewne obrazy z okresu z przed lat kilku, gdy od swej narzeczonej, uważanej już w sercu za żonę, odjeżdżał nie do Włoch wprawdzie, ale do Szwajcarii.

Dla uwidocznienia jak elementy rzeczywistości wtapiał Żeromski w całość dzieła artystycznego — zestawię tu fragmenty dwuch cyklów listów. 1) Pisanych przez Łukasza do Ewy w czasie podróży do Rzymu i 2) pisanych przez Żeromskiego do p. Oktawii w czasie

podróży do Szwajcarii. Dodać należy, że Żeromski całą swą korespondencję przechowywał bardzo skrupulatnie, starannie posegregowaną (był wszakże zawodowym bibliotekarzem) i często z niej korzystał przy pracy literackiej, bądź dla odświeżenia wrażeń z podróży, bądź dla przypomnienia sobie przeżywanych uczuć własnych, które pragnął przekazać swym bohaterom. Oto zestawione listy:

(„Dzieje Grzechu" — wyd. J. Mortkowicza MCMXXVIII).

Str. 207 i n. (List Łukasza do Ewy).

Nie zdołam wyrazić słowami rozdarcia, którego doświadczam. Siadłem tutaj, w tym pokoju hotelowym żeby pisać, bo to jedyna ucieczka przed zaciskaniem się serca, wzmagającem się bez miary. Lecz cóż napiszę? Poco jadę? Dokąd jadę? Czemże jestem? Gdzie jestem. Chwilami w wagonie zdawało mi się, żem zwaryował i światem lecę. Porzuciłem Ciebie. Teraz widzę jak marnym i nędznym jestem człowiekiem. Istnieję tylko przez Ciebie. Nigdy w życiu nie doświadczałem takiego zamętu w uczuciach, takiego ucisku myśli, nawet wówczas, gdym do Zglisz uciekał. Wówczas dźwigała mię męska wyniosłość...

Próbowałem w wagonie czytać przewodnik po Rzymie, ale ilekroć otworzyłem książkę, drgał w ustach[1]) dźwięk jakiegoś głosu. Jestem strudzony od uczucia smutku, jakbym przeszedł o głodzie kilkanaście mil, albo przetrwał chorobę. Czego się dotknę i na co spojrzę, — wybucha płaczem. Łka przestrzeń za mną i przede mną, wypominając wciąż jedno imię.

Nie mogę pójść na pocztę, bo już za późno, a marzę, że mógłby tam być list od Ciebie. Cóżbym dał za to, żeby go znaleźć.

Jutro rano z tego Krakowa wyjadę, a wieczorem będę w Wiedniu. Żeby prędzej!

(List S. Ż. do p. Oktawii, pisany z Kielc dn. 11 stycznia 1892 roku).

Nie zdołam, moja najdroższa, wyrazić słowami smutku, jakiego doświadczam. Usiadłem, aby pisać, bo to jedyna ucieczka przed ściskaniem serca, jakie wzmaga się chwilami aż do stanu bólu fizycznego. Po co i dokąd jadę?

Chwilami zdawało mi się w wagonie i teraz się zdaje, żem zwaryował i lecę dokądś, porzuciwszy Ciebie... Teraz widzę, jak słabą i chwiejną jestem istotą: istnieję tylko przez Ciebie. Nigdy nie doświadczałem takiego zamętu w uczuciach i takiego ucisku tęsknoty.

Próbowałem w wagonie czytać Coperfield'a, ale ile razy otworzyłem książkę — drgał mi w uszach dźwięk dziwnego głosu, opciągający mię z siłą jakiejś muzyki, której niepodobna się pozbyć. Jestem znużony uczuciem smutku, jakbym przeszeł kilkanaście mil. Czego się dotknę, na co spojrzę — wszystko łka za mną i przedemną, przypominając, jak wyrzut sumienia: niema, niema...

Nie mogę pójść na pocztę, bo już późno, a zdaje mi się, że byłby tam list od Ciebie — i cóżbym dał, aby go przeczytać (...).

Jutro o ósmej rano wyjadę i wieczorem będę w Krakowie (...).

---

[1]) Zapewne omyłka zecerska, winno być „uszach" co potwierdza list obok podany.

Nie pocałowałaś mię, gdym wsiadał do wagonu. Płakałaś. Teraz mi tego pocałunku najbardziej żal. Och, kiedyż znowu Twe usta... Wiem że mię kochasz. Kochaj! Najsłodsza!... Oszalałbym, straciwszy Ciebie (...).

Głowa boli, szum w uszach i rozłamanie moralne. Lichy ze mnie teraz podróżnik. Słyszę uszyma nie dźwięk dzwonków, lecz głosy zadźwiękowe, mało co widzę, choć patrzę na przedmioty, a w gruncie rzeczy widzę tylko smutek własny na przesuwającej się ziemi, na obcych twarzach. Nic mię nie pociąga. Wygasła we mnie siła ciekawości. Niema nic gorszego nad jazdę koleją w takim nastroju. Jakże doskonale pojąłem dziś tę prawdę, że wszystko, cokolwiek bym zrobił w rozwodowej sprawie dla naszego szczęścia, cokolwiekbym przedsięwziął, zobaczył, czego się nauczył, do czego dotarł i co zdobył — nie warte jest jednej chwileczki, uświęconej przez Twój niebiański uśmieszek.

Żegnam Cię z takiem uczuciem, jakie powinno zmazać wszystkie względem Ciebie przewinienia.

Twój do śmierci — Łukasz.

P. S. *Nie napisałem tutaj tego, co czuję. Jakieś słowa literackie... Na to, co czuję, nie mogę schwycić nazw, słów prawdziwych. Ale mnie zrozumie Twoje serce, otwarte na miarę anielską i może prawdę przeczytają po przez zasłony słów Twoje oczy widzące. Żegnam Cię.*

(...) Och, Boże. Twój list... Umiem go napamięć, jak przecudne wiersze... Nie jest to list, lecz pocałunek... Noc znowu ciemna nade mną, a w sercu coraz dokuczliwsza kolka tarniny, coraz złośliwsza drzazga żalu. Pamię-

Nie pocałowałaś mię, gdym wyjeżdżał (...).

Wiem, że mię kochasz — i — kochaj mię, moja najsłodsza, bo chybabym oszalał, straciwszy Ciebie (...).

Głowa boli, szum w uszach — to dziwaczne uczucie rozłamania moralnego tak mię męczą. Lichy ze mnie podróżnik — słyszę tylko dźwięk dzwonków, mało co widzę, a raczej widzę tylko smutek własny na przesuwającej się ziemi, na twarzach obcych, do oglądania których nie pociąga mię ani iskierka ciekawości. Ach — niema nic naprawdę gorszego, nad jazdę koleją z takim sercem... Jakże dobrze rozumiem tę prawdę, że wszystko cokolwiek bym widział, czego się nauczył, do czego doszedł — nie warte jednej chwileczki uświęconej przez Twój łaskawy uśmiech.

Żegnam Cię z tym i takim uczuciem, jakie powinno zmazać moje przewinienia względem Ciebie — Twój do śmierci

Stefan.

P. S. (...).
Nie napisałem tego, co czuję bo niema na to nazw, ale wierzę, że mię zrozumie Twoje serce (...).

(List z Krakowa, z dnia 12 stycznia 1892 r.).

(...) Jadąc, myślałem o jednej tylko rzeczy: — jaknajprędzej móc pisać do Ciebie. To też to nie list, ale pocałunek z prośbą o współczucie.

W wagonie otworzyłem Dickensa i zacząłem czytać: „Spuściła

tasz naszą wiosenną rozmowę rok temu w ogrodzie?

(...) Jakże Cię kocham! Jakże Cię miłuję, małżonko moja, powiernico serca, oblubienico duszy! Jutro znów dalej. A przecie, gdy załatwiam wszelkie czynności tej podróży, to właściwie nie czynię nic, nie podróżuję, nie zbliżam się do Rzymu, lecz tylko wciąż oddalam się od Ciebie. To jest jedyna czynność moja. Wszystko, cokolwiek się dzieje, to tylko ciągłe i nieskończone oddalenie się od Ciebie.

Ten i ów człowiek do mnie mówi, odpowiada na moje pytania, dowodzi lub zaprzecza, a ja, tak rozmawiając z ludźmi, rozmawiam tylko z Tobą, jestem z Tobą i patrzę bez końca w Twe oczy.

(...) miłość moja do Ciebie godna jest gruntownego badania i szczegółowego opisu. Jest to bowiem sprawa najdostojniejsza, fenomen niezrównanej wartości, historya przetworzenia się duszy, przejścia z jednej formy w inną formę, czyli historya jej postępu. Utrwala się i przekazuje pokoleniom chwila lotnego natchnienia Mozarta, niejeden kaprys Chopina: Czemuż nie mogę wyrazić tej prostej, a tak doskonałej mądrości, która mię uczyniła innym aż do gruntu.

się na mnie noc ciemna, pełna mar zawiedzionych nadziei, wspomnień (,) omyłek, boleści, żalów"... Och — ta noc ciemna... Pamiętam, że w Tworkach doznałem takiego ściskania serca, jak teraz.

(List z Wiednia 15 stycznia 1892 r.).

(...) Gdybym mógł powiedzieć, jak Cię kocham! Ja poprawdzie nie jadę i nie robię nic — tylko oddalam się od Ciebie, — to jedno czuję i rozumiem, tak boleśnie, tak przejmująco...

(List z Zürichu 20 stycznia 1892 r.).

(...) Ten i ów mówi ze mną, dowodzi, opowiada, a ja, rozmawiając z nimi, jestem u Ciebie, mówię z Tobą i patrzę, patrzę bez końca. Ta rozkosz wpatrywania się w Twoje rysy dochodzi do jakiejś ekstazy.

(List z Krakowa 9 marca 1892 roku).

(...) Ach — moja droga — gdybym mógł powiedzieć, jak Cię kocham. To uczucie godne jest opisu, bo to taka wielka rzecz. Utrwala się i przekazuje pokoleniom jedna chwila natchnienia Szopena lub Mozarta — czemuż nie możemy opisać tej prostej mądrości, jaka nas robi uczciwemi i dobremi?

Zestawił J. H.

KRONIKA ARTYSTYCZNA

Na zgon Mariana Zdziechowskiego

W Wilnie zmarł 5 października, po ciężkiej chorobie, wybitny myśliciel, pisarz i polityk, b. rektor U. S. B. ś. p. prof. dr. Marian Zdziechowski. Bibliografia wylicza sto kilkadziesiąt jego dzieł, pisanych w języku polskim, rosyjskim i francuskim. Do historii literatury wszedł jako badacz poezji i piśmiennictwa w ogóle i jako historyk. Elektryzowały go zarówno aktualne sprawy polityczne jak i problematy moralno-psychologiczne. *Przede wszystkim zasłynął jednak jako znawca myśli rosyjskiej* — pisze Adam Grzymała-Siedlecki w „Kurierze Warszawskim" (nr 275) w hołdzie pozgonnym. *Do prac Zdziechowskiego też trzeba się było udawać po zrozumienie historiozoficznego sensu dziejów politycznych Rosji i jej swoistego oblicza historycznego.* Jaka była zasadnicza postawa Mariana Zdziechowskiego? Na pytanie to odpowiada dr. Józef Flach w „Ilustrowanym Kurierze Codz." (nr. 279), w artykule pt. „*To był człowiek*". — „*Określić ją można* — pisze autor — *w krótkich słowach: cześć dla kultury, opartej o ducha chrześcijańskiego, propaganda tej kultury tam, gdzie są możliwości rozprzestrzenienia jej i umocnienia, obrona tej kultury tam, gdzie zagraża jej niebezpieczeństwo*".

Wileńskie „Słowo", którego Zmarły był współzałożycielem, poświęca Mu dwa artykuły (nr. 276), zapowiadając wydanie w najbliższej przyszłości specjalnego dodatku ku Jego czci. Teodor Bujnicki w nekrologu pt. „*Honor*" pisze m. inn.: *Dziś, gdy Go już nie ma między nami, pożegnajmy Go słowami, którymi scharakteryzował On kilka lat temu szlachetną i niezwykłą (zwłaszcza w ujęciu Zdziechowskiego) postać Chateaubrianda, słowami, które tak bardzo pasują do Niego samego: „Umiał on w pięknej harmonii połączyć trzy rzeczy, które rzadko idą razem: gorące przywiązanie do wiary przodków, rycerską cześć dla tradycji, głębokie przejęcie się ideą wolności"*... Tamże Jerzy Wyszomirski w artykule pt. „*Radość zmartwychwstania*" przypomina ostatnią pracę Zmarłego — „W obliczu końca", która była niejako testamentem myśli Zdziechowskiego. *Jakże jednym słowem ten testament wyrazić?*

„Heroiczne chrześcijaństwo" — oto skrót, pełen najgłębszej treści tego testamentu. Tak pojęte chrześcijaństwo winno i walczyć duchem, i przeciwstawiać się złu, i godzić oraz jednać wszystko w imię miłości. Taki legat duchowy pozostawia Zdziechowski — myśliciel".

W „Czasie" (nr. 277) zamieścił doc. dr. Sergiusz Kułakowski, wspomnienie pt. *„Apostoł sprawiedliwości i prawdy"*, gdzie m. inn. podaje nastp. charakterystyczny szczegół: *W gabinecie prof. Zdziechowskiego zawsze były obecne postacie dwuch myślicieli — poetów: Krasińskiego i Lermontowa, których portrety zdobiły ściany tego skromnego pokoju. Obydwaj Słowianie z ducha, byli twórcami melancholijnych rozmyślań poetyckich, przepojonych zgrozą przed zdziczeniem ludzkości. Obydwaj przed stu laty wołali o pomstę do nieba za przestępstwa wobec jednostki ludzkiej. Słowo gorejące było ich jedynym orężem. To właśnie słowo stało się orężem Mariana Zdziechowskiego"*. Tamże, prof. Roman Dyboski zamieszcza studium o twórczości Mariana Zdziechowskiego. W przypisku od redakcji czytamy: Gdy w r. 1934 prof. M. Zdziechowski był przedmiotem zasłużonych hołdów z okazji 50-lecia jego pracy naukowej, „Czas" umieścił artykuł prof. R. Dyboskiego, poświęcony jego osobie. Obecnie powtarzamy ten artykuł w postaci przejrzanej i uzupełnionej przez autora, jako hołd pozgonny dla zmarłego wielkiego uczonego i szlachetnego obywatela. Ujmując syntetycznie ogrom twórczości naukowej i literackiej i jej znaczenie dla myśli polskiej i europejskiej, kończy swe studium prof. Dyboski nastp. słowami: *jakkolwiek ten czy ów z nas może się w poglądach na to lub owo zjawisko różnić od czcigodnego mistrza wielkiej i wszechstronnej wiedzy filozoficzno-literackiej,w tym jednym się wszyscy zgadzamy, że składając hołd pozgonny pracy profesora Zdziechowskiego hołdujemy jednej z najczystszych i najwyższych sił moralnych w nowoczesnych dziejach kultury polskiej.*

Tamże, (nr. 280) znajdujemy przedruk przemówienia prof. Wacława Lednickiego, wygłoszonego na pogrzebie znakomitego uczonego pt. *„Marian Zdziechowski" — rycerz etyki i honoru,* w którym znajdujemy taki passus o pesymiznie Zmarłego: *Apokaliptyczne usposobienie, nastroje eschatologiczne rządzące jego duszą uczyniły go niezmiernie wrażliwym i czułym na wszystko, co było znakiem zbliżającego się końca, co było złowieszczym zwiastunem nadchodzącej katastrofy. W klimacie Apokalipsy i eschatologii żył i rozwijał się wrodzony jego pesymizm. Bo pesymistą człowiek się nie staje, lecz rodzi. Z pesymizmem w sercu i w duszy przyszedł na świat Zdziechowski. Ale pesymizm jego nie kazał mu rąk opuścić lub w rozpaczy je załamać. Pesymizm Zdziechowskiego był pesymizmem twórczym, aktywnym. Nie miał on nic ani z negacji, ani ze sceptycyzmu, ani z nihilizmu. Był to pesymizm czynny.*

„Marian Zdziechowski jako polityk" jest tematem szkicu p. S. M. w „Gazecie Polskiej" (nr. 280), w którym autor wskazuje, że polityczne myśli zmarłego filozofa *są zdumiewająco wręcz aktualne właśnie w chwili dzisiejszej w związku z wstrząsami i przewrotem terytorialnym, jakiemu uległa Środkowa Europa.* Polska bowiem — według przekonania Zdziechowskiego — może siebie i zarazem Europę uratować przed zarazą bolszewizmu tylko w jak najściślejszym sojuszu i przy wspólnej granicy z Węgrami.

Stąd „czechofobizm" Zdziechowskiego — mimo szacunku dla kul-

tury czeskiej i mimo serdecznych stosunków z pojedyńczymi Czechami (Masarykiem, Czernym i inn.). Wielką miłością natomiast darzył Węgrów, którzy mieli w nim gorącego orędownika swej sprawy.

Stanisław Miłaszewski w artykule „*Ignis ardens*", w „Kronice Polski i Świata" (nr. 40), wspominając Zdziechowskiego — profesora, pisze m. inn.: *Teraz, po latach, widzę jasno, że wykłady Zdziechowskiego nie tylko były mówione, ale i nadawane wprost do umysłów przez fluidy, idące z profesora do nas. Stan, w jakim Zdziechowski przemawiał do przygodnych uczniów wydaje mi się dzisiaj, z oddalenia trzydziestu lat z górą lat, odpowiednikiem ekstazy miłosnej, oczywiście w najczystszym platońskim znaczeniu.*

Staraniem Zjednoczenia Pisarzy Katolickich odbył się w Domu Katolickim im. Piusa XI, wieczór poświęcony pamięci prof. Mariana Zdziechowskiego. Po słowie wstępnym Stanisława Miłaszewskiego, prezesa Zjednoczenia, referat n. t. „*Ś. p. prof. Marian Zdziechowski, jako pisarz i człowiek*" wygłosił redaktor Stanisław Mackiewicz z Wilna.

„*Wspomnienia ucznia*" opowiedział licznie zgromadzonej publiczności ks. dyr. Władysław Lewandowicz.

30-lecie zgonu Deotymy

Prawie niespostrzeżenie minęła w prasie codziennej i literackiej trzydziesta rocznica zgonu Jadwigi Łuszczewskiej, improwizatorki i poetki, znanej pod pseudonimem Deotymy. — Stefania Podhorska-Okołów pomieściła w „Czasie" (nr. 263) szkic pt. „*Deotyma —poetka nieznana*", w którym — oceniając twórczość Łuszczewskiej — najsilniejszy nacisk kładzie na epopei o Sobieskim, utworze — jak pisze — niedocenionym i niesłusznie zapomnianym. Tragedią niezwykłego talentu Deotymy był przerost woli improwizatorskiej nad predyspozycjami lirycznymi. *To, co zwykle zarzucano Deotymie: brak bezpośredniości, chłód retoryczny, abstrakcyjność obrazów, niewątpliwie ma swoje źródło w tych momentach wysokiego ciśnienia psychicznego, które wyzwalało z niej idee uniwersalne, a nie przeżyte.* Los poetki został przesądzony w chwili, gdy „*na zadany przez ojca temat „Porównanie świata duszy do świata widzialnego" wygłosiła pierwszą swoją improwizację. Była to próba w cztery oczy, ale jej dalszym ciągiem były występy przed gronem gości poniedziałkowych (dzień przyjęć u pp. Łuszczewskich).* Deotyma — pozostawiła po sobie tradycję raczej fenomenu niż twórczyni, — tradycję, która narastała w ciągu długiego jej życia. Deotyma improwizatorka, Deotyma — królowa literackiego salonu, w którym znajdowała schronienie plejada tzw. „Parnasistów", a od którego stroniła „Młoda Polska", była ongiś najsławniejszą chyba Polką.

O „*Salonie Deotymy*" pisze w „Kurierze Warszawskim" (nr. 263) Jadwiga Kopciowa. *Słynne Czwartki literackie u Deotymy odbywały się w jej mieszkaniu przy ulicy Królewskiej róg Marszałkowskiej. Okna salonu wychodziły na Ogród Saski. Na ścianach wisiały zwierciadła w złotych ramach i portrety rodzinne państwa*

Łuszczewskich. U sufitu wielki kryształowy żyrandol ze świecami, po bokach na ciężkich słupach brązowe rzeźbione kandelabry. Goście schodzili się późnym wieczorem. Panie w balowych toaletach z egretami z piór i drogich kamieni, które stanowiły ozdobę kunsztownych fryzur, panowie we frakach z szapoklakami w ręku, zgodnie z panującą modą. Ożywiali te zebrania wygłaszaniem własnych utworów poetyckich: H. Sienkiewicz, Antoni Iilecki, Julian Adolf Święcicki, Jan Komierowski, Aleksander Kraushar, Edmund Bogdanowicz, Gliński, Or-Ot, K. J. Jasiński i inn.

Marian Bogacz w „Kronice Polski i Świata" (nr. 39) we wspomnieniu pt. *„Na „czwartkach" u Deotymy"* — pisze, że na zebraniach tych *nieraz zjawiało się po 200 i 300 osób. Deotyma zwykle czytała swoje utwory, lub też popisywał się któryś z poetów. Najczęściej dochodzili do głosu: Odyniec, Pług i Sienkiewicz. — Powzięty przez poetkę gigantyczny plan wyśpiewania całych dziejów Polski w 27 tomach, nie mógł być, rzecz prosta, zrealizowany w całości, gdyż był ponad siły jednego człowieka, tym bardziej, że przy ogromnej ścisłości historycznej, jakiej usiłowała przestrzegać, wymagałoby to długich studiów naukowych. Duża część jednak tego zamierzenia została zrealizowana. Znaczna część spoczywa dotychczas w rękopisach.*

U badaczy, krytyków i szperaczy

W „Ateneum" (nr 3 — 4) znajdujemy szkic Stefana Lichańskiego pt. *„Jan Ludwik Popławski jako krytyk literacki"*, usiłujący zrekapitulować działalność krytyczno - literacką wybitnego pisarza politycznego, który *jako znakomity krytyk - moralista, krytyk - socjolog, jako twórca, pionierskich na swoje czasy, krytycznych tendencyj metodologicznych zasługuje na wdzięczną naszą pamięć i na żywe zainteresowanie się jego dziełem.*

W trzech kolejnych numerach „Pionu" (nr. 258, 259, 260) prof. Juliusz Kleiner ogłosił studium pt. *„Henryk Rzewuski w świetle korespondencji"*, w którym renegata, serdecznie wysługującego się Moskalom, przedstawia od strony intymnej, w postaci wyznań listowych osobom mu bliskim. Korespondencja Henryka Rzewuskiego, autora pierwszej powieści polskiej („Listopad") jest niezwykle cennym materiałem dla przyszłej monografii *apologety polskości dawnej i renegata, pychą magnacką i przekorą i cyniczną konsekwencją odstępstwa narodowego pustkę tworzącego dokoła siebie.* Rzewuski nie stanie się sympatyczniejszy dzięki poznaniu jego listów. *Ale swoistej a konsekwentnej podstawy moralnej odmówić mu nie można* — pisze prof. Kleiner. *To, czym budził i budzi oburzenie, głosił z ponurym, upartym przekonaniem o słuszności i etyczności swego stanowiska. Gazetę propagującą uczucia wiernopoddańcze wydawał za własne pieniądze, nie za ruble rządowe — wydawał ją nie tylko na złość rodakom, ale trochę i na złość Paskiewiczowi, któremu był... bezwzględnie oddany.* Listy, z których część skierowana była do siostry Rzewuskiego, pochodzą z lat 1850 — 1863 i znajdują się w zbiorach paryskiej Biblioteki Arsenału, związanej z pamięcią o Mickiewiczu jako jej biblioteka-

rzu. Należą do obfitej puścizny rękopisów i dokumentów po Karolinie Sobańskiej, z którą Mickiewicz był na Krymie, a z którą autor „Listopada” obficie korespondował (aż dwadzieścia listów).

„Wiadomości Literackie” ogłaszają (nr 780) artykuł Zygmunta Łotockiego pt. *„Felicjan o Matejce”*, w którym znajdujemy reminiscencje afrontu jaki spotkał poetę Felicjana Faleńskiego ze strony Matejki. Będąc w Krakowie, Faleński chciał koniecznie poznać osobiście Matejkę. Miał nawet list do niego, który miał ułatwić mu spotkanie z mistrzem. Na posiedzeniu Tow. Naukowego, Estreicher przedstawił go twórcy „Grunwaldu”. Matejko prosił gościa, aby odwiedził go w domu po południu, celem doręczenia mu wspomnianego listu. Po chwili zmienił swą decyzję, prosząc aby Faleński stawił się w południe. Gdy nasz bohater zjawił się punktualnie w domu Matejki, mistrza nie zastał. Przyjęto go bardzo niegościnnie; Felicjan zostawił list jakiemuś obdartusowi i nadmienił, że więcej mistrza niepokoić nie będzie. *Od zajścia na schodach minęło parę dni. Felicjan z żoną i Duchińską jest na obiedzie w hotelu Saskim. Wtem otwierają się drzwi i wchodzi Matejko. Ukłoniłem mu się — pisze Felicjan — głową mi kiwnął, ale przywitał się tylko z Duchińską i z nią jedną rozmawiał. Siadł nawet przy tym samym stole — a jednak nie raczył mię zaszczycić ani jednym słowem. Nie — doprawdy, jestem pewny, że nawet Rubens lub Tycjan, lub inny mocarz z rzędu tych, którym królowie podnosili pędzle, jeszczeby się zdobył w podobnej okoliczności powiedzieć takiemu jak ja lichemu człeczynie: wybacz mój panie, żeś do mnie napróżno chodził; — byłem zajęty, czy spałem, czy miałem gości, czy co podobnego — a tamten odszedłby z tym przekonaniem, że miał do czynienia z geniuszem, który umie być łaskawym.* Tyle ziritowany Faleński A. p. Łotocki kończy: *Więc — geniusz. Jeno bez wychowania. Tego arystokratyczny Felicjan nie był w stanie wybaczyć — nawet Matejce.*

„O pierwszym zawodzie miłosnym Norwida” (z nieznanych rękopisów poety) pisze w „Kurierze Warszawskim” (nr. 270) znany badacz Norwida, Adam Czartkowski, ogłaszając pełny tekst rękopisów poety, a mian listu i wiersza. List skierowany jest do Henryka Korwina Prendowskiego, właściciela Ojcowa i Czyżowa w Sandomierskim i do pewnego stopnia wraz z wierszem wyjaśnia zagadkę pierwszego zawodu miłosnego poety, jeszcze przed Marią Kalergis. Wiersz p. n. „Trylog” jest jednym z najbardziej ekspresyjnych utworów poetyckich Norwida. Powstał on bezpośrednio pod wpływem ciężkiego przeżycia.

Innego poetę owego okresu przypomina w „Czasie” (nr. 277) Jan Sztaudynger w artykule pt. *„O poecie, któremu Mickiewicz wystawił pomnik w Avignonie”*. Jest to kaliszanin Stefan Garczyński, autor „Wacława dziejów” i sonetów wojennych, uczestnik powstania listopadowego, który umiera w Italii na gruźlicę, po trudach wojennych. *Garczyński rzuca czar na Klaudynę Potocką i na Mickiewicza. Oto słowa, gdy po śmierci poety odsyła książkę przezeń pożyczoną: „Korzystając z podanej sposobności odsyłam Panu książkę Stefanowi pożyczoną. Nikomu więcej nie służyła przez dwa lata, jako skarb do Pana należący święcie przechowaną była. Przyjm ją Pan z religijnym uczuciem, z jakim ją Panu zwracam. Myśl jego na karcie spoczywała, relikwią jest taka książka po takim przyjacielu. Klaudyna Potocka”. Tak pisała najwięk-*

sza Polka do największego Polaka o zgasłym liryku.. I ten wielki duch, ten dziwny poeta, najpoetyczniejszy z poetycznych, mimo że niemal bez rymotwórczego talentu nie doczekał się dotąd od swoich rodaków ani pomnika, ani kamienia. Mickiewicza stać było na wystawienie mu własnym sumptem wieczystego pomnika w Avignonie. Wartoby może położyć najskromniejszy choćby kamień w miejscu urodzenia jego, oraz wydać z krytycznym komentarzem dwa małe tomy jego spuścizny literackiej.

Adolf Nowaczyński zamieścił w „Kronice Polski i Świata" (nr. 40) felieton pt. „*Dziadek zwycięstwa*", wyciągający z pyłu zapomnienia ciekawą postać ub. stulecia — Charlesa Edmonda recte Edmunda Chojeckiego, pisarza, polityka, podróżnika, założyciela słynnej gazety francuskiej „Temps", patrona Jerzego Clemenceau, który był jedynym człowiekiem szczerze opłakującym zgon mistrza wśród licznych żałobników na cmentarzu w Meudon. Chojecki pochodził z Podlasia. W młodości źle się uczył, ale wcześnie uczuł żyłkę pisarską i sfrunął z gniazda rodzinnego do Warszawy. Tu zadebiutował wierszami, został sekretarzem teatru, aż wreszcie natknął na Ksawerego Branickiego, który mu zaproponował wycieczkę na Krym, w roli kronikarza. Objechał z magnatem kawał świata, by zawitać wkońcu do Paryża, gdzie pozostał na stałe przez przeszło 40 lat. Przez cały czas pisał, przyjaźni się z Lenartowiczem, który poznaje go z Mickiewiczem; wieszcz proponuje Chojeckiemu sekretariat w „Trybunie Ludów". Po pewnym czasie zrywa z Mickiewiczem i nawiązuje kontakt z Proudhonem, silnie się radykalizuje i pod pseudonimem Charles Edmon pisuje do „Voix des Peuples". Wchodzi w silny kontakt z Francuzami, choć z Emigracją nie zrywa, więzy tylko nieco się rozluźniają. Po zerwaniu z Proudhonem, żyje w przyjaźni z Ludwikiem Blanc'iem, który wcześnie na jego rękach umiera. Z literatury paryskiej najbliżej jest z braćmi Goncourt, z Flaubertem, Suem, Fr. Coppem, Saint-Beuvem, a młodziutki Anatol France jest jego pupilem. Pracuje w tym okresie w słynnej „La Presse", zna Chopina, którego nosi na rękach, a panią Sand otrzymuje (na krótko) w spadku po nim. Pisze wiele powieści po francusku i po polsku, które drukuje w odcinkach, koresponduje ze wszystkimi geniuszami swego wieku, słowem staje się sam wielkością. Wreszcie zakłada „Temps", który daje mu z czasem pieniądze i stanowisko. Dopomaga swym ziomkom, jak może. Robi nawet propagandę, choć *nieco zraziła go krótkowzroczna jak zawsze podwórkowa, nalażąca sobie po piętach i plotkująca konfraternia literacka warszawska*. Tu dodaje jeszcze Nowaczyński: *Poznaliśmy więc cokolwiek jednego z najbardziej interesujących i ważnych Polaków XIX-go wieku, któremu sporą monografię od lat trzech napisaną, ale nie wydaną, poświęciła uczenica ś. p. prof. Ujejskiego, kuzynka Charles Edmonda, p. Maria Chojecka.*

PRZEKRÓJ

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY SPRAWOM POLSKI

Redaktor i wydawca: Jerzy Horzelski
Adres redakcji i administracji:
Warszawa, ul. Szustra 16, tel. 444-98
Redakcja czynna w czwartki, godz. 17—19.
Rękopisów redakcja nie odsyła.

Prenumerata

Kwartalnie, wraz z przesyłką pocztową

w kraju	—	5 zł.
zagranicą	—	6 zł.

Prenumerata przyjmowana jest *wyłącznie* na okresy kwartałów kalendarzowych, t. zn. od 1 stycznia, 1 kwietnia, 1 lipca i 1 października.

Prenumeratę można wpłacać w administracji, przekazem pocztowym, lub przekazem rozrachunkowym na konto wydawnictwa „Przekrój" Nr 26.

UWAGA: „Przekrój" ukazuje się w dwóch wydaniach: zwykłym, dla kolportażu i sprzedaży oddzielnych numerów, oraz w specjalnym, przeznaczonym wyłącznie dla prenumeratorów, drukowanym na wysokogatunkowym papierze bezdrzewnym i dostarczanym do domu wcześniej.

Oddzielne egzemplarze wydania specjalnego dla uzupełnienia kompletów pisma nabywać można wyłącznie w administracji „Przekroju".

Ogłoszenia

Stronice ogłoszeniowe znajdują się *wyłącznie przed tekstem* i liczą po 190 mm. wysokości i 100 mm. szerokości, podzielonej na dwie szpalty.

Ceny ogłoszeń: cała strona — 250 zł., pół strony — 130 zł., ćwierć strony — 70 zł. Ogłoszenie w innych wymiarach — 75 groszy za miejsce wysokości 1 milimetra w 1 szpalcie.

Cena numeru 2 zł.

Zakł. Graf. „DRUKPRASA" Sp. z o. o. N.-Świat 54. tel. 615-56.

112